



Barbara  
Rybałtowska

Przypadek sprawił



BARBARA RYBAŁTOWSKA

# PRZYPADEK SPRAWIŁ



WARSZAWA 2014

Projekt okładki/skład: Positive Studio

Redakcja i korekta: Elżbieta Makowska

Korekta techniczna: Basia Borowska

Copyright © 2013 by Barbara Rybałtowska

Copyright for this edition © 2013 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN: 978-83-61432-68-5

WYDAWNICTWO  
AXIS MUNDI

Konwersja i edycja publikacji



# Spis treści

Ewa 2012

Ewa 1972

Joanna 1958

Ewa 1972

Joanna 1967

Ewa 1969

Joanna 1969

Ewa 2013

Przypisy

# EWA 2012

Ufff... – odetchnęłam z ulgą otworzywszy oczy. Nade mną bieleje pochylona ściana mojego pokoju na poddaszu w Kurhanowie. Jest widno, świeci słońce i ja leżę we własnym łóżku, a nie biegam po lesie w czasie huraganu, unikając przygniecenia przez walące się drzewa. Koszmar! Ale, chwała Bogu, to był tylko sen...

Ojej! To już prawie dziesiąta! Ależ pospałam! Szkoda tylko, że takim snem.

Wszyscy wyjechali, nawet nie mam komu opowiedzieć o nocnych zmaganiach. Ale za to obie łazienki mam tylko dla siebie. Nie muszę czekać w kolejce na kąpiel.

Opuszczam nogi, na pamięć trafiając w kaptcie i postanawiam zamiast prysznica zaserwować sobie kąpiel w jeziorze. Trzeba korzystać z ostatnich ciepłych dni.

Przez całą drogę do „małej plażki”, jak nazywamy naszą dziką plażę, układam plan działania na dzisiaj. Gdybym solidnie zabrała się do pracy, do końca przyszłego tygodnia skończyłabym projekt tego osiedla. Tak zrobię! Będę go miała nareszcie z głowy, a potem – hulaj dusza!

Mijam posesję leśniczego, brama zamknięta, psa chyba z sobą zabrali, bo nie szczeka. U sołtysa też pustawo, chociaż nie... Tomek krząta się w swoim ogródku. Ciekawe, czy ktoś się kąpie?

Idę w dół piaszczystym jarem. Woda przezroczysta, rozświetlona słońcem. Widać pływające przy kładce rybki. A za trzcinami, co to? Kuter rybacki? Co on robi, tak blisko kąpieliska? Chyba nie zamierzają w tym miejscu rozciągać sieci?

Rozkładałam ręcznik, podnoszę głowę i dostrzegam tego człowieka. Tak, to on! Ten sam, którego od dawna widuję w lesie i denerwuję się tym, bo on sprawia wrażenie podążającego moim śladem, śledzącego mnie. Zbyt często go widuję, żeby to było przypadkowe. Teraz jednak nie patrzy na mnie, tylko na kuter. Wygląda na to, że jego widok niepokoi go i denerwuje. Ma zmarszczone czoło i porusza ustami, jakby kłął pod nosem.

Wchodzę do wody, wcale nie jest zimniejsza niż wczoraj. Jeszcze nie. Nie wiem, czemu trzymam się jak najdalej przycumowanego kutra. Płynę w stronę dużej plaży. Lubię tak płynąć aż za granicę trzcin, spoza których wyłania się panorama zatoki.

To było bardzo burzliwe lato – myślę sobie. Nie tylko z powodu kapryśnej aury. Także emocjonalnie. No i upłynęło tak szybko, jakby trwało połowę albo i ćwierć tego czasu co zawsze. Nic dziwnego. Tyle było do zrobienia! I po co to wszystko, skoro i tak jesteśmy tylko zakładnikami losu...

Takie niewesołe myśli nawiedzają mnie od kilku dni, odkąd telefon wydaje się dzwonić tylko po to, żeby przynosić ponure wieści. Po powrocie z plażki zabieram tacę ze śniadaniem do pokoju na piętrze i stawiam ją na biurku. Usiłuję pracować, ale trudno mi się skupić, częściej zerkam na okno niż na ekran komputera. Przez oklejone sylwetkami ptaków w locie szyby gapię się na ogród. Ścisłej mówiąc, na jego górne partie. Bo z fotela, na którym siedzę, nie widać trawnika ani rabatek z armią przekwitających mieczyków, tylko czerwone dachówki wędzarni i wierzchołki drzew.

Grab – dałabym sobie głowę uciąć – jeszcze wczoraj zielony, dzisiaj jest prawie cały żółty. Za nim wierzba w letniej i niezmiennie zielonej szacie, ale o przezroczystej z powodu opadłych liści koronie. Poprzez nią widać w oddali białe ściany i czerwony blaszany dach poddasza pobliskiego hotelu, odcinające się wyraźnie od tła mrocznej ściany lasu. Tuż zza balustrady tarasu zagląda na piętro tuja. Kto by pomyślał, że tak wyrośnie w ciągu ostatnich lat. Tylko patrzeć, jak dosięgnie dachu. Gałęzie

sosny ścigają się z kolczastymi witkami łyzy, która mocno poprzycinana poprzedniej jesieni, rozrosła się znowu i w górę, i na boki.

Kiedy dwadzieścia jeden lat temu kupiliśmy ten kawałek ziemi, nie było na niej nic oprócz piachu. A teraz naszego „stanowczo za wysokiego” – wedle opinii naszej sąsiadki pani Marysi – domu nie widać spoza drzew i tego, co tu porosło. Trzeba podjechać zupełnie blisko pod bramę, żeby ukazał się oczom front budynku z dużym drewnianym gankiem.

Tak niedawno patrzyłam z nadzieją przez to samo okno, śledząc budzenie się przyrody do życia. Ta sama brzoza, której pąki na moich oczach zamieniały się w liście, teraz już je gubi. Tak niedawno urosły, a już umierają. Przemijanie...

Gdyby projektowanie nadal polegało na ślęczeniu nad deską kreślarską, już nie dałabym rady. Przez mój kręgosłup i... biodro! Uroki sędziwego wieku! Siła złego na jedną staruszkę emerytkę. Dzieci zaśmiewają się, kiedy tak narzekam. – Ty i staruszka, mammo! Przesadzasz!

– Ale przecież emerytka! – bronię się.

Chociaż przestałam chodzić do biura, nie mam czasu na nic poza pracą. Nie rozstaję się z laptopem, mam go przy sobie i w kawiarni, i w łóżku. Wszędzie, gdzie jestem. Wszystko dlatego, że podkusiło mnie, żeby wtrącić swoje trzy grosze, kiedy młodzi (nasz syn Marek, synowa Jola i ich przyjaciele) założyli biuro i zaczęli projektować tanie osiedla dla średniozamożnych klientów. Skrytykowałam mojego syna, a ten oburzony krzyknął:

– Mądra jesteś! Spróbuj zrealizować swoje poprawki nie przekraczając narzuconego limitu wydatków!

– A spróbuję, żebyś wiedział!

– Życzę powodzenia! – roześmiał się mój pierworodny, a ja pół żartem, pół serio zabrałam się do obmyślenia konkurencyjnej wersji.

Po trzech tygodniach doszłam do kropki. I tego właśnie dnia Marek i Jola przyszli do nas na obiad. Oboje mieli nietęgę miny.

– Pokłóciliście się czy co? – spytałam.

– Dlaczego tak uważasz? – zdziwiła się moja synowa.

– Bo siedzicie z nosami na kwintę.

– Mamy kłopoty z klientem. Grymasi. Boimy się, że nie podpisze z nami umowy.

– To pokażcie mu mój projekt.

– Twój? O czym ty mówisz?

– Rzuciłeś mi synu wyzwanie...

– Zrobiłaś projekt??

– A jakże! Omijając wszystkie niedostatki twojego.

– Mówisz poważnie?

– Podjęłam wyzwanie żartując, ale wyszło całkiem poważnie.

– Pokaż!

– I zmieściłam się w budżecie! No i świetnie się przy tym bawiłam.

Marek z Jolą już siedzieli przy moim laptopie z wypiekami na twarzy.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– A powinnam coś robić? Wzięłam się do tego ot tak, żeby się sprawdzić.

– Jest świetny.

– To sobie go weź.

– Tak zwyczajnie? A jeśli go sprzedam?

– Wtedy odpalisz mi słony procent.

– Naprawdę możemy nim dysponować?

– Jeśli się komuś spodoba... no cóż, będę usatysfakcjonowana...

Projekt spodobał się. Sprzedali go do Szwecji, Norwegii i gdzieś tam jeszcze. Zamówili nowe dla innych kontrahentów, z niewielkimi zmianami uwzględniającymi upodobania nabywców. I tak oto chcąc nie chcąc weszłam do spółki. Jeszcze niedawno śmiałam się, że jak tak dalej pójdzie, moja wersja domów podbije świat! Pobożne życzenia. Ciekawe, jak się to ma dokonać, skoro od ponad trzech tygodni nie posunęłam się w mojej pracy ani o krok, ani o jedną kreskę. Nie mam pomysłów, nie mogę się skupić. Stało się to jak za dotknięciem różdżką niedobrej wróżki.

Zaczęło się od tego, że musiałam opuścić Kurhanowo, bo miałam coś do załatwienia w Warszawie. Mimo że od wiosny przebywałam w moim rajku, jakoś w tym roku mniej doświadczyłam jego dobrodziejstw. Już w lipcu ukończyłam zamawiane zimą projekty, ale zaniedbałam mnóstwo spraw bieżących, a także kontakty towarzyskie.

W przeddzień wyjazdu do Warszawy zatelefonowała do mnie Basia Jastrzębska.

– Włącz szybko telewizor! Szybko! – ponaglała mnie. – Program drugi.

– Witaj Basiu! Myślałam, że jesteś jeszcze w Viareggio.

– Właśnie wróciłam. Oglądam „Reportera Polskiego” i kogo widzę: moją Ewę!

Przypomniałam sobie, że wiosną rzeczywiście telewizja nagrywała tutaj program o znanych rezydentach Kurhanowa. Jerzy, mój mąż, znany filmowiec, niewątpliwie do takich należy, zarejestrowano więc rozmowę i z nami. Zupełnie o tym zapomniałam. Upłynęło od tamtego czasu wiele tygodni, ba, miesięcy! Kiedy włączałam telewizor, program właśnie się skończył. Szkoda. Ale porozmawiałam sobie z moją miłą sąsiadką.

Poznałyśmy się wiele lat temu, gdy Basia ze swoją śliczną dziesięcioletnią wtedy córeczką wprowadziła się na nasze piętro. Sama też była urodziwa. Miała gęste, puszyste ciemne włosy, związane na karku, duże jasne oczy i dołki w policzkach. Pracowała w redakcji „Biuletynu Informacyjnego” Polskiej Akademii Nauk. Po pewnym czasie, gdy stałyśmy razem w kolejce w sklepie mięsnym, bo takie były czasy, opowiedziała mi trochę o sobie. Że jest rozwiedziona, sama wychowuje dziecko i cieszy się, że dostała mieszkanie w naszej ładnej, tonącej w zieleni dzielnicy. Pomyślałam wtedy, że ani samotne wychowywanie córki, ani przymusowe wystawianie w kolejkach przed pracą i po niej nie są w stanie jej pogłębić, bo urocze dołeczki w policzkach, pojawiające się przy uśmiechu, nie znikają z jej twarzy. Latami widywałyśmy się od przypadku do przypadku, a to w kolejce, a to na spacerze z psami, bo Basia była „psiarą”, podobnie jak my. Nasze dzieci chodziły do tej samej szkoły. Razem przeżywałyśmy ich egzaminy do liceów, na studia, potem ich śluby, narodziny wnucząt. Nasze losy toczyły się obok siebie. Bywałyśmy z sobą blisko, zwłaszcza wtedy, kiedy Basia została menadżerką mojego męża. Świetnie sobie z tym radziła. Zaczęło się od tego, że spotkawszy się na spacerze z psami opowiedziałyśmy sobie o naszych kłopotach. Jerzy właśnie zmuszony był rozstać się ze swoją agentką i nie dawał sobie rady ani z kontrolą dystrybucji filmów, ani z bieżącą organizacją swojej pracy. A Basia akurat wtedy przeszła na emeryturę i nie mogła sobie poradzić ze spożytkowaniem swojej energii. Zaczęła mi zadawać pytania na temat specyfiki pracy agentki reżysera. Rozgadałam się na ten temat, ona słuchała z uwagą i kiedy żegnałyśmy się pod jej drzwiami, bo jej mieszkanie było pierwsze z brzegu na naszym piętrze, powiedziała:

– To bardzo ciekawa praca, chyba dałabym radę się w to wdrożyć. Zapytaj męża, czy by mi zaufał.

– Naprawdę? Podjęłabyś się tego? Myślę, że byłby zachwycony. Ale musiałabyś poznać specyfikę nowych obowiązków.

– Czego to ja w mojej pracy nie musiałam się nauczyć! Wszystko dla ludzi. Zamiast kisnąć z nudów...

Ale pan Jerzy musiałby mnie zaakceptować i cierpliwie poczekać, aż się we wszystkim połapię.

– Wiesz co? Lepiej będzie, jak sama z nim o tym porozmawiasz. Zapraszam cię na kolację.

– Zgoda. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj poddaj mu ten pomysł. Niech go przetrawi. A jeśli pozytywnie zareaguje i na jutro nie macie innych planów, przyjdę.

Jerzy uznał to najpierw za żart, ale po zastanowieniu się postanowił z nią porozmawiać. I doszli do porozumienia. Basia szybko zgłębiła tajniki menadżerowania i wkrótce okazała się bezcenna. Pracowali z sobą cztery lata, do czasu, kiedy Jerzy pod wpływem pewnej zapaści w firmie, wynikłej z intryg i zawiści, podjął kategorię decyzję, której nie mogę mu darować. Postanowił mianowicie zrezygnować na zawsze z robienia filmów i zająć się wyłącznie pracą pedagogiczną, którą dotychczas i tak uprawiał będąc wykładowcą na pół etatu w szkole filmowej, na Wydziale Reżyserii.

Tak się złożyło, że Basia otrzymała w tym samym czasie kuszącą propozycję dłuższego pobytu we Włoszech. Miała opiekować się pięknym domem przyjaciółki w czasie jej wyjazdu do Kanady. Nieśmiało przebąkiwała o tym, nie chcąc zostawiać Jerzego w kłopotliwej sytuacji. Ale on przejął inicjatywę.

– Nie ma się co wahać, Basiu. Zwłaszcza że to, co zamierzam teraz robić, nie wymaga twoich poświęceń. O tantiemy z filmów i tak muszę się sam zwracać do Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Nowych filmów u mnie nie będzie, a ty nie możesz zaprzepaścić nadarzającej się okazji. Jedź i korzystaj z życia.

Tak się też stało. Basia wyjechała, choć oboje żalowali, że nie będą dalej z sobą współpracować. Jerzy został belfrem-mistrzem i jest z tym bardzo szczęśliwy.

Mimo paromiesięcznych pobytów w słonecznej Italii Basia była mocno obecna zarówno w życiu swoich bliskich, czyli wnuka Bartka i córki Małgosi, jak i innych podopiecznych, których zawsze potrafiła sobie znaleźć. Działała też z wielkim zapałem w Radzie Mieszkańców naszego osiedla, przewodnicząc wielu pożytecznym akcjom.

Po jej telefonie przynaglającym mnie do oglądania programu o Kurhanowie postanowiłam, że podczas mego krótkiego wypadu do Warszawy muszę się z nią zobaczyć. Nazbierałam jej grzybów, których była amatorką, i poprosiłam, żeby zarezerwowała sobie trochę czasu na pogaduszki. Przyjechałam do stolicy późnym wieczorem w sobotę. W niedzielę udałam się na umówione dawno spotkanie, po którym chciałam zwabić moją miłą sąsiadkę do siebie. Wróciłam jednak ze spotkania zmęczona, nie nadawałam się do kontaktów towarzyskich. Zamierzałam pójść z książką do łóżka. Wzięłam kąpiel, po czym zatelefonowałam do Basi, żeby umówić się z nią na dzień następny. Nie wiem, nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, z jakiego powodu zaczęłam rozmowę inaczej, niż zamierzałam:

– Basieńko, jestem już w Warszawie, miałabyś ochotę wpaść do mnie za pół godziny czy przekładamy to na jutro?

– A kto to wie, co będzie jutro? Przyjdę za pół godziny.

– Cieszę się. Czekałam.

Odłożyłam słuchawkę. Naprawdę byłam uradowana, że zdecydowała się przyjść od razu. Nie wiedziałam jeszcze, jakie to miało okazać się ważne ani jak prorocze były jej słowa rzucone przed chwilą do słuchawki: „A kto to wie, co będzie jutro?”

Te jej słowa, wypowiedziane beztrząsco, do dziś dźwięczą mi w uszach.

Basia ucieszyła się z grzybów, jeszcze bardziej z płyt z cyfrowymi wersjami trzech starych filmów Jerzego i wyglądała świetnie. Opalona na złocisty kolor błogosławionym słońcem Italii, tryskała energią i humorem. Pogawędziłyśmy o rozległych plażach Viareggio, które i ja miałam szczęście kiedyś odwiedzić, o jej planach rehabilitacji, bo podobnie jak mnie dokuczały jej bóle kręgosłupa.

Siedziała naprzeciwko odprężona i uśmiechnięta. Patrzyłam na nią z przyjemnością. Pomyślałam,



że dołeczki w policzkach nadal dodają jej uroku.

– Co ja sobie narobiłam upierając się na tego kuriera! – mówiła, nie wiedząc, że wygłasza kolejne złowieszcze stwierdzenie.

– Jakiego kuriera?

– Zamówiłam na „Allegro” pilota do telewizora. Chciałam go mieć jak najszybciej, więc zażądałam przesyłki kurierem. Pilnowałam, żeby go nie przegapić i nie upilnowałam. Muszę teraz jechać sama na Łopuszańską.

– Och, na Łopuszańską? Znam to miejsce. Też odbierałam tam przesyłkę. Musisz bardzo uważać, bo tam jest duży ruch! – wygłosiłam tym razem ja złowieszczą kwestię.

Jakże ważne niekiedy okazują się wypowiedziane ot tak sobie słowa w kontekście tego, co przyniesie los.

Pozegnałyśmy się z Basią dość późno, roześmiane i pełne miłych wrażeń ze spotkania. Jeszcze za chwilę wróciła do mnie z listą kwater prywatnych w Busku Zdroju, gdybym chciała skorzystać tam z zabiegów sanatoryjnych na moje bolące kości. Sama wpadła na ten pomysł, żeby zaradzić moim kłopotom. Taka właśnie była. To ona podlewała kwiatki na korytarzu, wzywała karetkę dla sąsiada, przygarniała psa, gdy ktoś znajomy wyjeżdżał na urlop. Taka właśnie była...

Otóż to – była. Bo Basi już nie ma. Przedwczoraj wróciłam do Kurhanowa z jej pogrzebu. Co za bezsensowna śmierć! Skończyć życie w pełnej formie, z nadzieją na przyszłość, z głową pełną projektów to najokrutniejszy z zasadzek losu.

Po naszym spotkaniu położyła się spać po północy, a już o ósmej rano była na treningu rehabilitacyjnym, mającym podtrzymać w formie jej szwankujący kręgosłup. Potem udała się na ową nieszczęsną Łopuszańską po zamówionego pilota za... czternaście złotych i dziewięćdziesiąt groszy! Przed przejściem dla pieszych czekała karnie na zielone światło. Kiedy zabłysło, zdecydowanie weszła na pasy i... w tej samej chwili najechał na nią samochód, rozpędzony tak, że nie zdołał w porę zahamować. Z wielką siłą uderzył w Basię.

Karetką, którą zaraz wezwano, dotarła do nieprzytomnej ofiary wypadku po czterdziestu pięciu minutach, bo miała po drodze awarię. Na ostrym dyżurze oddziału neurologicznego był tłok, zawieziono więc ranną w głowę pacjentkę najpierw do szpitala przy Barskiej na poskładanie złamanej nogi.

Z ciężkim urazem czaszki trafiła na neurochirurgię dopiero po południu, po pięciu godzinach od wypadku. Oczyszczono ranę z wielkiej ilości krwi, ale już nastąpił obrzęk mózgu i inne niepokojące zmiany. Rodzina czekała na powrót biedaczki do świadomości, a ja razem z nimi. W mojej głowie wciąż kołatała się myśl, jak dobrze zrobiłam nie odkładając spotkania. Jeszcze przynajmniej przez parę chwil cieszyliśmy się swoją obecnością.

Basia wciąż trwała w śpiączce, kiedy nadeszła wieść o Zosi. Ukochana starsza siostra Jerzego, jego bratnia dusza i autorytet, jedyna jeszcze żyjąca osoba z najbliższej rodziny, doznała udaru pnia mózgu. Nie od razu wyglądało to tragicznie. Do oddalonego o kilkadziesiąt metrów od jej domu szpitala dotarła, gdy poczuła się źle, o własnych siłach. Zbadano ją, podano środki na obniżenie ciśnienia i... odesłano do domu. Jak się wkrótce okazało – za wcześnie.

Nie upłynęły trzy godziny, gdy znowu zmuszona była tam wrócić, wciąż czując się niedobrze. Tym razem po szczegółowym zbadaniu umieszczono ją na oddziale intensywnej terapii. My dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero po kilku dniach, kiedy jej syn Gustaw zatelefonował do nas do Kurhanowa:

– No, wiesz Guciu, nie tak się umawialiśmy! – powitał go Jerzy żartobliwą reprimendą. – Dopiero co kapaliśmy się razem, planując wspólny wypad do mojej siostrzyczki, a ty dzwonisz oto z drugiego końca Polski, żeby mnie zawiadomić, że pojechałeś tam beze mnie?... Dlaczego nie chce ci się

zartować?... No nie! Jak to, w szpitalu?... Kiedy to się stało? Pięć dni temu? I dopiero teraz mnie zawiadamiasz?...

Jerzy odłożył słuchawkę i opowiedział mi o tym, co usłyszał.

– Uważam, że powinieneś tam jechać. I tak zamierzałeś ją odwiedzić. Gdy będzie miała w pobliżu syna i brata, szybciej wróci do zdrowia.

– Masz rację. Jadę zaraz do Warszawy, a jutro skoro świt do Zakopanego.

Tak też uczynił. To znaczy wyjechał natychmiast z Kurhanowa do Warszawy, ale tam zatrzymał się jeszcze trzy dni, zanim podążył do stolicy Tatr. Uczynił tak na prośbę Gustawa, który bał się, że jego chora matka ujrzawszy brata mogłaby doznać szoku.

– Kiedy mama zobaczy, że rodzina się zjeżdża, może się przestraszyć, że jej zdrowie jest w stanie krytycznym. Wolałbym ją na twój przyjazd przygotować... – mówił Gutek.

I trudno było mu odmówić słuszności. Tyle że nie mógł być przewidzieć tego, iż w dniu, który wyznaczył sobie na przygotowanie matki na rychłą wizytę brata, ona przestanie kontaktować. Gutek spędził cały dzień przy jej łóżku, rokowania były nie najgorsze, a nocą to, co uznano za spokojny sen, okazało się śpiączką. Tak więc Jerzy po przyjeździe do Zakopanego nie mógł już porozmawiać z siostrą. Trudno było mu zaakceptować to, iż jej kontakt ze światem jest zakłócony do tego stopnia, że przestała czuć obecność bliskich jej osób i słyszeć oraz rozumieć, co do niej mówią.

W ciągu kilku dni obaj mężczyźni pochylali się nad łóżkiem chorej, ale jej stan się nie zmieniał.

Tymczasem wrzesień, wyjątkowo w tym roku pogodny, dobiegał końca, a razem z nim wakacje studentów i ich wykładowców. Tak więc obowiązki zawodowe zmusiły Jerzego do powrotu na uczelnię. Po odbyciu kilku posiedzeń senatu musiał jeszcze przewieźć rodzinę z jezior do Warszawy, bo wszyscy jego bliscy wyjechali tam na grzybobranie.

Cóż to był za miesiąc! Dopiero co jechałam do Warszawy pełna energii, planów na przyszłość, skora do spotkań i odnawiania kontaktów, i proszę: niektóre z nich stały się rozdziałem zamkniętym na zawsze. Basia odeszła po trzech tygodniach od wypadku, nie odzyskawszy przytomności. Mam w pamięci jej uśmiech z dołeczkami w policzkach, jej witalność, życzliwość do świata. Kiedy przechodzę obok drzwi jej mieszkania, kładę na nich rękę; mam nadzieję, że odbiera gdzieś mój sygnał, iż o niej myślę.

W sobotę dwudziestego dziewiątego września byliśmy w dobrych nastrojach. Nareszcie po kilku mokrych dniach pojawiły się grzyby, słońce świeciło jak w sierpniu. Było tak ciepło, że mogliśmy jadać na tarasie. Obecność dzieci i wnuków w Kurhanowie była remedium na mój smutek po pogrzebie Basi, która ostatecznie przegrała walkę o życie. Na szczęście informacje o Zosi były obiecujące. Otworzyła właśnie oczy, które patrzą na świat całkiem przytomnie, a to ponoć dobrze rokuję. Wprawdzie nie zaczęła jeszcze mówić, ale w takiej chorobie poprawa nie następuje od razu. Takie wieści przekazał nam Gutek. Jego głos był pełen otuchy. Jedynym cieniem na tych prognozach kładł się problem konieczności przeniesienia chorej do szpitala specjalistycznego pod Krakowem. Nie wiedzieliśmy, jak jej organizm zaadoptuje się w nowym miejscu. Martwiliśmy się też tym, że została tam przewieziona karetką szpitalną, która nie zabrała razem z nią jej syna. Miał tam dotrzeć we wtorek.

Wieczorem dowiedzieliśmy się, że transport przebiegł pomyślnie, chora nie jest w śpiączce, więc trzeba być dobrej myśli. I byliśmy. Zwłaszcza że jeszcze przed pogrzebem Basi udało mi się zaklepać miejsce dla Zosi w szpitalu w Warszawie o tej samej specjalizacji, co ten na południu Polski i pozostawało tylko czekać, aż stan jej poprawi się na tyle, że będzie można ją przetransportować. A wtedy wszyscy będziemy mogli ją odwiedzać i kibicować jej powrotowi do zdrowia.

Póki co mogliśmy jednak cieszyć się lekką poprawą jej samopoczucia. To, że Gutek odetchnął, uradowało nas wszystkich. Cieszyliśmy się też tym, że jest z nim jego nowa pani. Układy Gutka

z kobietami od lat były troską jego matki. Często rozważaliśmy z Zosią, dlaczego jej przystojny i sympatyczny syn nie potrafi ułożyć sobie życia osobistego. Nie mam nic przeciwko czułym i umiejącym kochać mężczyznom, ale u niego jest chyba czegoś za dużo. Za dużo oddania, za dużo rezygnacji ze swoich potrzeb, kto wie czego jeszcze? Dość, że wszystkie kolejne partnerki owijają go sobie wokół palca, dominują absolutnie, a potem opuszczają. Zarówno jego matka, jak i cała nasza rodzina chcielibyśmy zobaczyć go wreszcie w bezpiecznym porcie. Czy okaże się nim nowy związek? Nie wiem...

Wszyscy byliśmy dobrej myśli co do zdrowia Zosi. Mieliśmy nadzieję. Moja przyjaciółka lekarka powiedziała mi kiedyś, że przy udarach i wylewach regułą jest to, że jak się zaczyna poprawiać, to zmierza ku lepszemu.

W niedzielę trzydziestego września zjedliśmy śniadanie na tarasie, dość wcześnie i wcale nam nie było zimno. Nasza wnuczka Maja – córka Wioli, świeżo upieczona studentka – wbrew protestom matki ustawiła na stole swojego laptopa i sprawdzała na stronie internetowej Uniwersytetu szczegóły dotyczące początku roku akademickiego.

– Nie rozsiadaj się przy komputerze, bo już wychodzimy do lasu, dzień jest teraz za krótki, żeby wychodzić późno – mówiła Wiola.

– Jeszcze tylko zajrzę na Facebooka – nie dawała za wygraną Maja.

– No nie! Albo już to zostawiasz, albo wychodzimy bez ciebie!

– Zanim będziecie gotowi, wszystko zdążę przeczytać...

W tym momencie zaczął dzwonić telefon Wioli. Odebrała połączenie.

– Nie! Jak to nie żyje? Przecież było lepiej... Kiedy to się stało?... Tak... tak, przekażę, trzymaj się Gutek, jesteśmy z tobą...

Odłożyła słuchawkę i zalała się łzami. Patrzyliśmy na nią w milczeniu, nie mając odwagi o nic pytać. Wiola podeszła do ojca i otoczyła go ramieniem.

– Ciocia Zosia nie żyje – powiedziała cicho, tuląc się do niego.

Ja też byłam już przy Jerzym. Pomijając to, co sama czułam, wiedziałam, jak bolesna to strata dla męża. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Wargi mu drżały, a z oczu popłynęły łzy. I taki był w tej chwili podobny do swojej starszej, utraconej właśnie siostry.

Kiedy oboje byli młodszy, nigdy nie wpadłoby im do głowy, że są do siebie podobni. Jerzy był szczupły, ruchliwy i nerwowy, a jego siostra okrągłutka i dostojna w zachowaniu, mowie i ruchach. Dopiero gdy oboje posiwieli, zaczęli wyglądać niemal tak samo. Najpierw zauważyliśmy to na zdjęciach, a potem nie można się było nadziwić, jak jednakowo marszczą czoło, kiedy niedosłyszą, jak ich tak samo niecierpliwą wyglupy dzieci, jak identycznie intensywnie niebieskie są ich oczy i z jaką godnością oboje przemierzają leśne ścieżki. To zdumiewające, jaką moc mają ludzkie geny.

Tuląc mego męża, aby mu ulżyć w rozpaczach, widziałam ich karmiących razem kaczkę na przystani, wspominających swoje dziecięce lata, pochylających się czule jedno nad drugim. Ten obraz dwóch niemal identycznych twarzy stał się oto przeszłością. Już nie znajdują się nigdy obok siebie.

Wszystkie nasze plany na pogodny ostatni dzień września uległy nagle zmianie. Zamiast wędrowki do lasu zaczęło się pakowanie i zabezpieczanie domu na zimę. Po krótkim spacerze z psami załadowaliśmy nasze rzeczy do samochodów, które ciężkie od bagażu i tego, co w sercach, opuściły Kurhanowo. Tak naprawdę opuścili je wszyscy oprócz mnie. Zostałam jeszcze na dwa dni, żeby pozamykać różne sprawy, bo pogrzeb miał się odbyć dopiero w przyszłym tygodniu. Kiedy zamknęłam bramę i odczekałam machając im, póki nie zniknęli za zakrętem drogi, poszłam na przechadzkę

w stronę polany.

Mężczyzna, a właściwie starszy człowiek, którego ostatnio wciąż spotykaliśmy w lesie, ten sam, który niedawno przyglądał się zacumowanemu przy trzcinach tuż przy plaży niewielkiemu kutrowi, teraz siedł za mną w pewnej odległości. Poczulałam się z tym niezręcznie, bo zaczynam nabierać przekonania że on nas, a szczególnie mnie śledzi. Jego twarz wydawała mi się dziwnie znajoma. Jakoś mi majaczy w pamięci także młodsza jej wersja.

Pogrzeb Zosi – sprowadzenie urny z jej prochami do rodzinnego grobu na Powązkach nastąpił w tydzień po wyjeździe rodziny z Kurhanowa. Mimo że przez długie lata mieszkała w Zakopanem, jej pożegnanie w Warszawie zgromadziło sporo osób, większość z nich zaprosiliśmy na poczęstunek, który Wiola pomogła załatwić w restauracji obok naszego osiedlowego Domu Kultury.

Smutne, ale i lekko odprężające było to spotkanie. Uczestniczyła w nim bliższa i dalsza rodzina oraz kilkoro naszych przyjaciół, którzy znali Zosię i chcieli ją z nami pożegnać. Snuliśmy wspomnienia. Jerzy wzruszył wszystkich płomienną mową o zaletach i osiągnięciach zmarłej siostry. Nasza córka ze łzami w oczach opowiedziała wszystkim o swoim ostatnim widzeniu się z cicią, które miało dla niej ogromne znaczenie.

W czasie pobytu na nartach w Zakopanem zaprosiła Zosię do kawiarni. Zupełnie nieoczekiwanie ich spotkanie, przewidziane na godzinę, przedłużyło się do kilku godzin. Bo też zdystansowana na ogół Zosia była tego popołudnia niezwykle wylewna. Opowiedziała mojej córce mnóstwo anegdot z życia rodziny, kiedy ona i Jerzy byli jeszcze dziećmi. Jej pamięć otworzyła się jak nigdy. Posypały się wspomnienia o przedwojennych wypadach na narty z całą rodziną, o budowie kolejki linowej na Kasprowy, o elitach, które wodziły wtedy rej w tatrzańskim kurorcie, o panującej wówczas modzie i zwyczajach. Wiola słuchała jak zaczarowana. Nieoczekiwanie stała się uczestniczką zdarzeń, o których nie miała pojęcia. Ciocia, zazwyczaj mało przystępna, pokazała swoje nieznane, prawdziwe oblicze. Jak stwierdziła moja córka – bardzo sympatyczne i fascynujące.

Dla mnie to nie była nowość. W moich rozmowach z Zosią nierzadko wracałyśmy do dawnych czasów, do dzieciństwa jej i mego męża i młodości ich rodziców. Ale cieszę się, że Wiola spotkała się z nią poprzedniej zimy i zachowa takie ciepłe o niej wspomnienia.

Mój Boże! Zakopane bez Zosi... Pojadę tam z Jerzym, dziećmi i wnukami podczas ferii zimowych. Nie wiem, jak się tam odnajdziemy. A może jest na to za wcześnie? Może jeszcze nie powinniśmy tam jechać?

Na popołudniowym spotkaniu po pogrzebie Zosi siedziałam przy stole naprzeciw Gustawa. Tak niedawno stracił ojca. Teraz matkę. Został sam. Ma tylko nas. Ale my też jesteśmy już starzy...

Po trzech godzinach spotkania nasi goście zaczęli się żegnać. Męczący, pełen smutnych wrażeń dzień dobiegał końca. Jako organizatorzy i gospodarze spotkania wychodziliśmy ostatni. Już się ściemniało, gdy dotarliśmy do domu.

A więc to się naprawdę zdarzyło: odejście Basi, a potem Zosi. To dziwne: obie zmarły na skutek uszkodzenia pnia mózgu i niemal w tym samym czasie. Co za upiorny zbieg okoliczności?

Biedny Jerzy. Dużo czasu upłynie, zanim pogodzi się z odejściem siostry. Podobnie jak ja przed laty...

Ależ skąd! Tak naprawdę to tylko przygasło z czasem, ale nie pogodziłam się z tym nigdy. Teraz tamte chwile przeżywam na nowo. Smutek po utracie mojej jedynej siostry, Joanny, powraca do mnie co jakiś czas i jego moc bywa zdumiewająca, bo przecież od tamtego czasu upłynęło ponad czterdzieści lat. Nieraz dopada mnie niespodziewanie, a czasem nachodzi przy okazji innych rozstań, tak jak teraz, kiedy odeszły niemal jednocześnie dwie liczące się dla mnie osoby. Zwłaszcza że na pogrzebie Zosi pojawił się

nieoczekiwanie Modest, niedoszły mąż i wielka miłość Joanny. Kiedy zbliżył się do nas przy grobie, aby złożyć kondolencje, nie mogłam uwierzyć, że to on.

– Modest? – spytałam zaskoczona. – To naprawdę ty?

– Tak, to ja. Jest mi ogromnie przykro z powodu śmierci pani Zofii. Szczerze wam obojgu współczuję. Że jesteście jednak razem, dowiedziałem się z nekrologu.

– Znałeś Zosię?

– Pracowaliśmy razem.

– Nic o tym nie wiedzieliśmy.

– A ja nie wiedziałem, że jest siostrą Jerzego.

– Zapraszam cię na obiad.

– Nie mogę. Za dwie godziny lecę do Brukseli. Zadzwoń do was. Oczywiście, jeśli otrzymam numer telefonu.

Wyjęłam wizytówkę z torebki i podałam mu ją bez słowa. Ktoś następny z żałobników podchodził już do mnie. Modest oddalał się szybko. Byłam zaintrygowana jego obecnością na pogrzebie. Myślałam, że znalazł się tu przypadkiem, poznał nas i podszedł, a on jak się okazało, pracował z Zosią!

Pojawienie się tego człowieka z życia mojej utraconej siostry sprawiło, że jeszcze bardziej intensywnie o niej myślałam. Ale trwała oto nowa żałoba, było mnóstwo powinności, formalności związanych z likwidacją domu zmarłej siostry męża, a więc wrażenie z tego spotkania nieco się zatarło.

Po tygodniu, kiedy emocje zaczęły powoli opadać, odebrałam telefon, który przyprawił mnie o bicie serca.

– Dzień dobry. Mówi Modest Twardowski. Odzywam się, jak obiecałem.

– Gdzie jesteś?

– W Warszawie. Właśnie wróciłem.

– Więc to jednak byłeś ty! Nie mogłam się nadziwić. Co za zbieg okoliczności!

– Zbieg okoliczności? Nie nazwałbym tak tego. Przeczytałem nekrolog i przyszedłem na pogrzeb pani Zofii.

– Znałeś ją więc.

– Pracowaliśmy razem w Algierii.

– Nigdy nam o tym nie mówiła.

– Nie rozmawialiśmy na tematy osobiste. Bardzo się szanowaliśmy, ale rozumiesz, różnica wieku i w ogóle to była znajomość tylko zawodowa. No i nie miałem pojęcia, że ona jest siostrą Jerzego. Nosiła inne nazwisko po mężu, zresztą ta wasza historia... że jednak się pobraliście...

– No tak... przecież kontakty się urwały... Słuchaj Modest, skoro los nas zetknął, szkoda, że znowu w smutnych okolicznościach, nie możemy tego zignorować. Nie zechciałbyś się z nami spotkać?

– Z przyjemnością.

– Wpadnij do nas w wolnej chwili.

– Chętnie to zrobię, gdy przyjadę na dłużej do Warszawy.

– Kiedy tylko zechcesz i będziesz mógł. Oczywiście... z żoną, czy...

– Będę sam.

– Sam czy z kimś będziesz mile widziany.

Tak mu powiedziałam, ale zaraz po telefonie zaczęłam rozważać, czemu ma służyć odnawianie tej znajomości. Bo przecież nie rozdrapywaniu starych ran. To prawda, że długo po śmierci mojej siostry lubiłam wyobrażać sobie, co by było, gdyby nie odeszła. Jak wyglądałoby jej życie z Modestem i ich dziećmi. Mój Boże, nie dane jej było doświadczyć tego, co najpiękniejsze, macierzyństwa. Odeszła omal nie zabrawszy za sobą ojca, który po jej śmierci długo chorował na banalne zapalenie płuc. Nie

chciał walczyć z chorobą, poddawał się... to cud, że przeżył. Mama nad nim czuwała... może rzeczywiście kobiety są silniejsze. A dla Modesta cóż znaczą te kradzione chwile szczęścia z odległej młodości w porównaniu z latami, które upłynęły od śmierci mojej siostry? Ale dla Jerzego spotkanie z nim może mieć duże znaczenie. Opowie nam o algierskim epizodzie w życiu Zosi. Tak nazywaliśmy ten fragment jej biografii. Jechała tam niechętnie i wróciła niespodziewanie szybko. Chyba zerwała kontrakt. Albo zrezygnowano z niej. Jednak jest to mało prawdopodobne, bo była świetnym architektem. Trzeba będzie pociągnąć Modesta za język, kiedy się u nas zjawi. Może nam coś powie na ten temat.

Staralam się, aczkolwiek bezskutecznie, odsuwać od siebie myśli o jego zawodowej znajomości z Zosią, bo przecież on był przede wszystkim częścią życia mojej utraconej siostry. Pierwsze moje spotkanie z nim, dwa lata po śmierci Joasi, uspokoiło mnie na tyle, że mogłam zacząć myśleć o swoim życiu... a jak będzie teraz? Bo przecież kiedy dojdzie do spotkania po latach, ja go nie uspokoję tym, czego się dowiedziałam od człowieka z lasu, tylko zaburzę spokój, który z upływem czasu zapewne zdołał odzyskać. Jedno jest pewne – przeklinać będzie jak ja ten przypadek, który sprawił, że to nieszczęście się zdarzyło, tak wielkie zataczając kręgi.

Nie mam odwagi ujawnić swojej tutaj obecności przed całą rozwrzeszczaną ferajną, która wysypała się przed chwilą z odrapanego forda Wieśka. Słońce złocistymi mieczykami przebija się przez koronkowe wstawki w zasłonce i to te mieczyki obudziły mnie na parę minut przed tym, jak usłyszałam charakterystyczny klekot rozregulowanego silnika. Przesłaniam oczy i przez dziurki w koronkach badam sytuację na łące. Jest ich czterech i ona – Magda zwana „Walkirią”. Wszystko we mnie buntuje się przeciwko nim na sam dźwięk ich głosów. Nawet mi do głowy nie przychodzi, że mogę być niesprawiedliwa w ocenie środowiska, które lubiłam. Od czasu tragedii wszystko w nich mnie drażni. Rozmawiają z sobą tak, jakby znajdowali się każde w innym krańcu wielkiej nieakustycznej sali, gesty mają szerokie, doskonale wykończone, zanoszą się drażniącym śmiechem, ukazując całe bogactwo uzębienia, zaden z atutów osobistych nie pozostaje niewykorzystany, nauka nie poszła w las... Razem z kaskadami śmiechu, dowcipami głoszonymi tubalnie i obliczonymi na szerszy aplauz, z całym tym niekończącym się spektaklem granym przed niewidzialną na razie widownią ulatnia się mój mozolnie budowany i rosnący we mnie aż do wczoraj spokój.

Nie muszę nawet podnosić głowy z poduszki, żeby śledzić to, co się dzieje na dole. Mogłabym leżeć cały dzień bezpiecznie ukryta za firanką i nie uroniłabym najdrobniejszego szczegółu. Przynajmniej w tym względzie idiotyczne wstawki koronkowe w firance, które przeklinam każdego ranka, oddają mi nieocenione przysługi. Wiatr kompromitująco rozmnożył ślady wczorajszego „bankietu” pod wędzarnią. Nieuprzątnięte serwetki, w które zawinięto ości, porzucone niedbale metalowe kieliszki, butelki i gitara Maćka zwanego „Okudżawą”, resztki zwęglonych gałęzi – wszystko to, gdy tak patrzę z góry, w zagadkowy sposób kojarzy mi się ze szczątkami starej Pompei, zmiążdżonej przez potoki lawy. Jest to, być może, ryzykowne porównanie, jako że starą Pompeję, żałośnie płaszczącą się u stóp Wezuwiusza, oglądałam jedynie na kolorowych ilustracjach w podręczniku. Zamykam na chwilę oczy i odczuwam bolesne wspomnienie.

Hałas ferajny oddalił się w stronę pomostu, ale zanim na łące rozgościła się cisza, niespodziewanie rozkrzyczała się chaotycznymi dźwiękami strun gitara przy akompaniamencie histerycznego szczekania Azora – psa gospodarzy. Ten duet natychmiast dokonał tego, co niezupełnie udało się przybyszom. W „Imperialu” zaczął się dzień. Pierwszy zareagował „Okudżawa”. Wybiegł w rozpiętej piżamie, chwycił gitarę i pewnie pomknąłby z nią do swojego namiotu, gdyby nie była tak ciężka i ruchliwa z ucepionym do niej Azorem.

– Poszedł leżeć! Do nogi! Aj!!! – zakończył serię rozkazów skierowanych do Azora bolesnym krzykiem.

Azor, zmyślna bestia, polecenie „do nogi” pojął w lot i zinterpretował w swoisty sposób – przyczepiając się zębami do łydki „Okudżawy”. Potem błyskawicznie odskoczył i znowu zaczął „grać” na gitarze, usiłując wyszarpać wetknięty między struny kawałek kiełbasy.

– Żle, Maciek, fałszujesz, ma być G7! – zagrzmiała ze swego okna Kamila. Jej kontrakt po wczorajszym bankiecie wzbogacił się o nowe niskie tony.

„Okudżawa” spojrział z nienawiścią w okno Kamili, bezlitosnej cenzorki jego muzykalności, na co ona odpowiedziała mu swoim gardłowym „ha, ha, ha”, potem odwrócił się, ale pies zyskawszy na czasie, już do reszty ugruntował swoją przewagę. Ciągnął oto do lasu, zostawiając jasną smugę na miękkiej trawie, zbeszczeszczony przedmiot chluby Maćka, znakomitego skądinąd fizyka, który skutecznie zatruwa nam od tygodnia wieczory obrzydzając ballady Okudżawy. Zaskarbił sobie wprawdzie łaski pani Misi, która ubóstwia ludzi utalentowanych, tylko że łaski pani Misi są kapryśne i łatwo skłaniają się ku tym, których

talenty przystroją się w większe laury. Niewątpliwie atrakcją tych występów jest sumienna, robiona na gorąco korekta muzyczna Kamili, kompozytorki znanych przebojów przerywana jej radosnym, bulgocącym gdzieś na granicy dolnych rejestrów śmiechem.

Finał kielbasianej afery rozegrał się w lesie. Maciek odzyskał swoją gitarę za cenę jeszcze kilku jej zadrapań oraz dwu zerwanych strun. Takiej ewentualności nie przewidział i oczywiście ku powszechnej radości wieczorne koncerty zostaną na niewiadomy czas przerwane. Ukrywszy bezpiecznie w namiocie sprofanowaną gitarę, Maciek z pełnym spokojem może zabrać się do polewania ran wodą utlenioną. Wystarczającą skuteczność tych poczynań gwarantuje mu umieszczona na centralnym wzniesieniu łąki tabliczka z cenną informacją, że „azor jest zaszczepiony przeciwko wściekliwości”. Tymczasem bohater tak pedantycznie przeprowadzonej akcji z radośnie falującym ogonem, z kielbasą w zębach powraca z lasu i układa się ze zdobyczą, o ironio, w cieniu namiotu Maćka. Nie żywi do niego urazy, pachnąca kielbasa satysfakcjonuje go w pełni, spogląda na niedawnego wroga prawie przyjaźnie, kryjąc w błyszczących ślepiach obietnicę, że kto wie, jak się już do syta nagryzie i nawącha, może da się namówić na figle i skoki do wody z patykiem. Są to deklaracje zbędne, bowiem nie tyle odniesione rany, co poszarpane struny gitary na długo wymażą Azora z myśli „Okudźawy”.

Takim oto zdarzeniem rozpoczął się jeden z czerwcowych dni na przepięknym półwyspie o groźnej nazwie Kurhanowo, odcięty od świata z dwóch stron wodą wielkiego jeziora, a z trzeciej odgrodzonym lasem od najbliższej, oddalonej o półtora kilometra wioski.

Zdarzenie owo jedynie na pozór wydaje się błahe, jest ono w rzeczywistości tak różnorakie, jak wiele jest stron, z których się na nie patrzy. Jest patetyczne od strony Azora, który wielbi w tej chwili świat za rozkosz wąchania kielbasy, jest smutne w opinii uszkodzonego Maćka, choć zabawne w oczach naszych – sezonowych mieszkańców „Imperialu”.

Nazwa przystani wywodzi się od zdarzenia, które nabrało posmaku anegdoty. Prawie trzy lata temu pewna początkująca gwiazdka baletu uwodzona bez skutku przez Wieśka Oborskiego, znęcona propozycją urlopu we dwoje w warunkach podobnych do tych na Florydzie, radośnie zgodziła się na przyjazd do Kurhanowa. Wiesiek, znany kawalarz, widząc, jak buzia dziewczyny różowieje z podniecenia w miarę roztaczania przez niego wizji niebywałych luksusów życia na półwyspie, tak dalece dał się ponieść fantazji, że nie było już powrotu do prawdy i tylko udanie się w to miejsce mogło położyć kres blagom. Wiesiek zajechał z fantazją na łąkę i stanął na wprost wielkiej drewnianej szopy. Z samochodu wysiadła elegancka panienska w pełnym makijażu i zaczęła się rozglądać, budząc zrozumiałe zainteresowanie. Zaraz otoczył ją tłumek bosych „dzikusów”. Panienska uśmiechnęła się z zadowoleniem. Entrée wypadło znakomicie! Potem oparła się ufnie na podanym jej przez Wieśka z galanterią ramieniu i wykonali „promenadę” w kierunku pomostu. Wszyscy zaniemówiliśmy i w nabożnym milczeniu, wężąc doskonałą zabawę, ruszyliśmy za tą parą. Kto się nie zmieścił na pomoście, szedł przez wodę, byle być jak najbliżej i nie uronić nic z tak dobrze zapowiadającego się przedstawienia. Każdy znalazł sobie natychmiast niezbyt absorbujące zajęcie: polerowanie pokładu łódki, składanie wędek i tym podobne. Tylko Walkiria usytuowała się beczelnie tuż za plecami Wieśka i nie spuszczała oczu z panienki. Ciekawość nasza, co będzie dalej, została zaspokojona dość szybko. Panienska wyrzuciła z siebie kilka „achów” i „ochów” na temat pięknego krajobrazu, zatrzepotała przymilnie czarnymi jak smoła rzęsami w stronę Wieśka, po czym ku ogromnej uciechu gawiedzi zaproponowała:

– Chodźmy już Wiech do „Imperialu”, chciałabym się rozpakować i wykapać.

Ręce zawisły nam nad improwizowanymi robotami, znieruchomieliśmy.



– Idź sama, ja tu jeszcze postoję – odpowiedział spokojnie Wiesiek.

– Kiedy nie mam pojęcia, gdzie ten „Imperial”, przecież jestem tu pierwszy raz – zaszcebiotała panienka, umyślnie podkreślając słowo „Imperial”, gdyż to właśnie stawiało ją w jej wyobraźni o parę szczebli wyżej od nas, dzikusów, którzy na odgłos nadjeżdżającego samochodu wysypaliśmy się z drewnianej szopy na łąkę.

Natomiast ten nicpoń nad nicponie, Wiesiek, odwrócił panienkę w stronę rzeczonoego obiektu, który najwyraźniej miała w głębokiej pogardzie, i zaczął wykladać:

– Widzisz, serduszek, ten wspaniały budynek? – Dziewczyna, już lekko zaniepokojona, kiwnęła potakująco pięknie utrefioną główką. – To jest „Imperial” twoich marzeń. A ten tam na górze pokoik, w okienku którego tak ślicznie odbija się słońeczko, to nasz wspaniały apartament nazywany „Samotnią”, bo trzeba ci duszko wiedzieć, że tu wszystkie pokoje mają swoje wdzięczne nazwy i przepiękne tradycje. Bądź łaskawa wspiąć się po tej oto wytwornej drabinie zastępującej schody i jeśli ci to nie czyni różnicy, dla mnie zostaw pryczę pod oknem...

Byłby się drań nie wiem ile jeszcze znęcał nad niebogą, żądny naszego poklasku, gdyby nie trafiła kosa na kamień. Po pierwszych sekundach konsternacji dziewczyna odnalazła się natychmiast i niespodziewanie stanęła na wysokości zadania:

– A więc to tak?! – krzyknęła. – Wobec tego ty weźmiesz kąpiel pierwszy! – Pochyliła się energicznie i baranim ruchem zadając Wieskowi cios głową w brzuch, zepchnęła go z pomostu. – A swoją pryczę – dodała – zawczasu wystaw sobie gdzieś na przewiewne miejsce – pokazała łąkę – bo ja mojego apartamentu z nikim dzielić nie myślę!

Co rzekłszy, spokojnym krokiem odeszła do samochodu, odprowadzana huraganem naszego śmiechu, który – jak sądziła – brzmiał ku jej chwale.

Była to pierwsza wygrana runda Agaty. W niespełna trzy miesiące została żoną najbardziej wziętego satyryka ostatnich lat, Wieśka Oborskiego. Teraz, po prawie trzech latach, jest już jedną z cenionych solistek Casino de Paris. Wiesiek przegrywał kolejne rundy, aż do ostatecznego nokautu, który zadała mu oświadczając, że wyjeżdża do Paryża z choreografem z Opery Paryskiej i uważa, że ich małżeństwo jest już sprawą skończoną. Porzucony, będąc w otchłani desperacji, napisał iskrzącą się irracjonalnym dowcipem sztukę, którą chętnie wystawiają wszystkie liczące się teatry... i zaprzyjaźnił się mocniej z kieliszkiem, z którym to kompanem podczas dość długiego epizodu z Agatą nie stykał się prawie w ogóle. Potem, po jej odejściu, różnie bywało, ale od czasu pamiętnego pojawienia się Agaty na półwyspie nazwa „Imperial” przylgnęła na stałe do Rybaczówki. Niektórzy zaczęli, najpierw dla żartu, adresować tak listy, wkrótce i adres się przyjął.

Po ekscesach z gitarą zapadłam w drzemkę. Otwieram oczy i stwierdzam z przyjemnością, że łąka przy wędzarni powróciła już do swojego normalnego, schludnego wyglądu. Jakaś niewidzialna ręka zamieszana we wczorajsze „harce i swawole” uprzętała ślady biesiadowania.

Sądząc z wyglądu spacerującej po łące pani Misi, Okudźawa, przepadł z kretelem. Pani Misia, trzydziestopięcioletni podłotek, jest żywą reklamą warszawskich komisów. Modne trepy na piętnastocentymetrowej zelówce, ażurowy kostium z dzianiny przetykanej złotą nitką, kapelusz panamski z tęczową wstążką i do kompletu nieodłączny czepek kąpielowy imitujący perukę z drobno skręconych włosów, na znak, że w każdej chwili gotowa jest swe, trzeba przyznać, wspaniałe kształty zanurzyć w jeziorze. Zastanawiam się, dla którego z nowo przybyłych jest dziś taka czarująca? Czy dla pięknego Iwa – króla konferansjerów, czy dla Rafała – spikera telewizyjnego, czy dla Jerzego, poczciwego olbrzyma o urodzie goryla, reżysera filmów, które zdołały mu już przysporzyć światowego

rozgłosu. Sądzę, że dla któregokolwiek z nich się trudzi, lepiej by uczyniła pozostając wierna Maćkowi.

Ich udział w życiu, którym pulsuje „Imperial”, jest pozorny, aczkolwiek to oni nadają mu ton. Przyjeżdżają tu z jednym realnym postanowieniem, które realizują sumiennie: zregenerować się jak najlepiej.

To jest sprawa niewątpliwa. Zupełnie inną sprawą jest to, czy i jaki udział mają w tragedii Aśki. To właśnie uzasadnia moją tu obecność, bo dla mnie wszyscy oni przestali istnieć tamtego dnia i jeśli się o nich ocieram, to tylko z jednego powodu: muszę poznać prawdę!

\* \*  
\*

Dopiero teraz, po przeszło dwóch latach, odważam się otworzyć ten zeszyt, który znalazłam na półce z papierami Joanny. Jest to duży, stukartkowy notatnik, oprawiony w płótno i opatrzony wypracowanym, pomalowanym na czerwono napisem: *Najwyższe napięcie*.

Z najwyższym napięciem wkradam się w ten świat Aśki, z którego wyłoni mi się ktoś, kogo może nie znam lub znam mniej, niż się tego spodziewałam. Całą drugą stronę okładki wypełnia duża fotografia Aśki. Już jej takiej prawie nie pamiętam. Włosy ściągnięte wysoko, tak mocno, że jej nieco skośne oczy wydają się sięgać skroni. Uniesione wąskie brwi nadają drobnej twarzy wyraz zdziwienia, na ustach charakterystyczny, lekko przepraszający uśmiech, w którym szeroko otwarte oczy nie biorą, wbrew jej zwyczajowi, udziału. Długa, cieniutka szyja, obramowana u nasady białym kołnierzykiem, odchyła się nieco w bok, może pod ciężarem spływającego od czubka głowy warkocza. Przez ciemny materiał sukienki sterczą chude, wąskie ramiona. U dołu fotografii widać wykaligrafowany napis:

„Taka jestem teraz, w epoce przeżywania mego najwyższego napięcia. To właśnie ja, autorka tych bazgrołów, których czytanie grozi intruzom natychmiastowym porażeniem, od dwóch miesięcy uczennica klasy jedenastej b – Joanna Morawiec. Rok 1957”.

Rozmyślnie dość szybko przenoszę wzrok na pierwszą stronę, wypełnioną gęściutkim gotyckim pismem Aśki. Jednak tu również nie mogę uciec od wzruszenia, bowiem ustawione w równiutkie szeregi słowa niespodziewanie przemawiają jej głosem, świeżym, mocnym, to wybuchającym patosem, to znów gasnącym nieoczekiwanie prawie do szeptu.

# JOANNA 1958

Boję się, żeby nie zapeszyć, ale to właśnie ten rok może się okazać najszcześniejszy w moim życiu. Oczywiście mam na myśli moje dorosłe życie, bo jako dziecko miałam dużo szczęśliwych chwil, a już apogeum był powrót do nas taty z Anglii.

A teraz zdałam maturę i dostałam się na romanistykę. Tata uznał to za rewelację, zważywszy na jego wątpliwą reputację „powojennego reemigranta”. Taką łatkę mu przypięto i ma ona kolosalne znaczenie w traktowaniu naszej rodziny w urzędach i szkołach. Doświadczając szczęścia bycia razem upadliśmy na dno hierarchii społecznej, jak żartuje tata, aczkolwiek wcale to śmieszne nie jest. Bo jakim prawem to, że wrócił po wojnie do Polski z Zachodu, a nie ze Wschodu niweczy jego zasługi jako bohatera wojennego?

– Nie widzę w tym sensu, tato.

– A kto ci powiedział, że należy szukać sensu w polityce? – mówi tata. – Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej główki.

– Ale tobie, tato, przecież dzieje się krzywda.

– Byleby to was nie dotykało...

Co tu dużo mówić, dotyka mnie taka niesprawiedliwość wobec taty-bohatera. Prawdę mówiąc, czuję się nawet głupio, że jestem tak obrzydliwie szczęśliwa. Bo nie dość, że mam maturę i egzamin na studia za sobą, to jeszcze Rafał też będzie studiował w Warszawie, w dodatku zamieszkamy w sąsiadujących z sobą akademikach: on przy Kazimierzowskiej, ja przy Madalińskiego – dwieście metrów od siebie! I jak tu tego nie nazwać szczęściem?

Jak to dobrze, że rodzice mają oprócz mnie Ewę. Urodziła się niecały rok po powrocie taty. Tyle robią szumu z powodu tego, że opuszczam dom jadąc na studia, jakbym wyjeżdżała za morze, a przecież od nich z Kazimierza do Warszawy jest całkiem blisko.

Odkąd Ewka nauczyła się czytać, muszę dobrze chować mój pamiętnik, bo ciągle na niego poluje. Niedługo, jak wyjadę, będę miała z tym spokój. Te moje pierwsze dorosłe wakacje po maturze mieliśmy spędzić całą rodziną, ale coś się pokićkało z mamy urlopem i nie możemy, tak jak było zaplanowane, wyruszyć w lipcu razem nad morze. Tata chwilowo jest bez pracy i martwi się, że przełożony na późnej urlop mamy opóźni jego poszukiwanie nowego zajęcia. Mama uspokaja go, że zawsze jest jeszcze pralnia, więc nie chce, żeby się zamartwiał.

– Pralnia to odskocznia, a ja, jak wiesz Iduniu, szukam wyzwania.

Ową „odskocznnię”, to znaczy całe oprzyrządowanie pralni chemicznej, tata przywiózł z sobą z Anglii, w bagażniku starej dekawki, którą wciąż remontuje i nadal nią jeździmy. Zarówno pralnia, jak i dekawka ratują budżet rodziny. Pralnia zarabia na masło do chleba, a dekawka wozi całą rodzinę tu i tam. Bez niej nie moglibyśmy tyle razem podróżować. A miało być inaczej. Gdyby przeprawa mamy i moja za granicę w 1946 roku się udała, żylibyśmy w Anglii na przyzwoitym poziomie. Tata wtedy wszystkie swoje oszczędności oddał przewodnikowi, który miał nas przeprowadzić przez góry za granicę. Nie było innej możliwości połączenia się, bo nie chciano nam wydać paszportów. Mama posprzedawała więc wszystko, co mogła, oddała nasze mieszkanie cici Juli i powędrowaliśmy w stronę zielonej granicy. Pech chciał, że pół godziny przed spotkaniem z nami przewodnik opłacony przez tatę został zwinięty przez bezpiekę i aresztowany. Jego pomocnik, któremu udało się uciec, ostrzegł mamę i dzięki temu uniknęliśmy aresztowania.

Tata, wykosztowany doszczętnie na naszą nieudaną przeprawę, zdecydował się wrócić do Polski.

Dobrze, że zaprzyjaźniony z nim kolega z wojska poratował go dekawką i oprzyrządowaniem pralni chemicznej, którą sobie wymieniał na nową.

*8 lipca 1958*

Jestem w najcudowniejszym miejscu na ziemi, na półwyspie będącym częścią ukrytej w lasach malowniczej wsi, która nie wie, czemu nosi ponurą nazwę Kurhanowo. Po prostu ironia losu – taka nazwa dla raju.

Pan Wyrwicz dał tacie do dyspozycji łódkę i spędzamy całe dni na wodzie. Za namową taty i ja zaczęłam łowić ryby, ale nawet kiedy biorą, nie potrafię żadnej zdjąć z haczyka. Tatę to gapiostwo denerwuje, a ja wcale się nie zagapiam, tylko nie mam sumienia wyszarpywać im tego haczyka z krwawiących ranek. To moja z mora. A jeśli już zdejmę, to wypuszczę, bo mi ich szkoda.

Poza tym jest tu cicho i pusto. Wymarzone miejsce dla zakochanych. Cóż, nie sądzono, że mi go dzielić z Rafałem. Na całym prześlicznym półwyspie, choć ma powierzchnię ponad kilometra, mieszka tylko przyjaciel taty pan Leon Wyrwicz ze swoją młodą żoną Liżą, która jest niedokończonym zootechnikiem.

– Właściwie tato, skąd ty znasz pana Leona? Nigdy przedtem jakoś się o nim w domu nie mówiło.

– Bo nie byłem pewny, czy przeżył wojnę. List, który do niego wysłałem, wrócił z Zakopanego z napisem „adresat nieznany”. Nie wiedziałem, gdzie go losy zaniósł. Gdyby nie kapral Kwiatkowski...

– Ten twój podwładny spod Kocka?

– No właśnie.

– Ten, który załatwił ci tę pracę kierownika farmy lisów w Płońsku?

– Ten sam.

– Miałeś autorytet jako dowódca oddziału.

– Tak kiedyś było. Żeby zostać oficerem, uczyłem się latami. To była wiedza, ćwiczenie charakteru i tak dalej. Latami kumulowane wartości. Trzeba było podwładnym czymś zaimponować i jakoś ich porwać za sobą. Lata spędzone od dziesiątego roku życia w szkole, a potem w korpusie kadetów nie poszły na marne.

– Nasz nauczyciel historii, wychowawca w klasie maturalnej, pan Różycki tak jak ty był przedwojennym oficerem. Uwielbialiśmy go i szanowaliśmy. Nie tylko potrafił z wykładanego przez siebie przedmiotu uczynić dla nas intelektualną przygodę, ale miał taką wiedzę, że mógł zastąpić każdego nauczyciela. To było niesamowite, mówię ci. Kiedy matematyczka zachorowała albo polonista nie pojawiał się w szkole, pan Różycki zastępując ich radził sobie lepiej niż oni. A jak grał na fortepianie! Człowiek renesansu – zupełnie jak ty, tatusiu. Właściwie nie mogę zrozumieć, jak mając takich dowódców mogliśmy przegrywać bitwy. Na przykład tę pod Kockiem.

– Och, dziecinko! Wojna ma swoje wymagania. Samą wiedzą jej nie wygrasz. A my nie mieliśmy sprzętu... Wczoraj rozmawiałem z Leonem o tych naszych przeżyciach.

– To pan Wyrwicz też był pod Kockiem? Walczył razem z tobą?

– Walczył. Był ułanem. Ale spotkaliśmy się dopiero po klęsce. Po złożeniu broni nie zamierzałem, podobnie jak wielu z nas, przestać walczyć o ojczyznę. W Polsce nie było to wtedy możliwe. Trzeba było przedostać się za granicę. Z mundurem w plecaku, przedzierzgnięci czasowo w cywilów szliśmy na południe. Przedzieraliśmy się nocami przez sioła i miasta, a dniem ukrywaliśmy się w lasach. Na którymś takim postoju poznałem Leona Wyrwicza. Jako stały mieszkaniec Zakopanego obiecał

przedstawić mi ludzi, którzy znali miejsce nielegalnego przekraczania granicy i mogli pomóc taką przeprawę zorganizować. To dzięki jego koneksjom udało mi się dotrzeć do Rumunii, chociaż nie była to droga usłana różami... A teraz – zmienił nagle temat – powiedz mi, dokąd masz ochotę płynąć?

– Kiedyś będziesz mi musiał dokładniej o tej trudnej przeszłości opowiedzieć. Jak skończę studia, napiszę o tym książkę.

– Jeżeli nie zdradzisz takich marzeń dla muzyki. Nie byłoby to tragedią, ale...

– Dlaczego tak sądzisz? Nie bój się, skończę studia i jeszcze stenografii się nauczę.

– Ambitne plany. Ale czyżbyś zamierzała zostać sekretarką?

– Raczej pisarką – to znaczy chcę napisać o tobie, bo ty, tato, jesteś niezwykły.

– I do tego potrzebna ci jest stenografia?

– No pewnie. Żeby nie uronić ani słowa z twoich opowieści.

– Naprawdę tego chcesz, córeczko?

– A pan Leon?

– Co pan Leon?

– Czy on też był z tobą za granicą?

– Nie, został w Zakopanem. Organizował tam opór ludności cywilnej przeciw okupantom. A tam się działo!... Źle go oceniałem. Kiedy powiedział mi, że zostaje w kraju, pomyślałem, że stchórzył. Swoją decyzję tłumaczył pokrętnie: że kocha góry, że rodzice są starzy... Każdy z nas zostawiał jakąś rodzinę, taki jest los żołnierza. Odjeżdżałem z rozdartym sercem, ale nie mogłem zaprzestać walki. A on twierdził, że tu też może się przydać, no i został bohaterem. Po drugiej nieudanej próbie przejścia przez granicę w Białce poprosiłem go o przechowanie wszystkiego, co z sobą niosłem: zdjęć rodzinnych, pamiątek. Wiedziałem, że im mniej dowodów mojej tożsamości, tym łatwiej będzie przechytrzyć wroga.

– I on to przechował?

– Tak, oczywiście. Dlatego mnie szukał.

– A ty go nie szukałeś, tato?

– A jakże! Niestety wtedy, kiedy wróciłem, on siedział w więzieniu.

– Za co?

– Za walkę o wolną Polskę. Chwała Bogu, że udało mu się przetrwać!

– Tak kochał góry, a jednak je zdradził. Ale rozumiem go, tutaj też jest pięknie.

– Prawda? Popatrz córeczko na tego perkoza, czy on nas nie śledzi? A gdybyś widziała tę zatoczkę żurawi – to istna bajka!

– Zabierzesz mnie tam?

– Musiałabyś wcześniej wstawać. Dużo tracisz śpiąc tak długo. O świcie świat jest najpiękniejszy.

– Półwysep pana Wyrwicza jest wspaniały! Że też udało mu się go kupić.

– Kupić? On się najzwyczajniej wzenił w tę ziemię.

– Jak to?

– A tak to! I dał tym prztyczka w nos władzy ludowej.

– Dlaczego?

– Widzisz, dziecko, on ich przechytrzył. Został tu, podobnie jak wielu intelektualistów niewygodnych władzy, zesłany, skazany na pracę w odosobnieniu. Zatrudnili go jako drwala. Sam pośród prostych ludzi pracował przy wyrębach.

– Został drwalem? Wykształcony wszechstronnie artysta i humanista?

– Nie wzięli pod uwagę jego wrażliwości, nie przewidzieli, że zachwyci się tutejszą przyrodą i że się zakocha. Zanim Liza wróciła tu po studiach, smalił też cholewki do pięknej Marysi, ale ona miała męża i nie zwracała uwagi na przybysza. Natomiast Liza, córka przystaniowego, okazała się podatna na jego

szarmanckie zaloty. Dwudziestoletnia różnica wieku niczemu nie przeszkodziła. Rodzice Lizy trochę grymasili, mówili, że oblubieniec mógłby być młodszy, ale córka zupełnie straciła dla niego głowę. Widząc, co się święci, nadzorcy zesłania postanowili skrócić karę i zwolnić go do domu. Ale on nie wyjechał. Postanowił się ożenić i pozostać w tym miejscu. Dla władz była to sprawa niezręczna, bo poniemiecką ziemię nadawano w nagrodę za wierność władzy ludowej i ten półwysep dostał żołnierz Armii Ludowej, który przeszedł szlak od Lenino. A teraz ten nieprawomyślny Leon, przedwojenny sanacyjny oficer, może go przejąć czy odziedziczyć za przyczyną małżeństwa z córką ich bohatera. Ironia losu. I tak się stało. Nie minął rok od wesela, jak ojciec Lizy zmarł i jej źle widziany przez władze mąż został panem na włościach. No i co? Nie zagrał im na nosie?

Takie to rozmowy prowadzę z tatą, kiedy pływamy po jeziorach mazurskich. Opaliłam się na „konika kasztanka”. Chodzimy też do lasu. Dopiero teraz przekonałam się, jak niezwykle jest mój tata. Potrafi żeglować, zna się na rybach, grzybach i jagodach, nie ma takiej sytuacji, w której czułby się bezradny. A jak gotuje!

Mama miała wielkie szczęście, że go spotkała. Mój Rafał jest wprawdzie przystojny, ale tacie nie dorównuje. No, ale on jest jeszcze bardzo młody. Czas pokaże, jakim okaże się mężczyzną.

No, no! Sama się sobie dziwię, jak potrafię mędrkować. A w ogóle ten pamiętnik miał być dowodem na to, jak mi źle i ciężko bez Rafała, jak usycham z tęsknoty za nim. Wstyd się przyznać – ale nic z tych rzeczy. Pobyt z tatą w przepięknym Kurhanowie jest tak intensywny, że zdarza mi się całymi godzinami nie myśleć o Rafale. Pływamy łódką, rozmawiamy, wędrujemy po lasach, potem kolacja przy ognisku z gospodarzami i ledwie żywa padam na wypchany słomą materac, umieszczony w zbitym z surowych desek ni to łóżku, ni to pryczy na pięterku Rybaczówki – bo tak nazywa się szopa-domek gościnny na posesji Wyrwiczów.

No i już sobie popisałam. Tata woła mnie na ognisko. Mogłabym wymówić się bólem głowy i zostać tu, w pokoiku na górze, by pisać o tym, że serce me tęskni... Rzecz w tym, że rozmowy, które tata prowadzi z panem Leonem, są dla mnie tak fascynujące, iż nie wyrzekłabym się uczestniczenia w nich za nic na świecie.

No nie! Przecież to nieprawda! Gdyby zjawił się tu Rafał i zechciał być ze mną sam na sam, poszłabym za nim jak w dym. Co z tego, skoro go nie ma? Ale świntuch ze mnie. Mój ukochany nie może się dowiedzieć, że brak mi czasu na myślenie o nim. Mówię ci to, mój pamiętniczku, w najgłębszej tajemnicy, ufając, że mnie nie wydasz. A teraz biegnę na ognisko. Ciekawe, czego się tym razem dowiem.

*19 lipca 1958*

Nadszedł list od Rafała i poczułam się nikiemnie. Ma co prawda piękną pogodę nad morzem, ale beze mnie wcale go to nie cieszy. Ani spaceru po molo, ani całe roje pięknych, opalonych dziewcząt, ani kąpiele na falach – to nie to! Rodzice zbesztali go, że swoim mrukliwym nastrojem psuje im urlop, a jak on ma nie być gderliwy, skoro ja jestem daleko. Jego mama podobno zrobiła ojcu awanturę, że ogląda się za dziewczętami sto razy chętniej niż syn!

Dzisiaj czytam to wszystko i czytam, niemal umiem ten list na pamięć. Jestem szczęśliwa, ale nie mam pojęcia, co na to odpiszę, bo ja, mimo że Rafał mnie bardzo obchodzi, wcale się tu bez niego nie nudzę. Wczoraj po wycieczce łodzią z Wyrwiczami do Mikołajek ledwie znalazłam trochę siły na przeczytanie listu, taka byłam zmęczona.

A przedwczoraj na ognisku tata znowu kilka razy mnie zaskoczył. Zjawiłam się przed wędzarnią ostatnia, kiełbaski już były przypieczone, ziemniaki dochodziły w żarze, a oni wszyscy troje, to znaczy tata, pan Leon Wyrwicz i Liza, oglądali jakąś grubą księgę z obrazkami i zaśmiewali się. Stałam za ich plecami i zapytałam:

– Co tu macie? Ja też chcę zobaczyć.

Tata trzasnął twardą okładką tak, że książka zamknęła się z hukiem przypominającym odgłos wystrzału.

*Moja Kamasutra*. Ilustracje Leona Wyrwicza – przeczytałam wykaligrafowany ręcznie na grubym kartonie tytuł dzieła, które tak ich rozbawiło.

– O, pana rysunki, panie Leonie, mogę sobie obejrzyć?

– A obejrzyj, obejrzyj, proszę bardzo. To taka moja interpretacja...

– Zwariowałeś, Leon?! – wrzasnął mój tata i zerwał się jak oparzony. Wyrwał z rąk Lizy kartonową zszywkę z rysunkami i pobiegł z tym do chaty gospodarzy. Pędził jak wariat, oglądając się za siebie. Nie mogłam pojąć, co go tak opętało.

– Co cię ugryzło, Feliks? – śmiał się Wyrwicz. – Zostaw tę książkę. Joasia chciała obejrzyć.

– Nie waż się jej tego dawać, zbereźniku – krzyczał ojciec zza progu ich domu.

– Stróż moralności, myślałby kto! Od kiedy? – droczył się z nim pan Leon. – No, przynieś Joasi tę książkę, niech sobie popatrzy.

– Powtarzam, ani mi się waż! Joasia to jeszcze dziecko.

– No wiesz, tato, przesadziłeś – wtrąciłam swoje trzy grosze. – Nazwać mnie dzieckiem przy Lizie, będącej od dwóch lat żoną pana Wyrwicza, starszej ode mnie zaledwie o cztery lata, to co najmniej nietakt.

Nie miałam pojęcia, czemu mój wiek stał się nagle tak istotny, ale nie po to otrzymałam świadectwo dojrzałości i dowód osobisty, żeby własny ojciec wykrzykiwał, że jestem dzieckiem.

– Ha, ha, ładne mi dziecko! Zapewniam cię, stary, nie takie rzeczy widziała! – kpił pan Leon.

– Wypluj te słowa! – wykrzyknął groźnym tonem mój zazwyczaj opanowany, elegancki rodzic. – Wypluj te słowa! Skąd możesz wiedzieć, jakie rzeczy moja córka widziała?

– Znajac współczesną młodzież...

Liza mrugnęła do mnie porozumiewawczo, ale nie odmrugnęłam, bo byłam zaniepokojona zachowaniem taty. Nie miałam pojęcia, co go tak rozjuszyło. Nie poznawałam go. Dostrzegłam natomiast opróżnioną butelkę po winie leżącą obok ogniska i wywnioskowałam, że musi ona mieć coś wspólnego z tym, co się tu dzieje. Kiedy sobie to uświadomiłam, od razu pożałowałam, że ociągałam się z wyjściem, pisząc pamiętnik.

– No dobra, dobra. Zostawmy już *Kamasutrę*, skoro twoja córeczka do niej nie dorosła, i chodź tu do nas. Obiecałeś, że obejrzymy zdjęcia. Jestem ogromnie ciekaw, co przechowywałem przez tyle lat.

Aha! – pomyślałam. – Poszło im o tę jakąś *Kamasutrę*. Muszę to zapamiętać. Co też ta księga zawiera takiego, że w mego pocziwego tatę wstąpił taki diabeł? Będę musiała to sprawdzić – postanowiłam.

– Ale przecież tam były rysunki pana Leona... nic z tego nie rozumiem. Podpytam przy okazji Lizę, co się za tym kryje.

Ubawieni Wyrwiczowie szeptali coś do siebie, podczas gdy tata zniknął w czeluściach ich domostwa. Ale po chwili wyszedł stamtąd zupełnie odprężony, niosąc tekturowe pudełeczka. Postawił je na trawie i sięgnął po pierwsze z nich, z napisem: „Królowna Śnieżka”.

– Będiesz mi czytał bajki? – spytałam żartobliwie – bo skoro jestem dzieckiem...

Liza z Leonem roześmiali się głośno, a tata powiedział:

– Zawsze będziesz moim dzieckiem, czy ci się to podoba, czy nie. A teraz zobaczysz zdjęcia, które

wziąłem z sobą na wojnę, ale musiałem zostawić na przechowanie u Leona.

– Dlaczego musiałeś zostawić?

– Już ci mówiłem, ponieważ bałem się, że w razie wpadki na granicy, zabiorą mi je. A trzeba ci wiedzieć, że wtedy, po klęsce pod Kockiem, już będąc pod Spiszem, aż trzy razy przymierzałem się do przekroczenia granicy. Raz uciekaliśmy, bo Niemcy zrobili oblławę. Za drugim razem palili ognisko tuż obok przejścia i kiedy wydawało się nam, iż są na tyle rozbawieni, że nie zwracają już na nic uwagi, jeden z nich poświecił latarką i zobaczył nas o krok od zaoranego pasa granicznego. Mój przewodnik zdążył się ukryć, ale mnie złapali.

– *Hande hoch!* – wykrzyknął ten Niemiec i powstało zamieszanie. Ponieważ oni pili piwo, z duszą na ramieniu zaryzykowałem udawanie pijanego. Z głupia frant zapytałem o drogę do najbliższej wioski, mówiąc, że zabłądziłem, bo byłem na urodzinach dziadka. Łyknąłem trochę i czekałem z niepewnością, czy otrzymam kulkę w łeb, czy stanie się cud. Mówi się, że cuda się nie zdarzają, a jednak mnie się wtedy udało. Może dzięki temu, że znałem język niemiecki, nawet ich pijacki slang. To z czasów Carskiego Sioła. Mieszkali tam oprócz nas osadnicy niemieccy.

– Mieszkałeś w Carskim Siole, tam koło Leningradu?

– No właśnie. Tam się urodziłem. Zaraz wam to udowodnię.

I tata otworzył pudełko z napisem „Królowna Śnieżka”. Były w nim małe, stare, pożółkłe fotografie, poukładane równiutko w dwóch rzędach. Sięgnęłam po nie, ale tata odsunął moją rękę.

– Poczekaj! I tak nie wiesz, co jest co, muszę objaśniać. W tych zdjęciach jest zawarta historia dwóch ostatnich pokoleń naszej rodziny. Nie wiesz nawet, Leonie, jak wdzięczny ci jestem za to, że zdołałeś je dla mnie przechować.

Leon i Liza przysunęli swoje stolki do nas i siedzieliśmy wszyscy blisko siebie, dotykając się ramionami. Tata wyjął pierwszą fotografię.

– Mój dziadek, też Feliks, jak ja – powiedział podając mi ją – był powstańcem w 1863 roku. Został zesłany do Rosji.

– To dlaczego jest w carskim mundurze? – zapytał pan Leon.

– Bo zdjęcie zrobione było wiele lat później, kiedy był już kucharzem na dworze cara w Carskim Siole. A tam cała męska służba po pracy chodziła w mundurach.

– Zesłaniec kucharzem? A w Polsce co robił?

– A to jego żona Szwedka. W powstaniu dziadek walczył jako młokos ze szlacheckiego domu. Zawodu wyuczył się już na zesłaniu, i to tak dobrze, że trafił do carskiej kuchni. A oto mój ojciec Ignacy – pokazywał dalej tata – i jego siostry: Wiktoria i Helena. Po wybuchu rewolucji udało nam się wrócić do Polski. Ojciec poległ na wojnie bolszewickiej w 1920 roku, a Wiktoria i Helena były sanitariuszkami. A to mały Feliks, czyli ja, w Carskim Siole. To było tuż przed wybuchem rewolucji, w roku 1917, a więc miałem wtedy osiem lat. Po dwóch latach, zaraz po wojnie bolszewickiej, mając dziesięć lat, wstąpiłem do Korpusu Kadetów. A to już parę lat później, tak, w 1927 roku: ja i moja ukochana klacz Wenus.

– To ty, tatusiu? Pięknie prezentujesz się na koniu.

– A jakżeby inaczej?

No i jak mam się tutaj nudzić albo tęsknić za Rafałem? Nie da rady. Tyle się dzieje, że ledwie nadażam za tym wszystkim! Odkrywam coraz to nowe szczegóły z historii rodziny, coraz to inne, nieznane mi dotąd oblicza własnego ojca. Choćby casus jego dziwnego zachowania w związku z tajemniczą *Kamasutrą*.

– A ta oto panienska – mówił pokazując mi fotografię tak na oko dziesięcioletniej gimnazjalistki – to twoja mama, Ida. Z Carskiego Sioła przedarła się piechotą do Polski razem z moimi siostrami. Wyczerpane i wygłodzone, przekraczały granicę po rewolucji. W Carskim Siole byliśmy uczniami tej



samej szkoły, ale ona była o dwie klasy wyżej, bo urodziła się w 1907 roku, dwa lata przede mną.

– Mama jest od ciebie starsza? Nigdy bym nie powiedziała.

– Bo kobiety zawsze są od nas młodsze, ile by wiosen sobie nie liczyły, tak już jest na tym świecie – stwierdził mój elegancki tata i kontynuował pokazywanie zdjęć: – A tu moja kampania fotograficzna dla uwiecznienia twojej mamy, oczywiście po wielkim przełomie – mówiąc to tata pokazał nam kilka kolejnych fotografii, które krążyły z rąk do rąk.

– Po wielkim przełomie? Co to było? Nigdy o tym nie słyszałam.

– „Wielki przełom” to nasz ślub. Od tego momentu upadły dla nas wszelkie bariery.

– To widać! – wtrącił Wyrwicz. – Popatrz, popatrz! Ależ ta twoja żonusha ma śliczne gruszkowate pośladki, tak mile widziane u modelek!

– A ty swoje! – roześmiał się tata. – Ona nigdy modelką malarzy nie była i nie marzyła o tym. Tylko do moich zdjęć nago pozowała. Co prawda, to prawda. Idunia wtedy czuła się kobietą wyzwoloną, no wiesz, była studentką ekonomii na Uniwersytecie... One wszystkie były bardzo, jak na te czasy, przebojowe!

Zupełnie nie rozumiałam, o czym mówią. Miało to jakiś związek z mamą, ale jej pośladki? Na co ten Wyrwicz sobie pozwala, a tata znosi to tak spokojnie?

Zrozumiałam szybciej, niż się mogłam spodziewać, kiedy następna seria fotografii dotarła do moich rąk. A więc to tak zabawiali się moi rodzice po ślubie, no, no! Moja śliczna, nobliwa mama, ubrana tylko w poupinane zmysłnie na starogrecką modłę prześcieradła, stoi na postumencie udając grecką boginię albo jak zjawa pozuje na drzewie. Całkiem wysoko się wdrapała, kto by pomyślał, że była taka zwinna. A tutaj stoi na kamieniu, z jedną ręką uniesioną do góry, a drugą sprytnie ukrytą za występem muru. Istna Nike. O Boże! Goła pierś wymknęła się spod jej szaty! I tata pokazuje to tym ludziom... nie rozumiem, po co to robi. Ale, ale, co to? Mama całkiem, ale to całkiem goła. Czuję, jak fala gorąca oblewa mnie całą, od pięt aż po czubek włosów. Zdjęcie nagusieńkiej, jak ją Pan Bóg stworzył, rodzicielki powoduje, że zrywam się i uciekam pędem do Rybaczówki. Tego tacie nie daruję nigdy, przenigdy. Jak czułaby się mama, gdyby wiedziała, że obcy ludzie oglądają ją obnażoną, nawet jeśli jest upozowana na Dianę czy kogoś takiego? Co za wstyd!

– Widzicie? Mówiłem wam, że ona jest zupełnie niewinna! A wyście chcieli ją uraczyć *Kamasutrą*! – z pretensją perorował mój ojciec. – Lepiej pójdę do niej, a potem wam resztę objaśnię.

Za chwilę usłyszałam kroki na schodach i głos taty:

– Joasiu, głuptasku mój, jesteś tu?

– Jestem i nie chcę was widzieć. Jak mogłeś, tato, tak ośmieszyć mamę?

– Ośmieszyć? Chyba przesadzasz.

– A co? Pokazywanie czegoś takiego nie jest ośmieszeniem?

– W żadnym wypadku!

– To ja już nic nie rozumiem.

– No to zrozum. To nie jest jakaś trywialna nagość, tylko przenośnia. Nagość mamy coś uosabia, do czegoś nawiązuje, nie jest czymś oczywistym, konkretnym. Jest piękna...

– No to co?

– Jak to „no to co”? A kiedy patrzysz na nagie antyczne rzeźby, to też się gorszysz?

– To co innego. Tamto jest sztuką, a to jest moja mama. I kto, jak kto, ale ty powinieneś dbać o jej honor.

– To, że mama uosabia dzieło sztuki, honoru jej nie ujmuje.

– Te zdjęcia są bardzo piękne, tato, ale bardzo osobiste i wolałabym, żeby ktoś tak rubaszny, jak pan Wyrwicz, ich nie oglądał.

– Leon jest artystą, nie ma w sobie pruderii. Ma szersze spojrzenie na te sprawy.

– Nie powinien mamy takiej oglądać. Nie jesteś zazdrosny?

– Jestem dumny, jeśli chcesz wiedzieć.

– Oj, tato... nie rozumiem mężczyzn.

– Moją czy wspólną z twoją mamą winą jest to, że chowamy cię pod kloszem. Za kilka lat, a może wcześniej, inaczej na to spojrzysz. No, nie gniewaj się już na mnie, ptaszyno. Wierz mi, nie chciałem i nie zaszkodziłem reputacji mamy.

Tata tłumaczył się, jak umiał, a ja i tak wiedziałam swoje. Nie uwierzę, że mama byłaby z tego zadowolona. Za dobrze ją znam.

\* \*  
\*

Ewa, czytając ten wstęp pamiętnika uśmiechnęła się do siebie: „Naiwna była ta moja siostra. Ja w jej wieku... ho, ho!”

*22 lipca 1958*

Do Kurhanowa dotarła dzisiaj banda rozwrzeszczanych, zakurzonych intelektualistów z Warszawy. Przyjechali na motocyklach. Podobno to jakiś studencki teatr czy coś w tym rodzaju. Wtargnęli na łączkę i zajęli cały teren na górcze za wędzarnią. Nie ma się gdzie podziać.

Tata pomaga Wyrwiczowi przy remoncie łodzi. Napisałam list do mamy (ani słowa o jej zdjęciach), a także długi, długachny do Rafała. Coraz bardziej mi za nim tęskno. Gdyby tu był, to... Ach, gdyby tu mógł być!

Liza zauważyła, że się trochę nudzę i zaprosiła mnie do siebie na kawę. Położyła przede mną tekę z napisem: „*Moja Kamasutra*, ilustracje Leona Wyrwicza”, mówiąc po prostu:

– Masz, obejrzyj sobie.

No proszę! Tak się głowiłam, jak to zdobyć, a tu słyszę: „Masz, obejrzyj sobie”.

– Co to znaczy *Kamasutra*? – zapytałam.

– Nie wiesz? *Kamasutra* to księga miłości. Ta oryginalna była napisana w sanskrycie i pochodziła z Indii. To jedna z najbardziej wpływowych ksiąg w historii. Przedstawia ponad sto pozycji miłosnych...

– Pozycje miłosnych? – zapytałam. – Co to takiego?

– Nie żartuj. No wiesz, ty naprawdę jesteś zielona. A podobno masz chłopaka, To co wy razem robicie? Nie kochałaś się z nim?

– Kocham go, naturalnie, że kocham. Przynajmniej tak mi się zdaje, ale... nie jestem tego pewna.

– I co, trzymacie się za ręce?

– A żebyś wiedziała i...

– I?

– Kiedyś mnie pocałował. Szczerze mówiąc, nie raz. Właściwie od studniówki wciąż się całujemy.

– Moje gratulacje! Ale to jeszcze nie to, co się kochać... A zresztą masz, popatrz sobie – i podała mi pękata tekę z rycinami swego męża.

Rozwiązałam tasiemki sztywnej teczki i aż mnie zatkało. Rysunki były na pewno dobre pod względem artystycznym, ale obrzydliwe, chociaż śmieszne, bo przedstawiały znanych ludzi zupełnie gołych i w wyuzdanych pozycjach. Może gdybym mogła oglądać je bez świadków, nie czułabym się tak głupio.

To, że Liza przygląda mi się i z rozbawieniem śledzi moją reakcję na te sprośności, żenowało mnie nieprawdopodobnie.

– Ty nic nie wiesz o miłości cielesnej, Aśka? Nie wierzę, po prostu nie wierzę! Gdzieś ty się taka uchowała? Chyba masz pojęcie o tym, skąd się biorą dzieci?

– No pewnie – bąknęłam. – Nie jestem dzieckiem.

– Akurat! To dlaczego masz takie wypieki? Tak cię to podnieca?

– E tam, zaraz podnieca! – zamknęłam z rozmachem okładkę.

– No, nie wygłupiaj się, popatrz sobie!

– Nie mam czasu. Muszę napisać listy.

– Listy nie uciekną. Popatrz sobie, popatrz! Tylko nikomu nie opowiadaj, że to tu widziałas, bo Leon mógłby mieć kłopoty.

No pewnie – pomyślałam. – Gdyby jacyś aktywiści partyjni zobaczyli Lenina z Krupską czy naszego premiera z jego żoną w tych niesamowitych igraszkach, wywołanych chorą wyobraźnią Wyrwicza, malarz miałby się z pyszna.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jak mam się w tej sytuacji zachować. Czułam się tak, jakby mnie ktoś przyłapał na kradzieży czy innej nagannej czynności. To było coś niesamowitego, wydawało mi się wstydlive i niestosowne, podobnie jak wczorajsze publiczne oglądanie zdjęć mojej nagiej matki. Ten Wyrwicz! Jak ja mu spojrzę w oczy?

Oczywiście, że ciekawiło mnie, co jest na dalszych rysunkach i kogo przedstawiają, ale konsternacja przewyższała ciekawość. Na pewno nie miałam ochoty kontynuować tej czynności w czyjejkolwiek obecności, a zwłaszcza przy rozbawionej moim zażenowaniem Lizie. Przeprosiłam ją i skierowałam się ku drzwiom.

– Nie wypijesz nawet kawy do końca?

– Nie. Dziękuję – odpowiedziałam.

Pobiegłam szybko do swego pokoju w Rybaczówce. Rzuciłam się na łóżko i naciągnęłam koc na głowę.

Nie miałam pojęcia, co mam dalej robić. Nie chciało mi się widzieć tych ludzi. Po prostu się ich wstydziłam. Postanowiłam, że wyjadę nazajutrz z Kurhanowa.

Kiedyś, jak upłynie trochę czasu, przestanę się ich wstydzić, może tu jeszcze wrócę z Rafałem. Zwłaszcza że pan Wyrwicz zamierza urządzić parę letnich pokoików dla zaprzyjaźnionych gości. Prawdopodobnie już na przyszły rok. Będziemy więc razem pływać, jeść poziomki prosto z krzaczków i żyć na dziko, jak teraz ja z tatą. Sądzę, że w przyszłym roku i mama postara się o urlop w tym samym czasie i przyjedziemy tu wszyscy razem. Jeżeli to się nie uda, wrócę tu nawet sama, bo chyba nie ma piękniejszego miejsca pod słońcem!

Na tym urwał się pamiętnik mojej siostry. Następne kartki świecą pustką i są już trochę pożółkłe. Ciągłe jeszcze zdaje się rozbrzmiewać w moim pokoiku jasny głos Aśki, który towarzyszył mi przez cały czas czytania jej *Największego napięcia*. Jeszcze dzwonią cichutko jej ostatnie słowa, dotyczące miejsca, w którym teraz się znajduję, żeby dociec prawdy, jak naprawdę doszło do tej śmierci...

Dzisiaj od świtu odwiedzałam wszystkie moje tajemne, pokazywane mi kiedyś przez Aśkę zakątki, gdzie zawsze było aż czerwono od poziomek, i wracam z prawie pustym kubkiem. Nawet nie zdołałam zakryć dna. Chwasty rozrosły się bujnie i przytłumiły mizerne krzaczki, które słabo w tym roku kwitły i ledwie zaowocowały.

Uparłam się dziś na te poziomki, mimo że już po odejściu z moich dwu pierwszych miejsc powinnam pogodzić się z tegorocznym nieurodzajem. Trochę zaczyna mi dokuczać głód, sądząc po słońcu, musi być koło ósmej. Przemokłe od porannej rosy tenisówki zaczynają wreszcie wysychać. Robi się okropnie gorąco. Czuję w nogach te co najmniej osiem kilometrów, które musiałam przetuścić wędrując po lesie. Odkąd tu przyjechałam, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zza któregoś drzewa wyjdzie Aśka. Myślę, że gdybym przyjechała tu wcześniej, nie umiałabym sobie z tym poradzić. Te wszystkie leśne spacerki, te zielone polanki, to jezioro prześwitujące przez gałęzie, nawet śpiewy ptaków i miarowe stukanie dzięcioła wydają się być realnym potwierdzeniem jej obecności. Nie mogę się oprzeć temu wrażeniu, bo jestem tu przecież pierwszy raz bez niej.

Odkąd dopuszczała mnie do swoich spraw, najwięcej czasu na zwierzenia było właśnie tutaj. Właściwie nieściśle się wyraziłam, że obeszałam moje zakątki. Nie, bo te wszystkie miejsca, te uroczyska, krzaki, pod którymi można jesienią znaleźć rydze, ta dolinka fioletowa od leśnych dzwonków i ukryta wśród krzaków maleńka plażka – wszystko to należało kiedyś do niej, ona mi to wszystko pokazała. To ona wyciągała mnie tutaj na długie godziny, wylewała przede mną niezrozumiałe dla mnie wówczas żale, zachwycała swoim entuzjazmem. Jednakże wydaje mi się, że dopiero teraz potrafiłabym rozmawiać z nią tak, jak na to zasługiwała, bo dopiero teraz zaczynam ją naprawdę znać i rozumieć. Czy w życiu zawsze musi być tak, że człowiek dojrze do rzeczy ważnych po niewczasie?

Do pasji doprowadzał mnie niewspółczesny i egzaltowany sentymentalizm Aśki, a teraz w miarę jak robię się coraz starsza, wydaje mi się, że niewiele jej w tym ustępuję. Chyba nie powinnam kazać Jerzemu czekać na moją odpowiedź.

To zabawne, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś taki jak on jechał tu, aby się ze mną spotkać, w dodatku po to, żeby dać mi rolę w swoim filmie. A może to zwykły błąd, żebym tym łatwiej połknęła haczyk? Myślę, że poniosłyśmy już nazbyt wielką ofiarę za sławę Aśki, żebym jeszcze i ja miała się w to wplątać. Zresztą propozycja sama w sobie skierowana właśnie do mnie jest chyba niepoważna. Ja miałabym zagrać w filmie? Jeszcze dwa lata temu pewnie podskoczyłabym do góry na taką wiadomość, teraz nie. Nie chcę mieć żadnych związków z tym światem pełnym efektownych póz i cichych tragedii. Wolę już moje zmuśnione ślęczenie nad projektami i marną – jak to Jerzy określił – „wegetację stażystki po dyplomie”.

– A jednak cię znalazłem – usłyszałam nagle zupełnie blisko głos tego, o którym właśnie myślałam. Musiałam drgnąć, bo roześmiał się szeroko.

– Już to wczoraj słyszałam, ale nie wierzę, że któreś z tych spotkań jest czystym przypadkiem.

– A więc uważasz, że ja mam zamiar cię kokietować czy coś w tym rodzaju? Żeby w przyszłości nie było między nami nieporozumień, od razu wybij to sobie z głowy.

– Przepadam za taką szczerością. Robię wtedy wszystko, żeby takim postanowieniom przeciwdziałać. Ale żeby nie było nieporozumień, pragnę cię uspokoić, że nie będzie żadnej przyszłości. Nie mogłabym przyjąć twojej propozycji nawet wtedy, gdybym traktowała ją poważnie.

– A jak ją traktujesz? – zapytał nieprzyjaźnie.

– Ach, nie wiem – wzruszyłam ramionami.

– To nie jest odpowiedź. Słuchaj, Ewa – zmienił nagle temat – powiedz mi jaka ona była w lesie? Kiedy zobaczyłem cię idącą pośród drzew, zadrżałem, taka byłaś do niej podobna.

– Ach, więc to stąd twoja propozycja. Przyznaj się, nie szukasz kandydatki do roli w swoim filmie, tylko Aśki, a ja jestem Ewa.

– Wiem to. Odpowiedz na moje pytanie.

– Gdybyś ją spotkał w lesie samą, nie szłaby cicho, jak ja.

– A co, miała zwyczaj mówić do siebie?

– Wiesz, ona miała zwyczaj dziczenia tutaj.

Nagle poczułam do Jerzego ogromną wdzięczność za to, że poruszył ten temat. Tym, czego mi najbardziej tutaj brakowało, była właśnie możliwość głośnego mówienia o mojej utraconej siostrze.

– Kiedy chodziła po lesie w gromadzie, usta jej się nie zamykały. Pokrzykiwała, podśpiewywała, przez cały czas na głos zachwycała się to jakąś gałązką, to kwiatkiem. Miała obsesję pilnowania wszystkich i jak tylko oddalałam się na chwilę, musiałam sygnalizować, gdzie jestem, chociaż wiedziała, że znam las równie dobrze jak ona. Często śpiewała.

– Co śpiewała? – zainteresował się Jerzy.

– A różne takie. Prawie nikt nie wiedział, jak świetnie parodiowała kolegów. Zaśmiewałam się. Albo wyciągała z lamusa jakieś starocie ze szkolnych lat i śpiewała je z taką emfazą, że też się śmiałam. Wtedy się obrażała. Bo prawdopodobnie traktowała to poważnie.

– Niemożliwe!

– A tak, tak. Cokolwiek dotyczyło jej sztubackich miłości, a miała bogaty repertuar z nimi związany, odgrywała z rozdzierającym uczuciem, na jakie nie stać nawet najlepszej kapeli podwórkowej.

– Ubawiłaś mnie – powiedział.

Przyszło mi do głowy, że wreszcie mogłabym wyjaśnić z nim jedną sprawę. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Aśką, teraz może nie było to istotne, ale nie mogłam oprzeć się temu, żeby nie zapytać. Popatrzyłam na niego. Szedł pochylony swoim kołyszącym się krokiem. Był zamyślony, uśmiechał się, pewnie do roztoczonej przeze mnie wizji mojej wyśpiwującej po lesie siostry.

– A wy? – zapytałam i przystanąłam na chwilę, niby schylając się do jakiegoś kwiatka, bo byłam sama zaskoczona i zażenowana moim wścibstwem. – Mówiła, że wiele jej pomogłeś, że dużo ci zawdzięcza. Teraz też ciągle o niej wspominasz... Powiedz, jak naprawdę z wami było?

– Ewuniu, nie radzę ci bawić się w detektywa. To wszystko jest naprawdę o wiele bardziej proste, niż ci się wydaje. Joanna była fascynująca, ale nie łączyło nas zupełnie nic ze spraw, które chodzą ci po głowie. Ona zawsze była w kimś zakochana. Od pierwszej chwili naszej znajomości przypadła mi niewdzięczna czy, jak chcesz, zaszczytna rola jej powiernika, rozjemcy. O tak, byłem nawet kilkakrotnie delegatem u pewnego draba, raz ten łajdak chciał mnie pobić, więc mu dołożyłem.

– Kto to taki?

– Nie obciążam sobie pamięci takimi głupstwami.

Rozmawiając w ten sposób nawet nie spostrzegliśmy, kiedy las się przerzedził i wyszliśmy na łąkę za przystanią. Żal mi się zrobiło, że nastrój, w którym dotąd byliśmy, zmienił się nagle. Jerzy musiał to

odgadnąć, a może też odczuwał coś podobnego, bo zaproponował:

– Trochę popływam i pójdę na śniadanie, a potem jeśli nie masz nic przeciwko, opowiem ci, jak to było z Joanną. Wiem, że chciałybyś znać całą prawdę.

– Dziękuję ci. Mam trochę roboty na górze, w ciągu mniej więcej półtorej godziny powinnam ją skończyć.

– Kiedy zechcesz, mam zamiar leniuchować na słońcu cały dzień.

Skierowałam się ku schodkom na górę. Byłam wdzięczna Jerzemu, że sam zaproponował mi tę rozmowę. Zupełnie jakby potrafił czytać w myślach. Kiedy stawiałam stopę na ostatnim stopniu schodków, dobiegł mnie jego głos.

– Ewa!

Odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi w tym samym miejscu, w którym się rozstaliśmy.

– Ewa, co z twoim kabaretem studenckim? Wiesz, widziałem cię tam kiedyś. Byłaś całkiem fajna, nie powinnaś była tego rzucić.

Wzruszyłam ramionami. Chociaż taki komplement z ust mistrza sprawił mi przyjemność.

– Skończona sprawa. To nie dla mnie.

Przez chwilę musiałam się przyzwyczajać do ciemności panujących w korytarzyku, trochę po omacku znalazłam drzwi mojego pokoju, pchnęłam je i fala słonecznego światła oblała mnie na nowo. Postanowiłam uporać się ostatecznie z tablicami reklamowymi spółdzielni „Od Nowa”. Wzięłam z sobą trochę chałtury, mając nadzieję, iż po jej wykonaniu otrzymam tyle pieniędzy, że będę mogła przedłużyć swój pobyt tu chociaż do końca lipca. Zaparzyłam sobie kawę, posmarowałam dwie kromki chleba masłem i miodem, ustawiłam to wszystko obok farb na stole i pogryzając wzięłam się do pracy. Wpadłam na pomysł, że gdybym te tablice wreszcie skończyła, do końca weekendu byłyby suche i mogłabym poprosić Jerzego czy Wieśka, żeby zabrał je do Warszawy.

Kiedy wyszłam na łękę, słońce stało wysoko na niebie. Kamila siedziała na pomoście i łowiła ryby, Maciek wypłynął gumowym kajakiem na jezioro, o dziwo, z panią Misią, reszta imperialowych gości smażyła się tak, że z trawy wystawały im tylko zaczerwienione nosy. Trochę dalej, w półcieniu, tuż obok sadu wypatrzyłam Jerzego. Pomachałam mu ręką, zdjęłam bluzkę i wbiegłam do wody. W pierwszej chwili wydawała mi się nieprawdopodobnie zimna, ale bardzo szybko rozgrzałam się pływając. Jezioro było spokojne, bez fali, całe wyzłocone od słońca. Kamila gderała z pomostu, żebym odpłynęła dalej i nie straszyla jej ryb. Jakby to było ważne, czy złowi jedną mniej, czy jedną więcej, skoro nawet kiedy brały, umykały jej z powrotem do wody, bo się ich bała i nie potrafiła zdjąć z haczyka.

Po kąpieli usiadłam na ręczniku obok Jerzego i zaczęłam rozczesywać włosy. Woda spływała z nich obficie. Jerzy łapał krople na dłonie i smarował sobie nimi nogi. Pomyślałam, że z boku musieliśmy wyglądać jak dobrze zżyta para. Zażyłość rzeczywiście rozpanoszyła się między nami. Kiedy się obrócił, zauważyłam, że jest dokładnie biało-czerwony.

– Osiągnąłeś już wygląd flagi narodowej – powiedziałam.

– Naprawdę? Złapało mnie – ucieszył się. Patrzył, jak rozczesuję włosy, odprowadzał leniwym spojrzeniem każdy ruch mojej ręki, wreszcie wstał i poszedł w kierunku wody. Spoglądałam za nim. Zastanawiałam się, czy ten trochę małopokształtny, a jednocześnie tak sympatyczny człowiek odegrał jakąś szczególną rolę w życiu Aśki.

Jerzy długo i systematycznie wycierał się wielkim kudłatym ręcznikiem, potem zaczął obrządek smarowania olejkiem. Kiedy był już gotów do przysmażania jeszcze bladej drugiej strony ciała, przemówił:

– Czy Joanna opowiadała ci kiedyś, w jakich okolicznościach się poznaliśmy?

Nie czekając na moją odpowiedź mówił dalej. I tu zaczęła się niezwykła opowieść. Barwna

i okraszona dialogami, zupełnie jak jego filmy.

\* \*  
\*

Z perspektywy czasu to jest bardzo zabawne. Pamiętam wszystko dokładnie. Zdarzyło się to wtedy, gdy dowiedziałem się, że Alicja, którą uważałem za swoją narzeczoną, ma zamiar na stałe osiąść we Włoszech, bo wychodzi tam za męża. Była to dla mnie klęska. Całą moją przyszłość z nią wiązałem. To prawda, że nie widzieliśmy się od roku, że korespondencja nie była zbyt ożywiona, ale Alicja nigdy nie lubiła pisać. Skończyłem wreszcie urządzać dom, miałem zatwierdzone do realizacji dwa scenariusze, oba pomyślane tak, żeby w nich zagrała. Wydaje mi się, że jeśli zostanie przy filmie, nigdy nie będzie miała tak wspaniałej roli, jaką mogłaby zagrać w jednym z tych filmów. Ani ja nigdy nie znajdę tak wspaniałej aktorki, żebym go mógł kiedykolwiek zrealizować. A więc dowiedziałem się o tym i poczułem się zupełnie i wszechstronnie zrujnowany. Nie miałem pojęcia, co powinienem robić w takiej sytuacji i na wszelki wypadek zacząłem od tego, że poszedłem do „Kameralnej”, żeby się upić. Ale nie mogłem. W miarę picia potężniała tylko chandra i wciąż byłem niemożliwie trzeźwy. Rozboleła mnie głowa, opuściłem więc bar i w stanie dennej depresji szedłem przez całe miasto w kierunku domu. Przy moście Poniatowskiego zastanowiłem się, czy nie poczekać na jakiś nocny tramwaj. Pokręciłem się trochę koło przystanku i wtedy nadszedł samochód. Zatrzymał się niedaleko zejścia na Solec. Przez uchylone okno dobiegał do mnie dźwięk podniesionych głosów. Potem drzwi obok kierowcy nagle się otworzyły i wyskoczyła z nich dziewczyna. Właśnie wyskoczyła, to jest właściwe słowo. Wyskoczyła i pobiegła schodami w dół. Mężczyzna wychylił się z samochodu, zawołał coś za nią, ale nie wysiadł. Po chwili zatrąbił, a ponieważ nie wracała, powoli odjechał. Zrobiło mi się żal dziewczyny. Nie wiem dlaczego ruszyłem za nią. Szedłem pośpiesznie i kiedy znalazłem się w miejscu, gdzie schody biegnące z dwu przeciwnych stron ulicy spotykają się, zobaczyłem ją. Stała nieco niżej i patrzyła z nadzieją w górę. Kiedy mnie spostrzegła, odwróciła się i zbiegła jeszcze parę kroków w dół. Zrobiło mi się głupio, że ją przestraszyłem, i przyśpieszyłem kroku, żeby ją uspokoić. Zresztą poznałem ją. Joanna była wtedy już dość popularna. Biegła przede mną coraz szybciej, potykała się, bałem się, że w końcu przewróci się na tych swoich karkołomnie wysokich obcasach.

– To ryzykowne tak gonić w ciemności! – krzyknąłem za nią. – Tym bardziej że pani towarzysz odjechał.

Była już na dole, chyba nie za bardzo wiedziała, w którą ma pójść stronę, bo zakreśliła się w miejscu i raptownie stanęła twarzą do mnie, opierając się o filar.

– Jeżeli ma pan zamiar mnie napaść, muszę pana uprzedzić, że to bezcelowe. Mam przy sobie tylko trzynaście złotych i dwadzieścia groszy. Bizuterii nie noszę, a płaszcz, sam pan widzi, zwyczajna popelina.

– A jakieś drobne pieniądze, może jest dziesiątka? – zapytałem wchodząc w rolę rabusia.

– Jest dycha, z Kopernikiem – poinformowała mnie wyczerpująco.

– Doskonale, proszę mi ją oddać.

Spojrzała na mnie zaskoczona i cofając się, mając mnie jednak wciąż na oku, poszperała w torebce i z daleka rzuciła mi monetę. Nie złapałem, więc schyliłem się, żeby jej poszukać. Wtedy ona oderwała się od filara i ogarnięta paniką zaczęła uciekać. Mówiła potem, że dopiero wtedy przestraszyła się na dobre, bo zrozumiała, że ma doczynienia z wariatem. Moje działania, być może spowodowane wypitym alkoholem, jeszcze umocniły jej podejrzenia. Kiedy usłyszałem oddalające się kroki, natychmiast zrezygnowałem z szukania monety i dogoniłem ją kilkoma susami.

Przycisnęła się do ściany wiaduktu kolejowego, który był nad naszymi głowami, i wyglądała jak zagonione zwierzę. W jej oczach zobaczyłem takie przerażenie, iż zrobiło mi się wstyd, ale zabrnąłem już tak daleko w tę idiotyczną sytuację, że doprawdy nie wiedziałem, jak się wycofać. Nie mogłem po prostu zawrócić i pójść w inną stronę, chociaż czułem, że to byłoby najlepsze rozwiązanie. Chciałem się jakoś zrehabilitować, ponadto zdawało mi się, że jej niedawna awantura z tym mężczyzną i moja sytuacja z Alicją upoważniają mnie do jakiegoś zbratania.

– Nie chciałem pani przestraszyć – powiedziałem, jak mogłem najłagodniej. – Znam panią, oczywiście ze sceny, chciałem tylko...

– Mój panie – odzyskała nagle zdolność mówienia – ma pan bardzo oryginalne metody zawierania znajomości, ale ja mam mężczyzn powyżej uszu!

– Wcale nie o to chodzi, pani się myli.

– A o co? – zapytała podejrzliwie. – Jest pan dusicielem? Śmiało, do dzieła! I tak miałam zamiar się utopić.

– Wie pani – roześmiałem się – szedłem tu i też zastanawiałem się, czy nie powinienem się utopić. Moglibyśmy zrobić to razem, byłoby nam raźniej, nad Wisłą jest tak ciemno...

– Nie potrzebuję.

– Czego pani nie potrzebuje? Już pani nie chce się utopić?

– Nie potrzebuję nic robić w pana towarzystwie.

– Szkoda, nie przypomina pani sobie mnie?

– Nie! Przypomina mi pan jedną taką dużą małpę w zoo.

– Jest pani czarująca, Joanno.

– Spodziewam się! Goni mnie pan po nocy i jeszcze wymaga, żebym była czarująca. Chociaż – spojrzała na mnie uważniej – rzeczywiście gdzieś musieliśmy się spotkać.

– Chyba czas, żebym się przedstawił.

– Nie chcę! – krzyknęła.

– Dlaczego?

– Bo wtedy już się pan nie odczepi – odrzekła szczerze.

– I tak nie zostawię pani samej na tym pustkowiu.

– Dziwny sposób przejawiania rycerskości – parsknęła.

Nie zważając na to, wypowiedziałem skłaniając się niezręcznie swoje nazwisko:

– Jerzy Olszak.

– Aha – wyszeptala. – Myśli pan pewnie, że to robi takie ogromne wrażenie? Przeciwnie – dodała pośpiesznie.

– Wcale tak nie myślę.

– A co, łapie pan po nocy odtwórczynię do głównych ról w swoim nowym filmie?

– Pani się nie nadaje!

– Milas z pana.

– Staram się pani dorównać.

Zamilkła na chwilę, potem nagle powiedziała: „Dobranoc”, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Nie będzie już pani się topić? – wzruszyła ramionami. – Wie pani, też przeżyłem dziś coś w rodzaju miłosnego zawodu, a może więcej.

– I śpieszy się pan z nadrabianiem straty.

– Po prostu nie chcę być sam.

Nie odpowiadała. Potem spojrzała na mnie życzliwiej.

– Może to jest myśl? Urznijmy się razem – zaproponowała. – Tylko ostrzegam, że nie znoszę



alkoholu!

– Więc jak to zrobimy? – zainteresowałem się.

– Zwyczajnie, jest mi zupełnie wszystko jedno.

– Wobec tego nie będziemy się „urzynać” – postanowiłem. – Przejdziemy spacerkiem przez most, mieszkam niedaleko, i zrobię pani mocnej kawy.

– Jednak...

– Co jednak? Może pani zaproszenie przyjąć albo nie, to zależy tylko od pani.

– Wie pan, nie mam wyboru. Skoro Krzysztof sobie pojechał, nie chcę, żeby mnie prędko znalazł, a ponieważ, jak się okazuje, znam pana...

– Aha, to pani niesforne szczęście ma na imię Krzysztof...

– A pana?

– Już nie moje. Alicja.

Wspięliśmy się z powrotem na schody i na moście przyśpieszyliśmy kroku, bo od Wisły wiał zimny wiatr.

Kiedy weszliśmy do domu, zauważyłem, że Joannę opuściła pewność siebie. Zaczęła paplać i kręcić się po przedpokoju, żeby ukryć zmieszanie. Poszedłem do kuchni, zostawiając ją samą. Kiedy wróciłem, stała nadal ubrana.

– Nie chce pani zdjąć płaszcza? – zapytałem.

– Nie – powiedziała najpierw, a potem prędko: – oczywiście, oczywiście, zdejmę.

Ciągle rozglądała się po mieszkaniu.

– Pan tu sam mieszka? – zapytała i czekała na odpowiedź.

Zmieszanie wciąż jej nie opuszczało. Zrobiło mi się jej żal, nie wiem już który raz tego wieczoru.

– Jest pani speszona – powiedziałem i sam poczułem się nieswojo, bo nagle cała ta historia wydała mi się głupia i niepotrzebna.

Rozmawialiśmy o czymś, ale widziałem, że zarówno ją, jak i mnie ogarnia zniechęcenie. Gwizd czajnika wybawił mnie na chwilę z niezręcznej sytuacji. Zrobiłem kawę, znalazłem kilka wysuszonych biszkoptów, poustawiałem to wszystko starannie na tacy i zaniósłem do pokoju. Joanna siedziała na kanapie i trzymała w ręku jakieś pismo, ale oczy miała podniesione. Uśmiechnęła się. Wyglądała na odprężoną.

– Wie pan, to bardzo zabawne – powiedziała wesoło. – Bardzo zabawne to nasze spotkanie.

Odetchnąłem z ulgą, roześmiałem się. Poprzedni nastrój przymusu i zniechęcenia zniknął bez śladu. Zaczęło nam się robić wesoło. Joanna upomniała się o kieliszek jakiejś wódki. Sięgnąłem do barku.

– Głupio mi, że pan widział całe to przedstawienie. Krzysztof nie jest taki zły. Nie wiem, dlaczego urządziłam mu tę straszną scenę zazdrości. Może dlatego, że przez cały wieczór rozmawiał z bardzo piękną dziewczyną, a mnie bolała głowa.

– Jednak nie powinien był pani tak zostawiać.

– Rok temu nie zrobiłby tego. W ogóle zdarzyło mu się to pierwszy raz.

– To, że rozmawiał przez cały wieczór z piękną dziewczyną?

– Nie, to że mnie zostawił i odjechał. Chyba z naszego związku już nic nie będzie – dodała cicho i posmutniała.

– Może nie warto się martwić – poradziłem.

– Za często wyjeżdżam. Co ma robić młody mężczyzna z tyloma wolnymi wieczorami?

– Nie wiem, ja mam ich bardzo mało.

Wzrok Joanny zatrzymał się przez chwilę na aparacie telefonicznym. Kiedy dokonała tego odkrycia, w ciągu dalszej rozmowy przyciągał ją jak magnes. Wreszcie, by jej ulżyć, zapytałem:

– Chce pani do kogoś zadzwonić?

– Krzysztof pewnie się niepokoi, mogłabym mu podać adres, przyjechałby po mnie.

– Nie mam ochoty oglądać tego typka. Jako młody mężczyzna mogę pani w tajemnicy wyznać, że lepiej mu zrobi jak najdłuższy niepokój o panią. Ja bym nie dzwonił.

– Naprawdę? – zapytała i już nie wracała do tematu, ale stojący na biurku telefon nie dawał jej spokoju. Podniosłem się, wyjąłem wtyczkę ze ściany i wyniosłem go do przedpokoju.

– Jeżeli pani chce, może pani zdrzemnąć się na tej kanapie do rana, ja już jestem śpiący.

– Tutaj? Dlaczego miałabym spać tutaj?

– Jak pani chce. Myślę, że to by było dobre posunięcie taktyczne.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem zapytała:

– A mogłabym się zamknąć na klucz?

– Jeżeli go znajdę – powiedziałem i zacząłem szperać w szufladzie, chociaż nigdy w niej nie było żadnego klucza ani w żadnej innej, bo w ogóle nigdy nie miałem klucza do tego pokoju.

– Niech pan nie szuka, jestem idiotką – przyznała samokrytycznie.

Pomogłem jej rozłożyć wygodnie poduszki na kanapie, przyniosłem pled i poszedłem na górę.

Kiedy obudziłem się nazajutrz, w domu nie było nikogo. Obszedłem wszystkie kąty, zrobiłem sobie kawy i znowu wszedłem do łóżka. Walcząc z natrętnym bólem głowy, zastanawiałem się, co począć dalej ze swoim życiem i nie mogłem wymyślić nic logicznego. Te niewesołe rozważania przerwał na szczęście ostry dzwonek telefonu. Sięgnąłem po słuchawkę i poznałem głos Joanny.

– Wyspał się pan nareszcie? Dziękuję za wczoraj i przepraszam, że wysłałam jak złodziej. Chyba niczego w domu nie brakuje?

– Nie wpadłem na to, żeby sprawdzić, ale przyrzekam, że to zrobię i jak będzie coś nie w porządku, dam znać. A jak tam pani „szczęście”, nie umarł ze zmartwienia?

Odpowiedziało mi milczeniem.

– Jest pani tam? – zapytałem.

– Tak. Nie jest kławo, ale to nieważne. Może się kiedyś zobaczymy, to panu opowiem, dziękuję.

Nie zdążyłem nic na to odpowiedzieć, bo odłożyła słuchawkę. Obowiązki nie dały mi długo tonać w depresji. Wyjechałem. Zacząłem przyzwyczajać się do niemyślenia o Alicji i rzeczywiście zupełnie zapomniałem o Joannie. Przypomniała mi się sama po trzech miesiącach. Zadzwoniła, ale nie poznałem jej głosu. Przedstawiła się i powiedziała:

– Mam do pana pytanie. Czy nie zamierza pan wynająć pokoju?

– Nie – odpowiedziałem zdecydowanie.

– To szkoda, przepraszam – powiedziała gasnącym głosem.

Przestraszony, że znowu szybko odłoży słuchawkę, wszedłem jej w zdanie.

– Gdybyśmy się spotkali i gdybym wiedział dla kogo, może mógłbym coś na to poradzić.

– Dziękuję, poradzę sobie sama.

– Joanno – prawie krzyknąłem – nie wypiłaby pani ze mną filiżanki kawy?

– U pana, nie! – stwierdziła lakonicznie.

– Dobrze, u mnie nie – zgodziłem się.

Umówiliśmy się, że przyjadę do niej, bo właśnie dzwoniła z kawiarni. Siedziała sztywno nad szklanką herbaty. Wyglądała mizernie.

– Wpadłam znowu w tarapaty – uprzedziła moje pytanie. – Zmieniłam niedawno mieszkanie, a córka gospodyni wyszła za męża i po powrocie z koncertów znalazłam moje rzeczy spakowane i gotowe do wyniesienia. Zajęli bez uprzedzenia mój pokój. Ja wiem, że to głupio z mojej strony, iż pomyślałam o panu...

– Wcale nie głupio, a pani przyjaciel?

– Rozstaliśmy się na dobre. Nie mogę tak żyć, zadreęczając siebie i jego podejrzeniami. Musiałabym znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, ale to i tak nie miałoby sensu, bo przecież nie sposób żyć ze świadomością, że się kogoś pilnuje, tym bardziej że rozczarowania nie rozgrzewają serca.

– Pewnie – przyznałem. – Chce pani u mnie mieszkać... Hm... Osobiście nie mam nic przeciwko temu, chociaż tego klucza do drzwi pokoju dotychczas nie odnalazłem – zażartowałem. – Ale...

– Nie jest pan sam? – spytała z niepokojem.

– Ależ tak, to znaczy, nie, jestem nadal sam. Jednak myślę o konsekwencjach tego, że – powiedzmy – zamieszka pani ze mną.

– Nie z panem, tylko u pana, a to jest różnica. Nie zamieszkam, tylko zatrzymam się na jakiś czas, póki nie znajdę czegoś odpowiedniego. Poza tym mam do pana zaufanie.

– To ładnie z pani strony, ale to nie rozwiązuje niczego. Bywają u mnie różni ludzie, bardzo wielu różnych ludzi, pani jest atrakcyjną młodą kobietą, sytuacja może być dwuznaczna.

– Kicham na to – wyrzuciła impulsywnie. – Żeby pan wiedział, jakie rzeczy o panu ludzie mówią! A o mnie!

– Jeżeli to pani nie przeszkadza, to jedźmy po pani rzeczy.

Joanna zamieszkała u mnie. Tak się złożyło, że w ciągu tego najbliższego miesiąca zarówno ja, jak i ona prawie nie wyjeżdżaliśmy. Mimo wszystko widywaliśmy się przelotnie. Nigdy nie wychodziliśmy nigdzie razem. Ona ćwiczyła gdzieś poza domem, bo nie miała odwagi prosić mnie, żebym pozwolił sprowadzić do mojego domu jej pianino, ani też nie chciała, żeby ktokolwiek ją u mnie odwiedzał.

Pogodziłem się na dobre z utratą Alicji i łapałem się na tym, że jeśli o niej myślę, to zawsze porównawczo. Ganiłem siebie za takie świętokradztwo, ale porównania zaczęła wygrywać Joanna.

Czasem, gdy coś poruszyło ją do żywego, przychodziła do mnie na górę i wyżałała się. Bardzo łatwo dawała się pocieszyć. Miała ogromnie dużo ufności w stosunku do świata. Była zawsze pełna dobrych intencji i wierzyła, że tak jest ze wszystkimi dookoła. Dlatego przeżywała tysiące rozczarowań, a każde z nich zaskakiwało ją na nowo. Kiedy nie byłem w domu, nigdy nie myślałem o niej, ale gdy nie zastawałem jej wracając, kręciłem się niespokojnie.

Kiedyś zaproponowała nieśmiało, żebym poszedł obejrzeć jej występ. Przedtem oglądałem ją na jakichś zbiorowych imprezach albo w telewizji. Nie byłem, szczerze mówiąc, zachwycony tym, co pokazywała. Była oczywiście lepsza od wielu swoich koleżanek, ale to, co robiła, wydawało mi się dość powierzchowne. Może gdybym jej nie znał tak dobrze, uważałbym, że wszystko jest w porządku, ale to jej śpiewanie nie oddawało nawet w małej części bogactwa uczuć, jej zmiennych nastrojów, entuzjazmu. Poszedłem więc na ten jej koncert bez wielkiej ochoty. Mimo moich uprzedzeń oglądałem ją z przyjemnością. Miała wdzięk i dobrze opanowane rzemiosło, była ładna, ale to nie była Joanna taka, jaką znałem.

Bardzo zależało jej na moim zdaniu, powiedziałem więc kilka zdawkowych komplementów, które przyjęła z przygnębieniem. W swojej wrażliwości zawsze nieomylnie wyławiła wszelką nieszczerłość. Potem miałem wyrzuty sumienia, że zbyłem ją w ten sposób. Ale piosenka nie leżała w sferze moich zainteresowań. Zbyt dużo ludzi u nas tym się zajmuje, uważając, że to najważniejsza dziedzina życia. I ja miałbym do nich dołączyć? Po co? Miałem swoją pracę i już.

Wszyscy weszli w naszej przyjaźni jakichś sensacji. A była to jednak tylko przyjaźń. Może nie ściśle tak. Ona była mi potrzebna, ale nie pozwalała mi sobie samemu w pełni tego uświadomić. Kiedy moje uczucia dochodziły do głosu, zawsze wylewała mi na łeb kubek zimnej wody. Właśnie wtedy zjawiał się ten jej mityczny ideał, na część którego musiałem wysłuchiwać niekończących się peanów. Zresztą Joanna z uporem maniaczki wyszukiwała sobie różnych pięknych drani, którymi w gruncie rzeczy

gardziła. Zdaje się, że chciała we mnie mieć kogoś w rodzaju ojca czy starszego brata.

Kilkakrotnie w ciągu pół roku Joanna wynajdywała jakieś mieszkania, zawsze jednak powołany na eksperta odradzałem jej. Przed moim wyjazdem do Azji, gdzie miałem kręcić plenery do serialu telewizyjnego, poprosiłem, żeby zarezerwowała dla mnie któryś z wolnych wieczorów. Zaprosiłem ją na kolację. Było to naturalne i przyjęła zaproszenie z radością. Bawiła się doskonale. Obserwując ją uznałem jednak, że nie odczuwa cienia zmartwienia z powodu mojego wyjazdu. Miałem o to do niej trochę żalu, ale nie chciałem, żeby o tym wiedziała. I oczywiście ani słowem nie wspomniałem o tym, co do niej czuję.

Po powrocie z kolacji zamknęła się u siebie i chyba jak zwykle do późnej nocy słuchała muzyki z magnetofonu. Mimo to rano była na nogach długo przede mną. Chyba denerwowała się, że nie zdążę na lotnisko, więc przywędrowała do mnie na górę z kawą. Miała zwyczaj wszystkim denerwować się na zapas.

– Wiesz, staruszkule, będzie mi ciebie brakować. Komu ja się wyżalę? – powiedziała na pożegnanie.

Byłem wzruszony, ale też ukłuło mnie trochę ostatnie zdanie. Na pożegnanie ucałowałem ją tak, jak tego zapewne oczekiwała, czyli po ojcowsku, w czoło.

Stłumiłem w sobie uczucie do niej i dotąd nie jestem pewien, czy nie popełniłem błędu. Po powrocie z Azji dom zastałem pusty. Zaprosiła mnie do siebie. Miała własne przytulne mieszkanko, bardzo niedobry, jak twierdziła, okres w pracy i jak zwykle kłopoty miłosne. Zastanawiała się, czy nie rzucić sceny. Nie umiałem jej nic poradzić. Potem widywaliśmy się rzadko, od przypadku do przypadku, aż do pamiętnego spotkania u Jachimowskich, kiedy to wśród zabawy dość brutalnie udało mi się wykrzesać z niej to, czego ciągle brakowało mi w jej śpiewaniu. I stało się tak, że zostałem jednym z tych ludzi zajmujących się piosenką. U mnie miało to ścisły związek z Joanną. Zmusiłem ją do pracy, wierzyłem, że odniesie sukces i miałem rację. Potem już wszystko powinnaś wiedzieć, bo przebywałaś z nią prawie stale, dopóki to się nie stało. Do tej pory nie mogę w to uwierzyć...

\* \*  
\*

Słońce przewędrowało już na drugą stronę domu i znaleźliśmy się w cieniu. Jerzy przekręcił się na wznak i podparłszy głowę, utkwiał nieruchomy wzrok w wiszącym nad nami maleńkim obłoczku.

– Aśka przepadała za tobą – powiedziałam. – Zawsze, kiedy była w tarapatkach, uważała, że potrafiłbyś ją z nich wyciągnąć.

– Tak, wiem, przyzwyczailem ją do tego. Naprawdę, wierz mi Ewo, byliśmy dobrymi przyjaciółmi... Tylko ona była za odważna. Nie, właściwie nie mam racji – kiedy trzeba było normalnie, po ludzku walczyć o swoje sprawy, nie widziałem gorszego od niej tchórza. Ona po prostu miała za dużo ufności do świata, nigdzie nie węszyła niebezpieczeństwa, dlatego kiedy ją cokolwiek złego spotkało, była taka bezbronna. I może dlatego utonęła...

– Ja ciągle nie jestem pewna – zwierzyłam mu się nagle – że to był przypadek. Nie spocznę, póki nie będę mogła sobie na to odpowiedzieć.

– Niczego nie osiągniesz – powiedział pewnie. – Joanna za bardzo kochała życie, zapewniam cię.

Zaproponowałam, żebyśmy przesunęli się na słońce, bo zrobiło mi się chłodno. Jerzy wstał i zaczął szukać miejsca, gdzie cień nas nieprędko dogoni. Przyglądałam mu się zyczliwie.

Następnego dnia przyjechał do Kurhanowa Modest Twardowski, żeby zobaczyć się ze mną. Byłam zszokowana jego przyjazdem. Jak się później okazało, pojawił się tam nieprzypadkowo. Chciał przekazać

mi pamiętnik Joanny.

Patrzyłam na niego i nie mogłam się zdobyć na żadne słowo. Joanna jeszcze raz zakpiła sobie ze mnie albo czas i tragedia, która dosięgnęła go w związku z jej utonięciem, tak wielkie poczyniły w nim zmiany. Spodziewałam się zobaczyć przysłowiowy „ósmu cud świata”, tymczasem mityczne bożyszcze mojej siostry, którego za jej życia nie zdążyłam poznać, nie miało z nim nic wspólnego. Bo oto stał przede mną dość wysoki, wyraźnie już łysiejący mężczyzna, wyglądający nad wyraz przeciętnie i wcale nie zdobywczo ani demonicznie, jak utrzymywała Aśka, a po prostu miło. To oczywiście odnotowałam na jego korzyść. Myślę, że owo zaskoczenie, bo użycie tu słowa „rozczarowanie” byłoby całkiem nie na miejscu, sprawiło, że zaniemówiłam. Sytuacja ta przedłużała się nieznośnie, aż wreszcie Modest roześmiał się i powiedział:

– Już wiem, co panią tak zamurowało! Idziemy o zakład, że zgadnę?

– Nie wyobrażam sobie, żeby pan to potrafił – odpowiedziałam szczerze.

– Ejże! Znałem Joannę chyba nie gorzej niż pani i wiem, jakie rzeczy potrafiła opowiadać o ludziach, którzy byli jej sympatyczni. Sam niejednokrotnie stawałem przed kimś zdumiony nie mniej niż pani w tej chwili. A więc miał stanąć przed panią co najmniej Gregory Peck, i to prawdopodobnie w jakimś lepszym wydaniu, a tu klapa! – gorzej niż przeciętność...

– O, mój panie, widzę, że jednak zdołano już w panu wyzwolić próżność, żąda pan afirmacji. Na próżno, nie dam się w to wciągnąć! Rzeczywiście znany mi pański rysopis daleki jest od oryginału, ale jestem z tego bardzo zadowolona, bo nie wiem, jak zareagowałabym skonfrontowana z doskonałością...

– Ja nie jestem rozczarowany.

– Rozumiem przez to, że jestem niezwykle piękna i w ogóle zapowiadam się niezłe...

– Jest pani uderzająco podobna do Joanny... przynajmniej zewnątrz.

– I tylko – przekona się pan. Dlaczego zdecydował się pan tu przyjechać? – spytałam nagle obcesowo.

– Pewnie z podobnych powodów co i pani, Ewo. Nie zdołałem jeszcze zapomnieć. Trochę wypytywałem ludzi, no i mówiąc szczerze, chciałem panią poznać.

– Modeście, skąd pan ma takie imię, wcale nie pasuje do pana!

– To jedna z nieszkodliwych ekstrawagancji mojej matki. Kiedy byłem małym chłopcem, nie mogłem jej tego wybaczyć. Potem, już jako nastolatek, byłem jej za to wdzięczny. Młodziutkie dziewczyny lubią pretensjonalne imiona, podobno jakoś szczególnie działa to na ich wyobraźnię. Miałem więc możliwość zwrócenia na siebie uwagi bez wielkich starań. Rozumie pani, dokonywałem moich pierwszych podbojów, jak to się mówi, „na imię” – i znowu się roześmiał.

W tym jednym Aśka nie przesadziła ani odrobiny – uśmiech miał rzeczywiście wyjątkowy. Zębów posiadał chyba aż sześćdziesiąt cztery, i to niezwykle pięknych i białych, aż zaczęłam podejrzliwie podglądać, czy to nie sztuczna szczeka. W dodatku kiedy się śmiał czy tylko uśmiechał, nie sposób było opanować mięśni twarzy, żeby mu nie odpowiedzieć tym samym – bo ten jego uśmiech był niebezpiecznie zaraźliwy.

– Opowiadają o pani dziwne rzeczy.

– Czyżby? Brzmi to intrygująco. Cóż, u licha, można o mnie opowiadać? Kariery robić nie zamierzam, wpływowych przyjaciół nie mam, w moim dawnym czy, jak pan chce, „naszym” środowisku od tamtych czasów nie bywam. Zdaję egzaminy, czasem dorabiam trochę dekorowaniem wystaw sklepowych i malowaniem tablic reklamowych i na tym koniec. Sama proza – czy warto o tym mówić?

– Właśnie! Gdyby pani tak definitywnie nie oderwała się od wszystkich dawnych znajomych, nie prowokowałyby to pewnie nikogo do jakichkolwiek komentarzy. A tak słyszy się o pani stale. Podobno

ostentacyjnie ignoruje pani wszystkich z kręgu Joanny, zarzuciła pani pracę w kabarecie, gdzie była filarem. Jest pani, jak słyszałem, nienaturalnie poważna i pozbawiona wszelkich namiętności wieku młodzieńczego. Zdaniem osób, które na ten temat plotkują, wygląda to na chytrą pozę, która denerwuje tym więcej, że nie wiadomo, do czego służy. Niektórzy podejrzewają – muszę tu niestety być brutalny – że jest pani lekko „rąbnięta”. Przyznam, że te właśnie opinie, oczywiście przy współudziale tęsknoty za moją Aśką, o której nie mam z kim i nie mam po co rozmawiać, skłoniły mnie do tego, żeby pani poszukać. Dlatego tak skwapliwie przystałem na spotkanie. Wiem, że trapi panią pewna zagadka, mógłbym pomóc w jej rozwiązaniu.

Modest zamilkł, bo oto nadszedł prawdopodobnie moment, kiedy mógł wyrzucić z siebie to, z czym tutaj jechał i nagle ten pomysł wydał mu się bezsensowny. Tak przynajmniej to odebrałam. Sama nieraz doznałam takiego uczucia...

– Wie pani...

– To nie ma sensu, możesz mi mówić po imieniu – zaproponowałam. – Byłeś przecież bliski mojej siostrze.

Ucieszył się.

– Wiesz, Ewo... – zawahał się. – Wkrótce miałem się ożenić.

– Miałeś?... Naturalnie. Powinieneś to uczynić, nie możesz przecież żyć tylko wspomnieniami...

Gratuluje ci, Modi...

– Nie powinnaś przy tej okazji nazywać mnie tak jak ona, to perfidne.

– A ty nie powinieneś mnie szukać. Przecież nie będę cię rozgrzeszać z jakichś spraw, z których sam nie jesteś w stanie się rozgrzeszyć. To nie ma sensu. Gdyby Aśka znalazła się na twoim miejscu, zakochałaby się już ze trzy razy, co wcale nie umniejszałoby jej rozpacz po tobie.

– Wiem doskonale, że nade wszystko bała się być sama. Nie musisz mi tego teraz mówić. Przez wszystkie lata naszej samotności drżałem, że kiedy spotkamy się po następnym długim rozstaniu, będę jej obcy. Ale tylko do mnie umiała stale powracać. Sądziłem najpierw, iż wypływało to stąd, że nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do naszych spraw. Ale byłem w błędzie. Potem, kiedy przeczytałem ten pamiętnik...

– Pamiętnik? – wykrzyknęłam zdumiona. – Jeszcze jeden?

– Wyobraź sobie! Prawie do ostatniego dnia prowadziła pamiętnik. Myślę, że prawie każda dziewczyna przez to przechodzi, ale ona do końca z tego nie wyrosła.

– Wiem, że byliście razem w ten ostatni dzień. Potem ona wypłynęła sama i to się stało...

– Przyszło mi do głowy, że nie mam wyłącznego prawa do tych jej notatek, dlatego przywiozłem ci je, Ewo – mówiąc to podał mi grubą kolorową teczkę.

– Dziękuję – powiedziałam. – Ale... tylko ty możesz wiedzieć, czym ona była przejęta tego ostatniego dnia, co mogłoby ją wzburzyć czy przestraszyć. Skoro twierdzisz, że ją znałeś, wiesz, jak dalece dawała się ponieść nastrojom. Ty jeden możesz mi to powiedzieć, bo tego dnia nie rozmawiała z nikim poza tobą – nie dawałam mu spokoju.

– Ewo, przeczytaj te kartki. Ale powiem ci od razu, że byliśmy... nie, może nie powinienem tego mówić. Otóż byłem tego dnia nieprzytomny ze szczęścia. Joanna na wieść o tym, że zamierzam skończyć z wyjazdami i osiąść wreszcie w Warszawie, zdecydowała się zostać moją żoną.

– Och, tak mi przykro.

– Potem martwiłem się, czy ona nie zdecydowała się na to zbyt pochopnie i może dlatego...

– Zwariowałeś? Ona była w tobie zakochana jak pensjonarka. Po tylu latach czekania, niepewności... uważasz, że to była pochopna decyzja? Gdzie ty miałeś oczy?

– Nie wiem. Nie mogę się z tego na dobre otrząsnąć. Obawiam się, że ta moja dwudniowa dezercja

przed narzeczeństwem może się przedłużyć w nieskończoność. Po prostu nie rozliczyłem się jeszcze z tamtej sprawy i dopóki to nie nastąpi, chyba nie wolno mi niczego przedsięwziąć.

– Czego więc oczekiwałeś od spotkania ze mną? – zapytałam niechętnie.

– Bardzo wiele i niczego...

– To jest przynajmniej szczerą odpowiedź. Słuchaj, Modest, ja ci nie pomogę, tak jak ty mi na razie nie pomogłeś. Jestem w końcu tylko „dziwną” dziewczyną, o której się plotkuje. Tragedia, która nas dotknęła, nie zbliża nas na tyle, żebyśmy mogli sobie pomóc. Wracaj do swojej dziewczyny, to będzie najlepsze lekarstwo.

– Pewnie masz rację, ale to nie jest takie proste.

– A co jest proste? Czy w życiu cokolwiek jest „takie proste”?

– Ewo, ile ty masz lat?

– Za miesiąc będę miała dwadzieścia jeden i pół, zadowala cię to?

– Nie. Jesteś naprawdę dziwną dziewczyną. Czasami wydajesz się o całe pokolenie starsza ode mnie.

– Mam to traktować jako komplement czy impertynencję?

– Czy ja wiem? Masz na podorędziu tyle uogólnień, wypowiadasz poważnym tonem tyle mądrych wniosków, że mogę to wytłumaczyć, biorąc pod uwagę moją przychylność do waszej rodziny, tylko w jeden sposób: jesteś, Ewo, fantastycznie, po młodzieńczemu, zaangażowana w sprawę odejścia twojej siostry. Dlatego cieszę się, że mogę ci pomóc, sama się o tym przekonasz. Dojrzałe kobiety potrafią z takim fanatycznym uporem zajmować się jedynie iście babskimi sprawami – karmieniem męża, dzieci, domem, kochankiem, łachami. Na dłuższą metę podobny twemu rodzaj zaangażowania jest cechą typowo męską.

– Objawiłam ci się jako babo-chłop doskonały?

– Odwrotnie, jako bardzo młodziutka kobietka.

– A ty...

– Co ja?

– Dlaczego uciekłeś od narzeczonej? Nie kochasz jej? Bardziej kochasz moją zmarłą siostrę?

– Przestań! Żadne sprawy w życiu nie dublują się. Mogą być jedynie podobne albo wydawać się podobnymi. Nigdy nie próbowałem tych rzeczy porównywać. Joanna jako nierealna ma kolosalną przewagę nad wszystkimi kobietami, jakie znałem. Zresztą była naprawdę inna. Choć nie twierdzę, że życie z nią byłoby rajem. Potrafiła mnie bezlitośnie dręczyć.

– To wynikało z jej niepewności. Złośliwością i arogancją zawsze pokrywała brak pewności siebie. Ty też byłeś dla niej nierealny, Modi. O ile wiem, znaliście się parę lat, ale gdyby zsumować wszystkie dni, w które byliście z sobą, złożyłyby się one może na trzy miesiące albo i mniej.

– Jak często rozmawiała z tobą o mnie?

– Odkąd zaczęłam te sprawy trochę rozumieć – zawsze!

– Nie wiedziałem. Wydawało mi się, że zapomina o mnie, gdy tylko traci mnie z oczu. Dopiero ten pamiętnik...

– Słuchaj, Modest – przerwałam mu. – Nazywasz mnie dziwną dziewczyną, ale jaki jesteś ty? Nie pomyślałeś o tym? Błędny rycerz i Dulcynea, która nie istnieje.

Spojrzał na mnie urażony i zdziwiony. To mnie rozjuszyło. Chciałam go urazić. Ten jeden dzień, kiedy obiecała, że będzie jego żoną, nie liczył się. Nie ma prawa obnosić się przede mną ze swoim smutkiem czy też pozą – nie jest kimś „spośród nas”. Ani rodzice, ani ja nigdy nie odzyskamy Joanny, a nasz smutek po jej stracie, żeby nie wiem jak przybladł, będzie jednak tym samym smutkiem, dla którego nie może być żadnego zadośćuczynienia. A on – mityczny, piękny Modi z opowieści Aśki – jest właśnie narzeczoną jakiejś wspaniałej dziewczyny albo banalnej gęsi – i to się liczy.

– Przyszedłeś jeszcze pożegnać jedną historię przed rozpoczęciem drugiej? – powiedziałam złośliwie.  
– Chyba nie chcesz robić tego z pompą i paradą. Zostawiam cię. Rozmyślaniami nad bezpowrotną przeszłością bardziej przystoi samotność...

– Ewo! Jesteś okrutna!

Wyrwałam mu swoją rękę. Nie chciałam na niego patrzeć, ale kątem oka zarejestrowałam, że był bardzo blady. Odeszłam powoli, specjalnie udając spokój. Zachowałam się podle, ale podświadomie czułam, że to przywróci mu równowagę, bo mimo całego mojego buntu musiałam się przyznać sama przed sobą, że skłonna byłam mu współczuć, a sądziłam, że niesłusznie uzurpował sobie do tego prawa.

\* \*  
\*

Modest spoglądał na łąkę, odprowadzając wzrokiem oddalającą się Ewę. Szła spokojnie i wolno, ze spuszczoną głową. Tak samo patrzył wtedy za Joanną, kiedy szła sama w stronę jeziora. Trochę był urażony, że nie zaprosiła go do wspólnej kąpieli. Powstrzymywał się, żeby nie zawołać za nią. Ale nie zawołał. Chciał koniecznie wiedzieć, o czym myśli idąc tak wolno, i postanowił zapytać o to, gdy tylko wyjdzie z wody. Odwrócił się w stronę namiotu i zaczął przygotowywać kolację. Potem wyrzucanie sobie, że nie zdążył zapytać, o czym myślała idąc do jeziora, przez długie miesiące było jego obsesją. Bo to, co wyłowili wieczorem z wody, nie było już Joanną...

Odwrócił się rozmyślnie w stronę lasu, żeby oprzeć się chęci pójścia za Ewą i stanął jak wryty, bo uświadomił sobie ze zgrozą, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie on i Joanna rozbili wtedy namiot. Dałby sobie głowę uciąć, że czworokątny ciemniejszy ślad to właśnie miejsce okopywania namiotu, nad którym mozolili się pół dnia, używając dziecięcej łopatkę do piasku. Patrzył jak urzeczony na ten niewyraźny czworokąt i nagle z tego zamyślenia wyłoniła się roześmiana trójkątna twarz Joanny. Nie taka jak wtedy tutaj. Zobaczył ją starannie umalowaną, z włosami związanymi na czubku głowy w koński ogon i z lekkim rumieńcem na policzkach.

Tak właśnie wyglądała, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Bo on zauważył ją znacznie wcześniej. Od razu, kiedy pojawiła się z tymi swoimi koleżankami w Bergen, na ich budowie w Norwegii. Przyszły do stołówki z naczelnym inżynierem wypić kawę. Dwie poważniejsze trochę, chociaż teraz roześmiane, a ta „Drobna” – jak nazwał w myślach Joannę – rozpaplana, wyraźnie podniecona taką liczbą samych mężczyzn dookoła. Robiła wszystko, żeby stać się ośrodkiem zainteresowania i bez pardonowo lustrowała wszystkich jego kolegów, jakby szukając ofiary. Miał jej to za złe, jak i tę całą słyszana z daleka paplaninę, której wszyscy zdawali się słuchać z zainteresowaniem, łącznie z jej głupimi dowcipami. Do tego wszystkiego w ogóle nie zauważyła jego – Modesta – a to on właśnie miał wśród kolegów opinię pozeracza serc.

Przez następne dni przysłuchiwał się rozmowom kolegów o przybyłych na budowę dziewczętach. Były „artystkami”, jak mówiono. Artystki ze spalonego teatru – pomyślał sobie i wzruszył ramionami. Gardził dziewczynami z tego środowiska. Nie dlatego, żeby swój solidny zawód inżyniera przedkładał nad wszystkie inne, ale z tego powodu, że kiedyś uwikłał się w „awanturkę” z jakąś refrenistką i sprawy przybrały taki obrót, że na długo zostało mu po tym uczucie niesmaku.

Ale teraz nie gardził zdobywanymi o „artystkach” informacjami. Wiedział już, że ten tercet złożony z trzech na wpół obnażonych dziewcząt, udających siostry, ma nazwę związaną z motoryzacją: „Mercedes” czy „Toyota”. Zakładają jednakowe rude peruki, śpiewają kalecząc język rosyjski stare romanse i frywolne pioseneczki, ilustrując je potężną porcją – jak same to nazwały – „ewolucji tanecznych”. Rozgrzewają do białości zimnych Norwegów i są najmocniejszym punktem



międzynarodowej rewii w największej restauracji, obliczonej na turystów. Dziwnym zbiegiem okoliczności to nie stęsknieni za krajem eksportowi konstruktorzy elektrowni trafili na ślady Polek, ale właśnie dziewczęta dobrnęły któregoś popołudnia przez błota otaczające budowę aż do stróżówki. Stary Waclawik, który poprzedniego wieczoru dostał od marynarzy zaopatrzenie w postaci „polskiej eksportowej”, usłyszawszy słowa podane sopranikiem: „Hej, wy tam na straży, otwórzcie rodaczkom”, długo przecierał oczy i uszy, posądzając siebie o delirium. Potem na wszelki wypadek zadzwonił na budowę i upewnił się, czy może otworzyć furtkę, bo „jakieś trzy młode Poleczki domagają się wpuszczenia”.

Ma się rozumieć, że zanim furtka została otwarta, szpaler zaciekawionych chłopaków stał po obu stronach kładki prowadzącej do biura budowy.

– A konkretnie to panienki do kogo? – zapytał rzeczowo Waclawik.

– Oczywiście do szefa – odparła ta wysoka o końskiej szczęce.

– Do pana Dankowskiego? – upewnił się jeszcze stróż.

– Ma się rozumieć – bez chwili wahania odpowiedziała rezolutna dziewczyna – chyba że jest nieobecny, to do zastępcy.

– A, to proszę! – Erwin znalazł się od razu na stanowisku. – Zaprowadzę panie.

Dziewczęta zachichotały, a ta drobna, ciemna, to znaczy Joanna, powiedziała szeptem do wysokiej: „Świetny miałaś pomysł z tym szefem, co tam będziemy gadać z pionkami”.

Modest zatrząsł się z gniewu. Ta dziewczyna od razu go zirytowała powiedzeniem „z pionkami”.

Potem drzwi gabinetu naczelnego inżyniera Dankowskiego zatrzasnęły się i tylko z kuchni donoszono kieliszki, kanapki i kawę. Chłopcy rozeszli się na swoje stanowiska, komentując złośliwie, nie bez nutki zazdrości, tę osobliwą babską inspekcję.

Za dwa dni, punktualnie o godzinie szesnastej, trzy trzpiotki pojawiły się znowu i już bez przewodników i zbędnych dialogów powędrowały prosto pod drzwi Dankowskiego, który jak na zawołanie otworzył je w tej samej chwili, kiedy pod nimi stanęły. Widocznie stary wyjadacz musiał czatować na nie w oknie. Wszędobylski Erwin i tym razem nie zawiódł. Pod jakimś błahym pretekstem wszedł do Dankowskiego, ścigany zazdrosnymi spojrzeniami „Towarzystwa Słomianych Wdowców”, jak żartobliwie mawiała o sobie nasza załoga, i pozostał tam przez dwie godziny. Ożywiona rozmowa w gabinecie, której nie przerwało wejście Dankowskiego, świadczyła o tym, że rozmawiający osiągnęli już pewien stopień zażyłości.

Dopiero od Erwina dowiedzieli się wszyscy, co to za panienki. Pomimo tego że śpiewają i tańczą w marnej rewii, mają olej w głowie. Najwyższa wydaje się być kimś w rodzaju kierowniczkii czy przyzwoitki. Jest chyba najstarsza i ciągle przywołuje swoje podopieczne do porządku. Karci je wzrokiem i gestem. Podobno Erwin ku swemu rozbawieniu zauważył, jak dała pod stołem klapsa Joannie, kiedy ta opowiedziała niezbyt przyzwoity dowcip. Dziewczęta były już dwa miesiące poza krajem, zdane tylko na własne towarzystwo, bo reszta uczestników rewii zamknęła się w swoich klanach narodowych. Odkryły polską budowę za pośrednictwem marynarzy, do których zawędrowały po przeczytaniu ogłoszenia o ruchu statków w portach, gnane tęsknotą za konwersacją w języku ojczystym.

Już wkrótce wizyty panienek stały się wyczekiwany przez „Towarzystwo Słomianych Wdowców”, kulminacyjnym punktem dnia. Krąg wtajemniczonych rozszerzał się, wieczorami wysztyftowani panowie wsiadali do samochodów, żeby po raz kolejny okłaskiwać ich program w luksusowej restauracji „Skandia-Show”. Okazało się zresztą, że wszelkie umizgi w ogóle nie wchodzą w rachubę, bo najstarsza z dziewcząt, Danusia, wybrała sobie zdecydowanie Dankowskiego, a on wolałby wiotką Aldonę, ale ta wciąż opowiadała o swoim mężu i synku – wszyscy na budowie oglądali ich zdjęcia. Co do Joanny, była

podobno za ledwie zaręczona, a więc wedle nich do wzięcia. Tylko że Joanna uwodziła wszystkich, choć tak naprawdę nikogo. Tak się miały rzeczy aż do Wielkiej Nocy. Dziewczęta wyjechały przedtem na miesiąc do jakiegoś miasteczka i przysyłały śmieszne kolorowe kartki na ręce Dankowskiego. Tuż przed świętami Dankowski zadzwonił, żeby złożyć im życzenia, a kiedy dowiedział się, że mają parę dni przerwy w występach, zaproponował pół żartem, pół serio, żeby przyjechały na święta na budowę. Za niespełna dziesięć godzin zdrożone wysiadły z eleganckiego beżowego mercedesa, który z fantazją wjechał na błotnistą drogę przed furtką stróżówki. Waclawik ucieszony wybiegł im naprzeciw, chcąc odebrać walizki, zajął do samochodu i powiedział cmokając:

– No, no, przystojny ten mąż pani Aldonki, a jaki czuły!

Dziewczęta obejrzały się i wybuchnęły śmiechem. Elegancki kierowca, który przewiózł je autostopem trzysta kilometrów, właśnie odbierał od Aldony zapłatę w naturze. Niespodziewanie na ustach przykładnej żony i matki wycisnął długi, namiętny pocałunek. Gdy wreszcie uwolniona z uścisku „ofiara” zatrzasnęła za sobą drzwi, zawarczał rasowo silnikiem i ruszył wolno, rozpryskując błoto.

Orkiestra odegrała na grzebieniach marsza triumfalnego, dziewczęta odprowadzono do przeznaczonych dla nich pokojów gościnnych, a za godzinę wyświeżone i trochę onieśmiałe zeszły do jadalni na uroczystą kolację.

Joanna miała na sobie jakąś jaskrawą sukienkę, chyba z przewagą czerwieni, z falbanami wokół szyi i dłoni, włosy związane na czubku głowy i spadające aż na ramiona. Wyglądała dość egzotycznie. Modest z jakiegoś powodu zbliżył się do stolika Dankowskiego, gdzie siedziały dziewczęta, i zobaczył, że uśmiechnięta twarz Joanny nieruchomieje. Jej oczy lustrowały go ze zdziwieniem, jakby dopiero co pojawił się na budowie. Potem, nie odwracając od niego wzroku, złapała się za kolano i powiedziała flegmatycznie: „No, czemu mnie kopiesz?” Słowa te były skierowane do Aldony, która wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, bo owo kopnięcie miało oznaczać, że zbliża się ktoś w guście Joanny. Po chwili Joanna zreflektowała się i jej trójkątna twarzyczka oblała się rumieńcem. Żeby pokryć zmieszanie, uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech przeznaczony dla ogółu. Wyraźnie adresowała go do Modesta.

Nareszcie poczuł się panem sytuacji. Przypomniawszy sobie, co zazwyczaj dziewczęta mówiły na temat jego uśmiechu i wykorzystał ten swój atut. Joanna spoważniała. Kiedy odchodził do swojego stolika, czuł, że patrzy za nim. Uświadomił sobie nagle, że właśnie tego przez cały czas pragnął, że myślał o niej z pogardą tylko z bezsilnej złości, że go nie dostrzega.

Od tej chwili Joanna przejęła inicjatywę. Ze zdumieniem Modest usłyszał poprzez gwar jej energiczną propozycję, że czas najwyższy, żeby zawarły bliższą znajomość z resztą współpracowników inżyniera naczelnego.

– Wydaje mi się, Joasiu, że wiem, od kogo chcesz zacząć – powiedział Dankowski ze śmiechem.

– Zastrzegam sobie wolność poczynania! – odrzekła Joanna i za chwilę stała obok Modesta ze swoim kieliszkiem.

Zerwał się i ustąpił jej miejsca. Przyniósł krzesło dla siebie, usiadł obok niej, a potem nie bacząc na zaciekawione audytorium rozpoczęli pamiętny i niezbyt mądry dialog.

– Pierwszy świąteczny toast postanowiłam spełnić z chłopakiem o złośliwym uśmiechu.

– Złośliwym? Nikt mi tego nie mówił.

– Mam wrażenie, że stać mnie na powiedzenie jeszcze paru rzeczy, których nikt panu nie mówił, panie...

– Modeście – podpowiedział i zaczerwienił się, bo nagle poczuł się małym chłopcem, który cierpiał męki, gdy musiał kolegom wyjawiać swoje imię.

– Modeście?! Ha, ha, ha! Na litość boską, co to za imię? Nigdy w życiu nie potrafię pana tak nazywać.

– Przykro mi. Możemy być po nazwisku.

– A nazwisko ma pan lepsze?

– Odrobinę: Twardowski do usług.

– Twardowski? Jak ten z księżycą?

– Tak samo.

– Pan żartuje?

– Przeciwnie. Jeśli pani aż tak wielką wagę przykładą do imion i nazwisk, a moje nie są dobre – powiedział nieco urażony – trudna rada, nie będziemy przyjaciółmi.

– Dlaczego? Twardowscy to stara, dobra polska rodzina.

– Nie chciałbym, żeby się pani zmuszała.

– Lubię robić sobie na złość, a w ogóle to nigdzie stąd nie pójdę, najchętniej zostaję tam, gdzie mnie nie chcą.

I została. Do końca wieczoru nie spojrzała i nie chciała rozmawiać z nikim innym. Kiedy zainicjowano tańce przy magnetofonie, niechętnie zatańczyła z Dankowskim, ale już za chwilę siedziała obok Modesta. Jej koleżanki były oburzone i wstrząśnięte. Zdaje się, że nie znały jej od tej strony. Nie zaprotestowała, kiedy zaproponował jej pójście na kameralną kawę do jego pokoju. Jeszcze przed wyjściem z sali, kiedy zgaszono światło, spróbował ją pocałować i nie napotkał oporu.

Było dobrze po północy, kiedy znaleźli się u niego. Joanna nie zachowywała się już z poprzednią nonszalancją. Była cicha i zażenowana. Rozmowa się najpierw nie kleiła, ale potem ni stąd, ni zowąd zaczęli się sobie zwierzać. Modest zastanawiał się, co sprawiło, że ta tak pełna życia dziewczyna siedzi oto cichutko w jego pokoju. Przeszło mu przez głowę podejrzenie, że wypity alkohol może mieć z tym coś wspólnego, ale skarcił się za to, bo oczy Joanny były błyszczące, ale przytomne.

– Pomyśleć tylko, że mogłam w tej chwili śpiewać gdzieś w Berlinie jako gwiazda, występować w telewizji, robić nagrania.

Oho, zaczyna się chwalić – pomyślał i po chwili zapytał:

– A dlaczego pani tam nie ma?

– Z tchórzostwa.

– Nigdy w to nie uwierzę!

– Spodziewam się, sądząc po tym, czego dokonałam dzisiaj.

– Chyba to żaden ewenement w pani życiorysie? – zapytał podejrzliwie.

– Absolutny. Chociaż wiem doskonale, że pan mi nie uwierzy. Ale to pana zasługa. Kiedy pan uśmiechnął się do mnie przy stole Dankowskiego, ogarnęła mnie nagle panika, że mogę przegapić coś cudownego.

– Z wdzięczności powinienem panią ucałować.

– Nie chcę, żeby pan to teraz uczynił.

– Zdawało mi się, że przedtem nie sprawiłem tym pani przykrości.

– Tam były jeszcze żarty. Tu są zamknięte drzwi.

– Nieprawda! Może pani sprawdzić. Nie mam zwyczaju zniewalać kobiet siłą.

– I słusznie. Rezultaty wątpliwe.

– A jednak pani tu jest.

– Ano jestem... ale jutro odjadę i nigdy się nie zobaczymy.

– Pani Joanno, proszę nie wymawiać tak łatwo tego brzydkiego słowa.

– To prawda. W sierpniu wychodzę za mąż, bo zdawało mi się, że jestem zakochana...

– To może wcale nie musi pani wychodzić za mąż?

– Bardzo tego pragnęłam. Dlatego wołałam wejść w skład tercetu podrzędnej rewii, bo bliżej i nie

na długo. Bałam się samotności, tęsknoty, zazdrości... A wszystko jest nie tak, jak bym chciała.

– Już się pani nie boi?

– Boję się. Zaczynam bać się siebie. Jesteś wspaniałym chłopcem, Modi – zwróciła się do niego nagle po imieniu. O Boże, co ja gadam! Nie znam cię przecież wcale. Wydajesz mi się wspaniały. Myślę, że jesteś dla mnie tym, kogo podobno spotkać musi każda kobieta. Po prostu przychodzi taki ósmy cud świata, ciągnie za włosy, a ta głupia za nim jak w dym.

– Zdumiewasz mnie, Joanno. Przecież mnie nie znasz... Wcale mnie nie znasz.

– Właśnie ci to mówiłam. Ale ja cię nie chcę znać. Chciałabym...

Modest próbował ją objąć, lecz się zawahał. Zarzuciła mu ręce na szyję. Zamknęła oczy i palcami, jak ślepiec, starała się dotykiem utrwalić sobie jego usta, oczy, brwi. Namacała dołek w brodzie, wspięła się na palcach i pocałowała go delikatnie w to miejsce. Nie śmiał reagować, nawet bał się oddychać. Ogarniało go coraz większe podniecenie, ale bał się z tym zdradzić. Wyczuwał, że byłoby to nie na miejscu.

– Chciałabym cię tylko kochać... – powiedziała nieoczekiwanie. – Ale teraz odprowadź mnie, bo moje koleżanki umrą za mnie ze wstydu.

– Jesteś dorosła, chyba sama odpowiadasz za siebie?

– Wyrzekam się wszelkiej odpowiedzialności za tę tu panią. Sam widzisz, Modi... Modi – czy mogę cię tak od dziś do jutra nazywać?

– Nazywaj mnie, jak chcesz, byle nie tylko do jutra. Czy wiesz, że spodobałaś mi się od razu, kiedy cię zobaczyłem?

– Ty ośle! Trzeba mi było się pokazać!

– Mijałaś mnie kilkanaście razy, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Nienawidziłem cię za to.

– Kłamiesz! Jak mogłeś zmarnować tyle dni?

– Sama mówisz, że to i tak nie ma przyszłości. Chodź, odprowadzę cię. – Wyjrzał za drzwi, w celu sprawdzenia, czy nie kręci się gdzieś któryś z jego kolegów, aby nie narażać Joanny na przykrości, ale dom wydawał się uśpiony.

Nazajutrz, kiedy po bezsennej nocy wyszedł ze swego pokoju, dowiedział się, że Joanna i dziewczęta poszły na spacer z Dankowskim i Erwinem, czyli ze stałą asystą. Wszystko wróciło do normy. Wielkanocny żart – myślał z sarkazmem – został wymazany. A może to wszystko istniało tylko w jego wyobraźni?

Zbliżała się godzina obiadu, a oni nie wracali. Wszyscy już siedzieli przy stołach, kiedy zajechali taksówką i zasiedli przy stole Dankowskiego. Wesóło komentowali to, co się działo na spacerze. Tylko Joanna była blada i milcząca. Nie podnosiła oczu znad talerza. Po obiedzie nie wstała od stołu i poprosiła, żeby ją jeszcze na chwilę zostawili samą.

– Moja biedna Joaśka, jak ona się zakochała – wypaliła śmiejąc się Aldona.

– Milcz – syknęła Joanna i Aldona odeszła speszona.

Modest nieśmiało podszedł do Joanny. Wskazała mu miejsce obok siebie, ale unikała jego wzroku. Wziął ją za rękę. Najpierw ją cofnęła, a potem oparła na niej policzek.

– Dlaczego milczysz? Czy nie masz mi nic do powiedzenia? – zapytała.

– Nie chciałbym mówić nic, za co nie mogę na razie świadomie wziąć odpowiedzialności.

– Uosobienie taktu i... rozsądku.

– Nie kpij, Joanno. Nie wiesz, co czuję. A ja sam chyba nie jestem w stanie tego określić.

– Jest mi ogromnie smutno. Czy masz jakąś dziewczynę?

– Naturalnie, Joanno, czeka ktoś na mnie.

– No pewnie, z jakiej racji miałbyś być wolny... Żegnaj Modi!

– Joanno, nie chciałbym tak kategorycznie...

– No to cześć – rzuciła nagle od rzeczy i wybiegła z jadalni.

Później, z dwutygodniowym opóźnieniem, bo akurat strajkowała poczta, nadszedł od niej ten zwariowany list, jakiego chyba nikt nigdy nie dostał. Zamiast na niego odpowiadać, wsiadł w samochód i pojechał do niej. Jechał prawie do rana, a kiedy wreszcie dotarł na miejsce, okazało się, że przed dwoma godzinami ostatni uczestnicy rewii rozjechali się do swoich krajów.

Modest próbował potem szczęścia z innymi dziewczynami, ale nie potrafił przy nich nie myśleć o Joannie. Po roku wrócił do kraju i zobaczył jej zdjęcie na okładce jakiegoś tygodnika. Była popularna. Bardzo łatwo, bo najzwyczajniej w książce telefonicznej znalazł numer jej telefonu. Ale nie zadzwonił. Widywał ją w telewizji, słuchał w radiu. Jej śpiewanie nie trafiało mu zbyt do przekonania. Wciąż jeszcze nie wyszła za mąż albo ukrywała to skrętnie w celach reklamowych. Po miesiącu jednak nie wytrzymał i wykręcił numer jej telefonu. Odezwał się męski głos. Odłożył słuchawkę, ale nie dawało mu to spokoju, więc po godzinie zadzwonił ponownie. Odezwała się Joanna.

– Halo?

– Joanno, to ja, Modest...

Cisza.

– Joanno... czy mnie poznajesz?

– Czy poznaję? Dlaczego nie odpisałeś na mój list? Nigdy ci tego nie daruję, już nigdy czegoś takiego nie napiszę.

– Wiedziałaś przecież, że poczty strajkowały, nadszedł po dwóch tygodniach. Byłem tam, żeby porozmawiać z tobą. Spóźniłem się o dwie godziny.

– Dwie godziny! Mój Boże! Ożeniłeś się?

– Nie! Skądże! A ty? Tak, prawda?

– Tak jakby, niezupełnie.

– To wszystko jedno. Do widzenia, Joanno.

– Nie, Modi! Nie chcesz mnie zobaczyć?

– To ty nie chciałaś...

– Kiedy? – zapytała niecierpliwie.

– Już, zaraz, w tej chwili!

– Nie mogę. Jest prawie jedenasta.

– No to co?

– Nie rozumiesz?

– Rozumiem. A kiedy możesz?

– Najchętniej do południa.

– „Kiedy kota nie ma w domu, myszy tańczą!” – zażartował bez entuzjazmu.

– Jutro o jedenastej w „Telimenie” – zdecydowała nagle i odłożyła słuchawkę.

Ledwie zdążył zająć miejsce w kawiarni, weszła Joanna.

Odruchowo spojrzął na zegarek. Była punktualnie jedenasta. Przywitali się prawie w milczeniu, wymienili tylko uśmiechy.

– Ślicznie wyglądasz, Joanno.

– Dziękuję – odpowiedziała grzecznie.

Wyglądała rzeczywiście ślicznie, ale sprawiała wrażenie raczej dziewczynki niż kobiety. Króciutka sukienka podkreślała jej wiotkość, a włosy zaplotła sobie w dwa gładkie warkoczyki. Była opalona.

– Opowiedz coś o sobie – zachęcała.

– To ty lepiej opowiedz.

– Modi, myślałam, że mamy sobie wiele do powiedzenia.

– Mnie też tak się zdawało. Ale widzisz, nawet to, że tu siedzisz, nie jest prawdą, bo myślami jesteś już pewnie w domu. Mogę ci powiedzieć, czym się martwisz: W jaki sposób pożegnać się, żeby zdążyć na czas.

– Gadasz bez sensu. W każdej chwili mogę stąd wyjść. Ale mam jeszcze mnóstwo czasu.

– A mój czas nie jest limitowany, widzisz?

– No i co z tego?

– Nie wiem.

Joanna przyglądała mu się uparcie, jak w ów pamiętny wielkanocny wieczór. Krępowało go to.

– Zmieniłem się? – zapytał.

– O, na pewno!

– A ty wcale, jesteś śliczna...

– Wróciłeś na dobre?

– Wyjeżdżam za trzy tygodnie do Syrii, na dwa lata.

– Tak... To chyba świetnie?

– Znakomicie – powiedział bez przekonania. – A ty zrobiłaś karierę?

– Ech, nie bądź złośliwy. Udało mi się dobrze zaśpiewać jedną piosenkę. Jeszcze nie stoję mocno na nogach. Jestem na etapie, kiedy nie powinnam grymasić. Nie ja proponuję, ale mnie proponują i powinnam te propozycje przyjmować.

– Musisz?

– Jeśli chcę dojść do tego, żebym sama mogła proponować, muszę.

Niby była tą samą Joanną, ale po przyjrzeniu się stwierdził, że pomimo krótkiej sukienki i warkoczyków wyglądała jednak poważniej. Kiedy przestawała się uśmiechać, na jej twarzy widać było niepokój.

– Mam po dziurki w nosie tego wszystkiego! – wybuchnęła nagle.

– Możesz przecież to rzucić.

– Oczywiście, lecz nie przywykłam posuwać się wstecz.

– Godne pochwały, ale może idziesz w złym kierunku?

– W twoim pojęciu na pewno. Nie robię nic pożytecznego. Nie to, co ty: wznosisz wspaniałe budowle, wizytówki naszej nauki i techniki. Wysoka specjalizacja! Czy sam trochę nie przeistaczasz się w supermechanizm?

– Robię to, na co mnie stać i do czego się przygotowałem.

– Właśnie, a ja nie. Ale z głodu robiłam i to, co powinnam: tłumaczyłam jakieś artykułiki do pism technicznych, medycznych i dla Międzynarodowego Związku Pszczelarzy. Siedziałam godzinami z nosem w słowniku i otrzymywałam za to zawrotne wynagrodzenie – sto pięćdziesiąt, a nawet trzysta złotych.

– Gdybyś pracowała jak inni, na etacie, uniknęłabyś tych kłopotów.

– Człowieku, co to znaczy: „Gdybyś pracowała”? Ja haruję!

– Może nie tam, gdzie powinnaś.

– Dobrze, że choć raz do roku mogę posłuchać dobrych rad. Jesteś wspaniałą, Modi.

– A ty złośliwa. Zresztą wcale mnie to nie dziwi, każda ładna dziewczyna jest jędzą.

– O, widzę, że nie zmarnowałeś tego roku!

– Sądzisz, że to błąd? Pewnie miałem być absolutnie wierny dziewczynie bez adresu, której zresztą ktoś tam daje wychodne do południa.

– Nic mi nie obiecywałeś. Nie miałeś powodu być wierny, to ja cię poderwałam.

– Nie używaj tego ordynarnego zwrotu!

– To prawda, Modi.

– A kogo teraz poderwałeś? Pomógł ci w karierze?

– Jeśli nie przestaniesz być bezczelny, wyjdę natychmiast.

Przez chwilę wydawało mu się, że to zrobi. Uniosła się lekko na krześle, oczekując, że będzie starał się ją zatrzymać. Nie uczynił żadnego gestu, przetrzymał ją. Usiadła i broda zaczęła jej drgać. Przestraszył się, że może się rozplakać, nienawidził łez. Wziął ją za rękę.

– Nie gniewaj się Joasiu, nie powinniśmy być wrogami. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś była szczęśliwa.

– Nie jestem szczęśliwa! Ledwie wyjadę, pojawiają się jakieś dziewczyny. A muszę wyjeżdżać, to mój zawód. Nie wyszłam dotychczas za mąż, bo on się nie śpieszy. Rozstania nie sprzyjają miłości.

– Wiem coś na ten temat.

– Nie masz o niczym zielonego pojęcia. Pozwalam się oszukiwać i terroryzować, bo nie potrafię być sama. Muszę mieć kogoś, przed kim mogę wypłakać te parszywe codzienne zmagania zawodowe.

– Myślałem, że jesteś mocniejsza. Że wiesz, czego chcesz. A teraz myślę, że robisz wyłącznie to, czego nienawidzisz.

– Nie masz racji. Już nie potrafię robić nic innego. Jak mówi mój tata: lekceważę to, czego nauczono mnie na uniwersytecie. Wierzę, że to, co robię, kiedyś naprawdę będzie przekonujące. Na razie idę sama pod prąd, a mój partner mi tylko przeszkadza. Gdybym była wolna, pewnie osiągnęłabym więcej. Ale ja nie potrafię być sama.

– Jesteś śliczna Joanno. Czy już ci to mówiłem?

– Trzy razy. Nie znasz innych konwencjonalnych zwrotów grzecznościowych?

– Może. Ale zapomniałem.

– Modi, chciałabym cię widywać, póki tu jesteś.

– W jakim celu? – zapytał oschle.

– Bez celu. Nie bój się! Ale nie wytrzymałabym nerwowo wiedząc, że jesteś gdzieś blisko i nie mogę być z tobą.

– Oryginalny sposób rozumowania. Wiesz, wyspecjalizowałem się w „chwilówkach”, ale z tobą to się nie uda. Tak można postępować z dziewczynami, za którymi się potem nie tęskni.

– A za mną tęskniłeś?

Postanowił nie odpowiadać i nie wracał do tematu ewentualnych spotkań. Joanna też nie ośmieliła się go więcej poruszyć. Odwiózł ją do domu. Po drodze paplała ze sztuczną wesołością. Na pożegnanie podała mu rękę, patrząc gdzieś w bok. Odchodząc nie odwróciła się. Wbiegła prędko po schodach i zginęła w czarnych czeluściach jakiejś ciemnej klatki schodowej.

Następnego ranka nie wytrzymał, zadzwonił:

– Masz dzisiaj wychodne? – zapytał.

– Mam sporo rzeczy do załatwienia, ale gdybyś zechciał mnie podwieźć w parę miejsc, zostałyby mi trochę czasu.

– Zechciałbym cię podwieźć w parę miejsc.

– Ale ja już za pół godziny muszę być w sali Teatru Rozrywki.

– Będę na rogu za kwadrans.

Nie był jeszcze do końca ubrany, bo wylegiwał się do jedenastej. Naciągnął pulower i wypił pośpiesznie szklankę zimnego mleka. Cieszył się, że za chwilę będzie z Joanną. Postanowił wybadać ją, czy nie byłaby skłonna rzucić wszystkiego i wyjechać z nim. To, że rozmawiali z sobą drugi raz w życiu, nie miało żadnego znaczenia. Tak wiele o niej myślał w ciągu tego roku, że wydawała mu się bardzo bliska. Kobiety, które spotykał po rozstaniu z Joanną, ten tajemniczy ktoś, od kogo ukradkiem wrywała się na spotkania z nim zdawali się nie istnieć. Nie zastanawiał się nad tym, że nigdy nie podejmował takich ryzykownych decyzji. Pamiętał tylko niezwykłą czułość, z jaką odnosiła się do niego Joanna w ten jedyny ich wieczór w Oslo i na to był gotowy postawić wszystko. Trochę spóźnił się i Joanna już spacerowała niecierpliwie na umówionym miejscu. Zatrzymał wóz, wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi.

Usiadła podciągając pod brodę swoje gołe kolana. Kiedy tak siedziała w krótkiej sukience, wyglądała, jakby zapomniała założyć spódnicę. Rozpuściła włosy, ale wpadający przez otwarte okno wiatr rozwiewał je, więc czym prędzej zakręciła szybę.

– Modi, na litość boską, patrz przed siebie, pozabijasz nas!

Zahamował z piskiem.

– Przepraszam. Zanadto mnie rozpraszasz. Nie mam kiedy się na ciebie napatrzeć, widzujemy się tak rzadko.

– Nie zawracaj głowy. Za chwilę będę spóźniona. Dodaj gazu.

Zdążyli jednak na czas. Joanna wyskoczyła, mówiąc, że wróci za dziesięć minut. Czekał godzinę i kwadrans. Martwił się, że może wyszła innymi drzwiami.

– Przepraszam cię, nie liczyłam już na to, że będziesz czekał. Nie mogłam dać ci znać, że to się przeciągnie. Musiałam jednak odbyć próbę. Zmienił się skład orkiestry, są jakieś zastępstwa. Do licha, nie zdążę teraz do telewizji!

– Nie przejmuj się, „dodam gazu” – powiedział rozgoryczony, bo czuł, że jej „limitowany czas” wyczerpie się, zanim zdąży pokierować rozmową tak, jak tego pragnął.

Następne pół godziny przesiedział w samochodzie zaparkowanym przed gmachem telewizji. Najpierw zabawiał się rozpoznawaniem różnych osobistości, które tam wchodziły i wychodziły, ale prędko go to znużyło i już tylko wypatrywał Joanny. Zjawiała się po to, by zabrać teczkę z nutami i oświadczyła, że musi tu zostać przez około dwie godziny, bo prawdopodobnie uda się jej teraz nagrać na play-back piosenkę do programu, którą miała nagrywać wieczorem. Jeśli chce, może pójść z nią i zaczekać w bufecie. Nie chciał. Dostyc miał czekania.

– Posłuchaj, mam pomysł! – rozjaśniła się nagle. – Jeżeli teraz nagram, będę miała wieczorem wolny czas. Przyjedź tu o dziesiątej, dobrze?

Nie czekała na odpowiedź i odeszła. Ogarnęła go złość. Chciał czegoś więcej niż „wolnego czasu na konto nagrania”. Postanowił, że nie przyjedzie i już więcej do niej nie zadzwoni. Zadzwonił za to do przyjaciela i umówił się, że pójdą razem na oblewanie nagrody do ich kolegi ze szkoły, który wygrał konkurs na projekt jakiegoś pomnika. Zbyszek obiecywał świetną zabawę, jednakże piętnaście minut przed dziesiątą Modest stał już na parkingu przed telewizją. Zaraz zobaczył, że podjeżdża tam syrenka, w której mignęła mu rozwiana głowa Joanny. Cofnął się w głąb samochodu i obserwował. Nie widział twarzy tego człowieka. Zatrzymali się tuż przed wejściem, rozmawiali chwilę, po czym Joanna podsunęła mu policzek do pocałowania. Wysiadła, odwróciła się, pomachała i zniknęła za oszklonymi drzwiami. Jej towarzysz uruchomił silnik i odjechał.

– Ty durniu, co ty masz tu do roboty! – skarcił siebie głośno i przekręcił kluczyk w stacyjce. W tym samym momencie Joanna wybiegła z wnętrza budynku, rozejrzała się i ruszyła w jego stronę. Na dezercję było za późno.

– Jesteś bez serca – przywitał ją.



– Och, daj mi spokój! Tylko bez morałów!

– Dokąd cię zawieźć?

– Najlepiej donikąd, na koniec świata.

– Propozycja wspaniała, tylko niemożliwa do realizacji. Nie starczy mi benzyny.

– To dokup.

– Pojedziesz ze mną na prywatkę?

– Na prywatkę? Myślałam, że jesteś dorosły.

– Ja nie jestem tego taki pewny, choćby przez wzgląd na to, że siedzisz tu obok mnie. Nazywamy tak spotkania uroczyste ze szkolnymi kumplami. Muszę się tam pokazać. Zobaczysz, że to bardzo mili ludzie. Kolega wygrał konkurs na projekt pomnika i robią oblewanie.

– A ja w jakim charakterze?

– Mogę cię przedstawić jako kuzynkę albo narzeczoną – powiedział z naciskiem.

– Lepiej to pierwsze.

– Jak chcesz.

– Wolalabym poczekać w samochodzie.

– Tego nie zaryzykuję, mogłabyś uciec.

– To mnie zamknij.

W końcu, kiedy dojechali na miejsce, wstała bez słowa i poszła z nim na górę. Gdyby nie popularność Joanny, mogliby wejść niezauważeni. Towarzystwo było już mocno rozweselone. Drzwi na klatkę schodową były niedomknięte, goście snuli się po zakamarkach niewielkiego mieszkanka. Na stołach i oknie stały na wpół ogołoczone półmiski z zimnymi zakąskami i ciastkami, a kilka osób siedziało w kucki na dywanie tworząc koło i podawało sobie kolejno olbrzymi szklany kielich, o pojemności około dwóch litrów, napełniony płynem o złocistym kolorze. Poinformowali Modesta i Joannę, że piją „koktail przyjaźni” i zaprosili ich do kręgu. Joanna rozejrzała się. Towarzystwo było raczej młode. Rzeczywiście sprawiało to wrażenie prywatki. Uświadomiła sobie nagle, że są to koledzy Modesta, a więc musi być w ich wieku. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, ile on może mieć lat. Miała wrażenie, że wszyscy tu obecni są od niej młodsi, ale może tak jej się tylko wydawało.

Wbrew pozorom ich wejście zmieniło charakter zabawy. Panienki usiłowały spoglądać przytomniej, obciągały starannie sukienki i trzymały się bliżej swoich partnerów. Panowie przyglądali się jej z sympatią, gotowi podawać papierosy, kieliszki... Modesta zaś otoczyły samotne dziewczęta. Witały się z nim wylewnie, musieli znać się od lat. Potem zniknął jej z pola widzenia. Czuli się nieszczęśliwi. Uśmiechała się do wszystkich grzecznie, ale myślała rozpaczliwie, jakby tu dać drapak. Wyzwolenie przyszło niespodziewanie. Modest podszedł, wziął ją pod ramię i szepnął:

– Spływamy.

Pokręcili się trochę i wykorzystali pierwszy moment zamieszania. Drzwi były otwarte. Kiedy byli w samochodzie, Modest pokazał jej z triumfującą miną jakieś wielkie, żelazne, zardzewiałe klucze.

– Co to jest? – zapytała.

– Klucze od „końca świata”.

– Co zamierzasz?

– Spełnić rozkazy jaśnie pani.

Zauważyła, że wyjechał na drogę wylotową z miasta.

– Dokąd mnie wiesz, ty wariacie, muszę zaraz wracać do domu!

– Wrócisz, kiedy zechcę albo wcale.

– Nie, wrócę, kiedy ja zechcę – odpowiedziała.

– Oczywiście, ale nie wierzę, że chcesz już wracać. Jeszcze nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego. Nie

załatwiłem moich spraw. Do południa zaangażowałaś mnie do załatwiania swoich, teraz należy mi się rewanż.

– A więc kolejna prywatka?

– Tak to można nazwać, chociaż w szczuplejszym gronie.

Joanna z rezygnacją rozsiadła się wygodniej. Nie rozmawiali. Spoglądał na nią co pewien czas. Widział, że się denerwuje. Położył rękę na jej dłoni i nie wypuszczał jej, chociaż droga była kręta i niewygodnie było mu prowadzić jedną ręką. Dopiero kiedy skręcił w polną drogę, wziął kierownicę w obie dłonie. Maleńki austinek podskakiwał na wybojach zarośniętej dróżki biegnącej między długimi zagonami kapusty. Od czasu do czasu wyskakiwał z niej spłoszony zając. Jeden bardzo mały stanął słupka, a potem zaczął biec przed samochodem. Stawali kilka razy i gasili światła, żeby mógł zejść z drogi, ale kiedy je zapalili, zajączek zrywał się na nowo i pędził w smudze reflektorów przed nimi. Dopiero gdy dotarli do zarośli, szaraczek, pewnie krańcowo wyczerpany, czmychnął w bok. Modest skręcił na jakieś zakurzone podwórko i w światłach samochodu rozjaśniły się ściany pobielonej wiejskiej chatki, obsadzonej wokół malwami.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział i zbliżył się ze swoimi dziwnymi kluczami do ganku chaty.

– Co to wszystko znaczy? Ja muszę do domu! – odzyskała mowę Joanna.

– Jak chcesz, możemy wsiadać i wracać, ale chciałbym z tobą spokojnie porozmawiać.

– Sądzisz, że to będzie spokojna rozmowa? Straciłeś całą godzinę na tę swoją prywatkę, a drugie tyle na dojazd w to pustkowie.

– Nie kłóć się ze mną, Joanno, teraz ja mam uczucie, że mógłbym coś przegapić, wejdz – przepuścił ją przed sobą.

– Może przynajmniej powiesz, gdzie jesteście?

– Nad Zalewem, w letniej chacie moich starych.

– Zawsze tu przywozisz dziewczyny?

– Owszem, ale pierwszy raz taką, która przed spotkaniem ze mną czule całuje swojego narzeczonego.

– Nie masz prawa wygłaszać morałów!

– Ani ty nie masz prawa pytać, co robię zawsze!

– Masz rację.

– Pewnie. Zrobić ci jajecznicę?

– Wolalabym szklankę herbaty.

– Wobec tego jedno i drugie, ale najpierw musimy poszukać świeczek.

Zaczęli oswajać się z panującymi w chacie ciemnościami, rozróżniali już niektóre większe przedmioty. Modest odsunął zasłony i przez małe okienko zajrzało wygwieżdżone niebo. Potem ukrył się za jakąś firanką, zaczął szperać w szufladzie i za chwilę rozbłysło światło świecy. Jajecznicza wkrótce stała na stole, a woda na herbatę bulgotała wesoło w czajniku.

– A niech się dzieje, co chce! – powiedziała nagle Joanna. – Jakoś się z tego wy tłumaczę.

– Czy ty w ogóle nie zamierzasz przestać myśleć o tym, co będzie, jak wrócisz?

– Nie mam zwyczaju robić takich numerów...

– Joanno, zostań ze mną.

– Przecież jestem.

– Na zawsze. Pobierzemy się i zabiorę cię z sobą.

– Zwariowałaś?

– Tak sądzisz?

Zamilkła, a po chwili powiedziała cicho:

– To cudownie słyszeć takie rzeczy, ale ja nie mogę tak nagle, to wymaga czasu, przemyślenia, mam

tyle rozpoczętych spraw...

– To są wykręty. Wszystkie te sprawy, jeśli powiesz „tak”, nie będą już miały znaczenia.

– Mam zostawić wszystko? Kogoś, z kim jestem tyle czasu, tę całą moją mozolnie budowaną – jak to nazywasz – „karierę” i kraj? Nie potrafię tego. Znienawidziłabym cię, gdybym musiała być daleko od bliskich, Warszawy, pracy...

– Nie chcesz? A więc kłamałaś wtedy w Bergen. Kłamiesz zawsze, Joanno, i jemu, i mnie, i sobie.

– Modi, nie! Ty tego nie rozumiesz.

– Rozumiem doskonale.

– Nawet nie powiedziałaś, czy mnie lubisz.

– Wariatka! Chcę ją wziąć za żonę, a ona żąda, żeby jej mówić, że ją lubię!

– Nie wyszłabym za ciebie nigdy. Jesteś za młody, za piękny...

– Och, przestań się wygłupiać, kto mówi mężczyznom takie rzeczy!

– Za dużo znałaś kobiet...

– No, no... dosyć! Ty za to masz zwyczaj znać najwyżej dwu naraz, ale za to gruntownie!

– Tak wygląda wdzięczność! Modi... dlaczego mnie nie pocałujesz?

– Słuchaj, ty jesteś nienormalna, obrzucasz mnie jadem, oblewasz zimną wodą, a ja mam cię całować?!

– Zazwyczaj to robią mężczyźni, kiedy się oświadczają...

– Ale nie wtedy, kiedy oświadczyły nie są przyjęte. Na przygodę z tobą nie mam ochoty, tym bardziej że potem musiałbym cię szybko odwieźć do innego łóżka.

– Ale ja chcę! – podeszła do niego i przytuliła się. – Chyba cię kocham, a ty? Dlaczego milczysz?

– Nie przyszła moja kolej na takie deklaracje – powiedział, ale objął ją mocno i zaczął całować.

– To byłoby zbyt piękne – marzyła na głos. – Wiesz... byłabym zazdrosna, wydrapałabym ci oczy, gdybyś mnie zdradził, a tak możesz to robić bezkarnie.

– Jak dotąd z tego prawa łaski tylko ty sama korzystasz.

– Daj spokój... gdybyś został tutaj, nie byłoby problemów.

– W życiu zawsze trzeba wybierać, Joasiu. Ja nie mogę zostać tutaj – mam zobowiązania. Poważne zobowiązania.

– A moje? Moje są niepoważne?

– Wydawało mi się, że męczy cię to wszystko.

– Wiele mnie to kosztuje, ale nie chciałabym znowu zaczynać od zera. Wydaje mi się, że już do czegoś dochodzę...

– Jesteś mniej szalona i odważna, niż myślałem.

– A więc niezbyt dla ciebie odpowiednia. Ty jesteś za to absolutnie trzeźwy i odważny... i piekielnie pewny siebie!

– Nie będę cię już o nic prosił, Joanno.

– Tak mi przykro, Modi. Nie chcę cię stracić, nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy się nie znać. Szkoda, że podchodzisz do tego tak egoistycznie.

– Proszę cię, nie mówmy już na ten temat!

– Czy chciałbyś, żebym została tu z tobą do rana?

– Odrobinka za wszystko? Rozczulasz mnie, Joanno!

– To bardzo wiele. Nie wiesz, jak bardzo...

Wracali do Warszawy o wschodzie słońca. Milczeli znowu, jak wtedy gdy jechali w przeciwną stronę. Joanna nie myślała o tym, co ją czeka po przestąpieniu progu mieszkania. Siedziała z wypiekami na twarzy i raz po raz podnosiła na niego błyszczące od łez oczy. Postanowiła po cichu wejść do domu

i udawać, że wróciła znacznie wcześniej. Wbrew sobie dał się wciągnąć w to brudne spiskowanie. Czekał, zanim nie dała mu w oknie znaku, że wszystko jest w porządku.

Po trzech dniach zadzwoniła do niego z Torunia. Wyjechała na koncerty, prosiła, żeby ją tam odwiedził. Był na miejscu wcześniej, niż się tego spodziewała. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedł obejrzeć ten jej koncert. Już z afisza zorientował się, że cała reszta to tylko dodatek do Joanny. Jej nazwisko wydrukowane było wielkim tłustym drukiem, a inne figurowały w dwóch drobniutkich rzędkach pod spodem. Zanim się pojawiła, musiał obejrzeć jakiegoś młodego Niemca, który zonglował, fikał koziołki i robiąc chiński szpagat na dwóch postawionych do góry nogami krzesłach grał na flecie własną kompozycję do złudzenia przypominającą znany utwór Duke'a Ellingtona. Jego smukła partnerka-żona podając mu kolejne rekwizyty prezentowała z wdziękiem jaskrawe toalety i garniturek nierównych ząbków. Potem wyszedł zniewieściany chłopak w różowym garniturze ze srebrnymi lamówkami i wdzierząc się jak podłotek odśpiewał dwa znane szlagiery z repertuaru Charlesa Aznavoura, które w jego wykonaniu brzmiały jak parodia. Bułgarski duet taneczny rozstroił Modesta na dobre. Krępy chłopak o kręconych włosach miotał z pasją po scenie szczupłą dziewczyną o sarnich oczach, a ona z kocią zręcznością lądowała w mostkach, szpagatach, jaskółkach czy jak tam to się nazywa i pewnie cudem do końca tego sadystycznego numeru nie nabawiła się kontuzji. Konferansjer był łysy, pulchny i dawał z siebie wszystko: zapowiadał, recytował własne fraszki, udawał ćwierkanie wróbli i stukot rozpędzonego pociągu. Kiedy już wyczerpał asortyment swoich grepsów, zapowiedział Joannę. Swoimi małpimi popisami, nieświadom tego, co czyni, przygotował jej świetne entrée. Weszła na cichej muzyce, w czarnej prostej sukience, smukła, o wiele wyższa niż w rzeczywistości. Zachowywała się powściągliwie i z godnością.

Dopiero teraz, słuchając jej w tym anturazu, zrozumiał, jak głupi był proponując, żeby rzuciła to wszystko. Joanna wzruszała i napawała smutkiem, robiła z widownią, co chciała. Nie nadużywała głosu, a jednak słuchano jej nawet wtedy, gdy śpiewała szeptem. Ta dziewczyna miała bezcenny dar sugestii. Kiedy skończyła, najpierw salę ogarnęła cisza, potem zabrzmiały oklaski. Wychodziła parę razy przed kurtynę, kłaniała się nieśmiało i pośpiesznie, jakby przepraszająco.

W czasie przerwy Modest wyrwał się i zdołał „zorganizować” wspaniały kosz czerwonych róż. Na czystej stronie swojej wizytówki napisał: „Wybacz, byłem głupi, nie wolno ci tego zostawić. P.S. Wiesz, strasznie cię lubię”.

Drugą część koncertu spędził w bufecie i wszedł dopiero na występ Joanny. Kiedy postawiono jego kosz, prawie nie zwróciła nań uwagi. Bał się, że w ogóle go nie weźmie. Ale wychodząc z garderoby taszczyła go, przeginając się do tyłu. Podbiegł, żeby jej pomóc.

Następnego dnia rano musiał wracać do Warszawy, bo już załatwiał formalności wyjazdowe. Przegadali całą noc. Balansowali między nastrojami skrajnej rozpaczki i cichego szczęścia. Nie doszli do pełnego porozumienia. Joanna nie chciała nagle i definitywnie rozstać się ze swoim, jak go nazywała, „narzeczonym”. Miała całą masę skrupułów, Modest nie był w stanie ich zrozumieć.

Była uszczęśliwiona, że pochwalił jej występ. Sama miała do siebie sporo zastrzeżeń.

– Wiesz, co mnie najbardziej martwi – mówiła – to, że czuję się trochę poza nawiasem głównego nurtu.

– Ty? Poza nawiasem? Ależ jesteś, w jakimś sensie, ośrodkiem!

– To nieprawda, Modi. Nie jestem zaangażowana na serio w nic poza zmaganiem się z przeszkodami w mojej pracy. Nie dlatego, że nie chcę, ale z powodu tego, że nie znajduję już czasu ani sił na nic więcej. I oczywiście chyba nigdy nie potrafię ułożyć sobie życia osobistego.

– To już wyłącznie twoja wina, moja droga. Sama sobie wszystko niepotrzebnie gmatwasz – powiedział trochę urażony tym, że w swoim wyznaniu nie nawiązała żadnym słowem do ich spraw.

– Poza tym ciągle się boję. Boję się, że kiedyś sparzę się na moim zaufaniu do ludzi. Wciąż daję się nabierać. Muszę być wszędzie obecna, bo każda moja nieobecność z reguły stwarza mi tysiące przykrych niespodzianek. Przysparzam sobie, choć nie wiem, w jaki sposób, wrogów i są to często ludzie, których prawie nie znam. Czasami wydaje mi się, że nie podołam temu wszystkiemu. A boję się jak ognia, żeby nie znaleźć się w takiej sytuacji, jak po powrocie z Norwegii, kiedy musiałam płaszczyć się przed urzędnikami, żeby wyżebrać sobie udział w paru marnych imprezach. I wtedy podał mi rękę Krzysztof. – Zauważył, że pierwszy raz przy nim nazwała tamtego po imieniu, co było dotychczas tabu. – Ale zostałam z nim z innego powodu, raczej po to, żeby sobie coś udowodnić. Zresztą nie umiem tego pojąć, ale autentycznie cierpię, kiedy dostarcza mi powodów do zmartwień.

– Masz po prostu silnie rozwinięte poczucie własności, ale nie dostrzegasz odwrotnej strony medalu, że on też może pewnych rzeczy nie pochwałać.

– Mówisz do mnie tak, jakby to nie miało żadnego związku z tobą.

– Mówię tak, bo ja bym czegoś podobnego nie zniósł.

– A jednak zgodziłeś się tu przyjechać.

– Bo mam wrażenie, że nie jestem w tej grze pokonany.

– Jeśli kiedyś zgodzisz się wziąć mnie ze wszystkimi moimi przywarami i kłopotami, zostawię dla ciebie nawet szacha perskiego, ale tylko wtedy, gdy wreszcie gdzieś naprawdę zamieszkasz.

– Możesz mi składać takie obietnice, bo wiesz, że to daleka sprawa i zawsze zdążysz zrobić unik.

– Nie krzywdź mnie, Modi, osiągnąłeś więcej niż ktokolwiek inny...

Snując takie rozmowy, niespodziewanie znaleźli się na miejscu czyli pod domem, w którym mieszkała z Krzysztofem. Chciała go ucałować na pożegnanie, ale odwrócił głowę, a gdy wysiadła ruszył z piskiem opon.

Kiedy po roku przyjechał na urlop, Joanna twierdziła, że wynajmuje pokój u znanego reżysera filmowego i że jest on jej jedynym prawdziwym i bezinteresownym przyjacielem. Głosiła peany na jego cześć, ale jakoś nie mógł uwierzyć w te romantyczne bajeczki o wielkiej bezinteresowności tego człowieka, bo przecież nie zgodziła się, żeby odwiedził ją w jej domu. Powiedziała, że nikogo ze swych przyjaciół tam nie przyjmuje, bo nie chce krępować Jerzego. Na wspólny parodniowy wyjazd nad morze przystała z entuzjazmem. Ta krótkotrwała sielanka jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi i zaczął nieśmiało ponawiać namowy na wspólny wyjazd do Syrii. Joanna w odpowiedzi mazała się przez trzy dni i rozjechali się w nie najlepszej atmosferze. Przez następny rok wymieniali listy. Joanna albo wcale nie pisała, albo wypisywała takie rzeczy, że Modest dosłownie gryzł ściany. Następny jego dwumiesięczny pobyt w kraju był wielkim rozczarowaniem. Joanna wojażowała gdzieś po Europie, była na występach, ale zabrała z sobą siostrę Ewę, która właśnie zdała maturę. Modest do ostatniej chwili ludził się, że wróci przed jego odjazdem, ale okazało się to mrzonką.

Przez ostatni rok Joanna i Modest mijali się z sobą, pisując do siebie długie listy. Ona jeździła po Europie, a on budował w Jugosławii.

Lato przyniosło mu zmiany. Został powołany na stanowisko eksperta w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Oznaczało to stały pobyt w kraju. Kiedy uporządkował trochę swoje sprawy, zadzwonił do Joanny. Przyjechała do niego do domu, promienna i śliczna jak dawniej. Zachowywała się tak, jakby rozstali się wczoraj. Zaszyli się w pokoiku po jego babci i w ciągu nocy chaotycznie opowiedziała mu o sobie wszystko, co uważała za godne uwagi. On celowo nie mówił o zmianie, jaka miała nastąpić. Rano wybierała się na swój dawno wymarzony urlop do Kurhanowa. Postanowił, że pojedzie razem z nią. Pojechali jednak najpierw odwiedzić przyjaciół Joanny, którzy byli w Mikołajkach. I dopiero

kiedy dotarli do Kurhanowa i byli sami, przyznał się wreszcie, że już na stałe zostaje w kraju. Nie miał jednak odwagi ponowić dawnych propozycji. Bał się, że kiedy wytraci jej kontrargumenty, ona przygotuje mu nowe. Zresztą nie ufał rozstaniom. Na to, że kiedyś gdy wracał, chętnie z nim przebywała, starał się patrzeć przez palce. Jednak mylił się.

– To cudownie, Modi! Potworze! Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz?

– Miałem powody... Zresztą wkrótce się ściemni, więc najpierw trzeba było rozbić namiot... – powiedział z uśmiechem.

– Klękaj tu natychmiast i proś mnie o rękę! – rozkazała. – Albo nie! Poczekaj! Najpierw uzbieraj bukiet leśnych dzwonek. Pomogę ci, żeby było prędzej – rzuciła i popędziła w stronę lasu.

Modest stał jak zaklęty. Obejrzała się i przybiegła z powrotem. Zajrzała mu w twarz.

– Nie chcesz? – zapytała i posmutniała.

– Już się zaczynasz wykręcać – powiedział, całując ją. – Wiedziałem, że tak będzie!

– Tylko nie zwalaj winy na mnie. Nie powiedziałeś mi przecież, czy mnie kochasz, a od tego powinienes zacząć.

– Uwielbiam cię.

– I będziesz mi wierny aż do śmierci?

– Tylko tego pragnę!

– Muszę to przetrwać w samotności, idę popływać. A ty rób kolację, wkraczasz w nowe obowiązki.

Wspięła się na palcach, ujęła jego twarz w dłonie, zamknęła oczy i pocałowała go w dołek na brodzie, jak to lubiła czynić. Potem złapała ręcznik i poszła w stronę jeziora. Był trochę urażony, że zostawia go w takiej chwili samego. Teraz wyrzuca sobie, że nie przeczuł tego, co potem nastąpiło. Że zajął się przygotowaniem kolacji zamiast pójść do wody razem z nią. Joanna swoim zwyczajem wypłynęła daleko. Kiedy zaniepokojony wyszedł na pomost, nie mógł jej dojrzeć. Zaczął wołać. Nie odpowiadała. Słońce już zaszło, ale było jeszcze zupełnie widno. Pomyślał, że chce mu zrobić kawał i wróci od strony lasu. Pobiegł więc do namiotu, ale czekał na próżno. Tymczasem ściemniło się zupełnie, a jego niepokój doszedł do zenitu. Zaczął wypytywać ludzi, lecz nikt nie widział nic poza tym, że skoczyła z pomostu i popłynęła daleko. Jezioro było puste i połyskiwało w świetle księżyca metalicznym blaskiem.

Nawoływania, krzyżujące się po jeziorze reflektory ratowniczych motorówek milicyjnych pamięta jak przez mgłę. I tę okropną chwilę, kiedy wyłowiono ciało kobiety, jego Joanny, której przed paroma godzinami, jak na ironię, obiecał wierność aż do śmierci...

Ten namiot na pewno stał w tym miejscu. Usiadł pośrodku magicznego kwadratu. – Chyba Ewa ma rację, powinienem wracać do żywych – pomyślał. Był już tak zahartowany w rozstaniach z Joanną, że wciąż nie mógł uwierzyć, że odeszła na zawsze.

\* \*  
\*

Po spotkaniu z Modestem zamknęłam się w moim pokoiku na piętrze „Imperialu” – Rybaczówki – i otworzyłam kolorową kwiecistą teczkę do nut, zawiązywaną z boku na kokardki, jedną z tych, które Aśka miała zwyczaj nosić stale przy sobie. Dowiedziawszy się, iż ma to być pamiętnik, spodziewałam się, że znajdę w tej teczce jakiś wielki brulion, ale wyleciały z niej i rozsypały się po całej podłodze luźne kartki papieru maszynowego, zapisane ciałniutko znajomym pismem. Zbierając je zauważyłam, że są ponumerowane. Całe szczęście! Niecierpliwie starałam się ułożyć je według kolejności, a potem zaczęłam czytać:

# JOANNA 1967

Kiedyś, gdy robiłam porządki w mojej szafce w akademiku i darłam swoje dawne bazgroły, wydawało mi się, że już na dobre z tym kończę. Niestety, nie potrafię. Ciągłe pisać pamiętnik jak pensjonarka. Ile to już lat?

Dyplom magistra filologii leży w szufladzie, a ja z niego nie korzystam. Czuję się trochę jak dezenter. Nie dlatego, żebym weszła na łatwiejszą drogę, ale jak mi się wydaje, wsiąklam w to po uszy! Czy taka praca, jaką zaczęłam, a właściwie jaką uprawiam nieprzerwanie od drugiego roku studiów, może być pracą sama w sobie, jeszcze nie wiem. Kiedy miałam na karku egzaminy, kolokwia, śpiewanie było dla mnie zabawą, odprężeniem, teraz uprawiam to zawodowo... Kto by pomyślał, że na pewnym etapie mego życia trafię do „Międzynarodowej rewii na lodzie”. Więc nie na próżno prowadziła mnie mama na treningi jazdy figurowej na łyżwach. Płacą mi za to, bo oprócz śpiewania potrafię jeździć figurowo na łyżwach. Wystarczająco dobrze, by po ostrych treningach zostać śpiewającą solistką w międzynarodowej rewii na lodzie. Trenuję, pot zalewa oczy i...

Na litość boską, co się ze mną porobiło! Kiedyś byłam zdolna, wydawało mi się, że umiem śpiewać, że scena to mój żywioł. Teraz jestem tępa i zastraszona, wydaje mi się, że nic nie umiem. Im bardziej się staram, im więcej nad tym rozmyślam, tym czarniej to widzę... Kiedyś miałam przyjaciółki, kolegów – teraz wydaje mi się, że jestem sama. Nie! Jestem wciąż otoczona ludźmi, ale nie potrafię w porę odgadnąć, kto jest mi przyjazny, a kto wrogi... Gdzie się podziały cudowne szkolne i studenckie lata, wielka bezinteresowna przyjaźń, życzliwość? Czuję się nagle znowu całkiem mała i bezbronna. Muszę stawać w szeregu, ubierać się, jak kaza, uśmiechać, kiedy trzeba i nigdy nie wypowiadać głośno swego zdania. Jeśli powiem coś mądrego, budzi to złość i podejrzenie o zarozumiałstwo, kiedy odzywam się stereotypowo, też nie jest to dobrze widziane. I przy tym wszystkim muszę być stale obecna, stale w formie, stale na posterunku, bo inaczej ktoś zajmie moje miejsce.

Nauczyłam się pięknie uśmiechać, nie mrużę już oczu, choćby świeciło mi w nie tysiące jupiterów, tańczę na lodzie i jeszcze śpiewam... Zwiedziłam piętnaście atrakcyjnych krajów. Kiedy przyjeżdżam do miasteczka mojej matki, dzieci, dorośli pokazują mi sobie palcami, ponieważ w ich pojęciu jestem szczęśliwą wybranką losu. Czasem oglądają moje zdjęcia w gazetach, na których stoję w szeregu takich jak ja wystrojonych dziewcząt.

Czuję się jak w wojsku. Jeszcze trochę i nie będzie mnie stać na nic własnego, na żadną oryginalną myśl. Wydaje mi się, że nawet wszelkie ruchy potrafię wykonywać już tylko według instrukcji.

*Luty 1967*

Miałam prowadzić dziennik podróży, nie dałam rady. Hurra! Jestem znowu wśród swoich! Wróciłam, wróciłam po półtorarocznych występach i nie wyjadę więcej! Spróbuję stanąć na nogi o własnych siłach, może jeszcze nie jest za późno.

Poznałam Krzysztofa! Nie wiem jeszcze, czy powinnam stawiać w tym miejscu wykrzyknik – to się okaże. Powiedział mi na wstępie: „O jedno, moja mała, możesz być spokojna – o to, że się w tobie nie zakocham”. A jednak się zakochał, i to jak! Kwiaty po każdym koncercie, telegramy w każdym hotelu. „Stary” mnie wezwał (już poczta pantoflowa zadziałała) i pytał, co to za historia, czy czasem nie

zamierzam wyjść za mąż. Tego się u nas przestrzega, tylko panienki mają prawo obywatelstwa w takiej rewii jak nasza. „Kiedy zaczną się przepierki, zmywanie garów – sztuka pójdzie na bok”. Tak nas uczy Stary. Uspokoiliam go. Zwyczajnie skłamałam. Krzysztof to anonimowy cichy wielbiciel, śmieszy mnie to wszystko i już. Uwierzył mi, budzę zaufanie...

Z Krzysztofem niby wszystko układa się jak najlepiej, ale mam niejasne przeczucie, że zaczynam go tracić. Jak ja sobie teraz poradzę? Chyba wpadłam w kompleksy.

*15 maja 1967*

Czy to mój wielki dzień? – nie wiem. Pasowali mnie na „gwiazdę”, jak żartuje Krzysztof. No, żarty żartami, ale parę lat mozolnej pracy i doksztalcenia się zostało zalegalizowane dyplomem. Już nikt nie ma prawa mieć wątpliwości, czy wolno mnie angażować. I co ja teraz pocznę? Pierwsze poważne propozycje odrzuciłam. Nie mogę wyjechać do Bułgarii na tournée ze „Zgaduj zgadula” po tym, jak Krzyś powiedział: „Jak sobie chcesz, możesz jechać, bylebyś potem tego nie żałowała”. Jest w końcu moim oficjalnym narzeczonym.

*Lipiec 1967*

Odrzuciłam lekkomyślnie wszystkie dobre propozycje, które otrzymałam po zdaniu egzaminów. Obawiam się, że przegapiłam swoje pięć minut... A z Krzysztofem i tak nie mam czasu się widywać. Nie mając innego wyjścia, podpisałam prawie roczny kontrakt z estradowym teatrem objazdowym. Wyjeżdżam, kiedy Krzysztof jest jeszcze w pracy, a wracam późną nocą. Nie mogę tego przerwać, muszę mieć pieniądze na lekcje śpiewu, opłacenie mieszkania i życie. Nie pojedę w tym roku do Kurhanowa – nie mogę tego przeboleć. Śpiewam najmodniejsze piosenki, które wcale do mnie nie pasują i oddalamy się od siebie z Krzysztofem. Już nie namawia mnie, żebym to wszystko rzuciła. Złościło mnie, kiedy tak mówił, a jednak szkoda...

Nasz impresario powiedział mi, że moje szanse idą w górę. Podobno spodobałam się na pokazie dla impresariów zagranicznych... Moje przymierze z nim jednak już się skończyło. Zbuntowałam się. Nie będę śpiewać szlagierów, nie chcę powielać i wdzięczyć się. Chcę być sobą!

Praca, praca, praca... I niekończące się rozmowy o pracy trwającej do późnej nocy, i kłody pod nogi – same kłopoty. Nie łudzę się, że jeszcze naprawdę coś znaczę dla Krzysztofa. Jestem „dobrym materiałem na żonę” – jak mi powiedział – a on ma swoje zasady i jest im wierny bez względu na to, czy są mu wygodne, czy nie. Poza tym (och! – uderzam się w piersi, bo może jestem perfidna) znam tyle atrakcyjnych osób, a to go bawi.

I proszę – znowu wyłazi ze mnie gęś! Nic, tylko Krzysztof i te moje zawodowe intrygi. Oto wokół czego kręci się mój świat. To, czego się boję najbardziej, to chyba moment, kiedy zupełnie wyparuje ze mnie mój optymizm, bo to on zawsze uskrzydlał mnie do wszystkiego, co mi się udawało. Kiedy już absolutnie przestanę wierzyć w skuteczność moich poczynań, nastąpi kłapa...

Skąd w ogóle przychodzą mi do głowy takie myśli? Chyba stąd, że nie mogę jakoś teraz pewnie podejść do problemu, jakim stało się dla mnie poczucie własnej wartości.

Wydaje mi się, że od czasów burzliwego, w sensie kulturalnym, życia studenckiego nastąpił u mnie



absolutny regres umysłowy. Wtedy się do czegoś dążyło, czymś zachwycano, na coś oburzało z prawdziwą pasją, miało się głowę pełną wielkich nadziei... Otóż to! W porównaniu z nimi to, do czego zdołałam dodreptać, wydaje mi się kompletnym fiaskiem.

Czy życie, które sobie wybrałam, wyrzuca mnie poza nawias, czy to, że lękam się przekroczenia progu, za którym toczy się główny nurt? Gdzie są ci ludzie, wśród których toczy się główny nurt? Gdzie są ludzie, wśród których panował wspaniały zwyczaj konwersacji? Moje obecne koleżanki (i ja razem z nimi) prawie nigdy nie mówią o czymś, ale przeważnie o kimś lub o tym, co robią, a ściślej – o tym, co chciałyby, żeby inni myśleli, że robią. Czy inaczej rozmawiają z sobą mężczyźni? Ależ skąd! Trochę polityki, ot tak, gwoli ponarzekań, trochę podniecania się (też dość akademickiego, bo nie wszystkich to osobiście dotyczy), sprawami samochodowymi i z wielką ulgą wracają do plotek. Sama nie wiem, czy to wina środowiska, czy tak już teraz jest. Może obracam się wśród półludzi? Tylko cała bieda w tym, że sama jestem kubek w kubek do nich podobna.

Tak, tak, tak, Joanno, musisz to sobie otwarcie wygarnąć: jesteś po prostu diabelnie słaba... Idiotyczne inwektywy przyprowadzają cię o histerię, byle pochlebstwo uskrzydla.

*25 lipca 1967*

Imieniny Krzysztofa. Czyniłam honory domu. Kiedy wszyscy się porozchodzili, powiedział mi, że dobrze by było, żebym zamieszkała u niego, bo „oszczędziłoby mu to kłopotów związanych z bieganiem na randki”! Czy można w bardziej lapidarny sposób uczynić dziewczynie podobną propozycję?

Ryczałam, a on sobie rozkosznie spał. Może powiedział to zwyczajnie, w całkiem dobrej wierze? Może. Tylko że ja nienawidzę okradania życia z wszelkiego romantyzmu. Rano obudził się, jakby wcale nie słyszał całego mojego przepojonego żarliwą pasją przemówienia. Jakby cała ta sprawa w ogóle nie istniała. Nie do wiary! – spłynęło to po nim jak woda po kacze!

– Po południu zabiorę twoje najniezbędniejsze rzeczy, a ty zastanów się, kiedy znajdziesz czas na sprowadzenie reszty – oświadczył rzeczowo, jakby została już podjęta ostateczna decyzja.

Podobnie reaguje na moje wybuchy zazdrości. Po prostu najzwyczajniej je ignoruje i robi konsekwentnie to, co jemu odpowiada. A przecież, u diabła, nie chodzi mi już chyba o nic innego, jak tylko o pogwałcenie mojej ambicji, ale on sądzi, że to właśnie jest obrzydliwe.

Ładne rzeczy – zaczynam z nim wspólne życie, a pielęgnuję w sobie tylko rejestr wyrządzonych mi przez niego krzywd! Do czego mnie to zaprowadzi?

Chcą mnie zaangażować do międzynarodowej rewii na okres całego roku. Wyglądałoby to tak: przez dwadzieścia pięć dni w miesiącu siedziałabym w Sofii, Berlinie czy Belgradzie i na trzy-cztery dni wpadła jak po ogień do Warszawy. Nie podpisałam jeszcze umowy. Jestem w rozterce.

*6 stycznia 1968*

Nowy Rok, Sylwester umknęły w przeszłość. Nie bawiłam się, pracowałam. Przyszła Aldona z nową propozycją. Mają kontrakt na wyjazd do Skandynawii. Szukają dziewczyny do... tercetu. Namawiała mnie, żebym pojechała z nimi, bardziej ze względów towarzyskich. Boi się rozstania z mężem

i dzieckiem. Sądzi, że w przyjaznym gronie łatwiej to zniesie.

Krzysztof protestuje, nie przeciw wyjazdowi, ale wchodzeniu w tercety – uważa to za degradację.

*Luty 1968*

Który to dzisiaj? Dwudziesty drugi?... Jeszcze cztery dni do wyjazdu. Ku zdumieniu wszystkich wybrałam Skandynawię – też ze względów towarzyskich! Kiedy będzie mi ciężko z dala od bliskich i kraju, nie chcę znaleźć się w sytuacji, gdy nie będę miała do kogo otworzyć ust.

– Takich głupstw się nie robi, pani Joanno – zganiał mnie kierownik agencji – w ten sposób do niczego pani nie dojdzie.

Łatwo mu mówić. Byłoby to rzeczywiście proste, gdyby życie składało się wyłącznie ze spraw związanych z karierą, a ja oprócz tego jestem kobietą, córką, chcę mieć jakieś miejsce nie tylko w sztuce, ale i w życiu.

Krzysztof, oczywiście, nie pochwała wyboru, ale mówi, iż „cieszy się, że trochę zobaczę i... zarobię”.

*6 marca 1968, Oslo*

Poczta jest instytucją irytującą! Listy z kraju przychodzą... nie, one się tu dowlekają w żółwym tempie.

Nie miałam pojęcia, że występy tutaj będą takim koszmarem. Wczoraj barykadowaliśmy drzwi i wzywaaliśmy na pomoc portiera. Pijany osobnik, zajmujący sąsiedni pokój, który kiedyś razem z naszym stanowił prawdopodobnie apartament, chciał się do nas włamać w celach bynajmniej nie rabunkowych.

Właściciel hotelu zaprosił nas na kolację, której jedynym celem było – jak domniemywam – czynienie nam niedwuznacznych propozycji, przy czym nie chodziło konkretnie o żadną z nas, ale ogólnie o wszystkie, bo a nuż coś z tego wyjdzie. Ci na sali cmokają, kiedy tańczymy, zagłuszają nasze śpiewanie, pewnie opowiadaniem sobie o nas pikantnych dowcipów, bo wybuchają raz po raz obleśnym śmiechem. Strona artystyczna naszych produkcji wydaje się tu nikogo nie zaprzętać, może tylko naszego tłustego impresaria, który poci się myśląc, ile by jeszcze z nas wycisnąć. W każdym bądź razie „publiczność o wysokim wyrobieniu artystycznym” pasjonuje się raczej tym, co wyłania się spod i tak już skąpych naszych kostiumów. Krótko mówiąc, mam tego dosyć, dosyć i jeszcze raz dosyć!

*18 marca 1968*

Byłyśmy z wizytą na polskim statku handlowym. Dziwni ludzie ci marynarze! Sentymentalni jak pensjonarki. Narzekają kwiecicie na swoją samotność na morzu, ale kiedy stoją parę dni w porcie, wymarzony ład pali im się pod stopami. Na Boga, dałabym sobie uciąć głowę, że im do tej samotności cholernie pilno. Pielęgnowują w sobie jakieś mity o tym, co wygląda zapewne i prościej, i zwyczajniej. Sądzę, iż wynika to stąd, że w godzinach osamotnienia za wiele rozmyślają... A co mają robić? Lubią się zwierzać, budzić współczucie, a w gruncie rzeczy są o wiele mocniejsi, niż pragną się nam, szczerom ładowym, wydawać.

Obserwując ich dochodzę do wniosku, że oni lubią swoją samotność i mają zwyczaj się nie skarżyć. Zupełnie odwrotnie niż ja. Bo ja naprawdę boję się samotności i, o ironio, także gdy przebywam wśród ludzi, tak często trudno mi przed nią uciec. Nawet przy Krzysztofie, może przy nim szczególnie...

Nie umiałabym jednak żyć jak ci marynarze, z dala od kraju, mojego miasta, bliskich. Jestem jak kot przywiązana do miejsca. Tylko zdaje mi się, że miejscem i kto wie, może nawet ojczyzną marynarzy jest morze...

Ckwiwo-sentymentalne rozmówki na statku wyzwoliły we mnie falę tęsknoty. Żeby tak mogła wybudować wielki dom, pełen pokoi dla mamy, Ewy, wszystkich bliskich mi osób, żebyśmy byli niedaleko siebie, nawet nie widząc się, ale czując nieustannie swoją bliskość, i żeby ten dom otaczały skomasowane w jakiś cudowny sposób wszystkie te miejsca, które kocham i do których pragnę powracać... i żeby to było na kółkach, bo wtedy mogłabym jeździć bez końca!

## *Bergen*

Wkrótce po odpłynięciu statku wyjechałyśmy na dalszy ciąg kontraktu aż do Bergen. Znalazłyśmy tam sobie sposób na zabijanie czasu. Chodzimy do obozowiska naszych inżynierów, którzy montują tu jakieś urządzenie w budowanej w pobliżu miasta wielkiej elektrowni. Gadamy o głupstwach, pijemy wódkę...

Ha, Ha! Ja i wódka! Nie smakuje mi, ale jest wesoło i jakoś leci czas...

Niedługo się to skończy, bo pojedziemy dalej na północ. Jeszcze miesiąc wygnania, większość mam już za sobą.

## *Wielkanoc w Bergen*

Dankowski zaprosił nas przez telefon, ale chyba nie traktował tego zbyt serio. Wszystko jedno. Pojechaliśmy autostopem. Wystrojona w nowy płaszczyk z lisa Aldona wyszła na przynętę. Trzy samochody minęły ją obojętnie, czwarty się zatrzymał. Wybiegłyśmy z Danką spoza drzew. Kierowca był smarkaty i posyłał Aldonie, która zajęła miejsce obok niego, powłóczyście spojrzenia. Zboczył z drogi i zawiózł nas z fasonem na samo miejsce, ale to wszystko nie jest ważne.

W ogóle wiele rzeczy dotąd uważam za nieważne w porównaniu z faktem, że istnieje na świecie Modest Twardowski! Co za imię?! I jeszcze w połączeniu z nazwiskiem Twardowski!

Modi... Modi? Modi! Czuję się, jakbym miała znowu szesnaście lat. Jak on wygląda? Nie mogę sobie przypomnieć wyraźnie rysów jego twarzy. Ma dołek w brodzie... Czy istnieje naprawdę? A może tylko zszedł na krótko na ziemię i wrócił na księżyc?

Byłam szczęśliwa już tylko z tego powodu, że był, że mogłam na niego patrzeć, słuchać, jak mówi. Nie wiem, jak wyglądało całe to moje zachowanie, ale co mnie to może obchodzić? Aldona powiedziała, że pobyt w tej piekielnej dziurze rzucił mi się na mózg.

Napisałam zwariowany list. Nie żałuję, że go wysłałam. Powinien tu przyjechać. Jeśli nie ma własnego samochodu, może pożyczyć jakiś wóz od kolegów. A przynajmniej niech napisze, jeśli istnieje naprawdę...

Żyję jak we śnie. Liczę dni od wysłania listu. Gubię się w czasie. To wszystko teraz nie ma znaczenia. Nie ma listu, nie było Wielkiej Nocy. Nie istnieje nikt taki, kogo nazywam „Modim”... Muszę, muszę o nim zapomnieć!

Pojutrze wyruszamy w podróż powrotną do Polski. Tęskniłam za tą chwilą. Ale gdybym mogła jeszcze troszeczkę poczekać... upewnić się, że to spotkanie i dla niego coś znaczyło...

Dość długo nie zaglądałam do pamiętnika, a czas leci...

Mamy więc od dawna rok 1968. Obchodziliśmy z Krzysztofem rocznicę mego tu zamieszkania. Uroczyście – koszyk róż, wino w kryształowych kieliszkach, a jakże! Święci się stan nieograniczonego perspektywą żadnych terminów narzeczeństwa.

Jest mi wszystko jedno. Tak, doszło do tego. Kiedy mi najciężej, zawsze jeszcze mogę pomarzyć o Modim – jakby to nam mogło być razem. Tego przynajmniej nikt mi nie odbierze.

Wczoraj znowu byłam w Agencji. Rozmowa i rodzaj upokorzenia tak stereotypowy, że aż warto wzorcowo zapisać:

– Dzień dobry, czy nie znalazłaby pani czegoś dla mnie? – zapytałam nieśmiało.

Pani Ala, starzejący się kociak, podniosła oczy znad biurka i spojrzała na mnie z niesmakiem.

– Proszę złożyć repertuar.

– Wypisałam pani wszystko już chyba dwa razy, ma to pani w swojej teczce z ewidencją.

– Taak? – zdziwiła się.

– Tak – odpowiedziałam jak mogłam najgrzeczniej. Już się nauczyłam pokory.

– Sama pani sobie winna, pani Joasiu. Gdyby pani się rozwijała, nie musiałaby pani wyjeżdżać z tercetem.

– Ależ pani wie doskonale, że to była sprawa wyboru.

– Och, głupstwo! Kochana moja, nie mogę pani nic obiecać. Nie mamy zamówień na żadne koncerty. Kompletna posucha. Jak coś będzie, to zadzwonię.

– Czy mogłabym pomówić z dyrektorem?

– A czemu nie? Proszę bardzo, tylko musi pani zaczekać, bo ktoś tam jest. Niech pani usiądzie.

Usiadłam. W tym momencie wpłynął do pokoju kołysząc brzuszkiem znany mi szmirus Piotr Jaszewski. Położył przed nosem spłonionej pani Ali pudełko czekoladek i długo trzymał przy ustach jej dłoń. Potem usiadł zakładając nogę na nogę i nonszalancko pomachiwał kluczykami do samochodu umieszczonymi na zmyślnym breloczku.

Pamiętałam go ze sceny. Zaczesał łysinę i wyśpiewuje przydługie arie oraz najmodniejsze szlagiery światowe. Od lat te same. Nie ma czasu na przygotowanie nowych. Zresztą po co? Jak widać, podoba się, skoro go angażują. Ledwie może nadażyć z koncertu na koncert. Strach pomyśleć, jakby sobie poradził, gdyby nie ten kochany, pocziwy ford!

– Pani Alinka nam kwitnie! – zwrócił się do mnie i mrugnął porozumiewawczo. Spuściłam oczy. Przyznałam, że istotnie, choć nie byłam tego zdania.

– Co pan, panie Piotrusiu, pan to zawsze taki elegancki – zaszcebiotała „kwitnąca nam” pani Alinka.

– Niech no pan otworzy swój kalendarzyk.

– Gotów, pani Alinko, życzenia pięknych pań są dla mnie rozkazem – co rzekłszy wyciągnął z teczki terminarz, zabazgrany bardzo gęsto.

– Niech pan sobie zapisze: w sobotę o szesnastej w Płocku – wielki koncert galowy dla przodowników pracy.

– W porządku – mruknął notując.

– W niedzielę dwa – dyktowała dalej pani Alinka.

Przestałam słuchać. „Piotruś” o coś się jeszcze droczył, mówił, że nie zdąży, bo wcześniej wyznaczyła mu koncert już na tę niedzielę.

– Ułożymy program tak, że jakoś pan zdąży.

Pan Piotruś dał się przekonać. Mój Boże, czego to się nie robi „dla pięknych pań”!... i dla miłego grosza. Nic to, że wyje fałszywym barytonem jak zraniony byk, kalecząc jeszcze język, bo kiedy taki zajęty człowiek ma się nauczyć dykcji? A płacić jakimś skrybom za napisanie tekstów do zagranicznych przebojów nie musi, bo sam je sobie pisze. Że trochę niegrammatycznie? Co z tego? Ważne jest, aby temat był ciekawy, taki „pod publiczkę”, na przykład coś o tym, jak ona jest dumna i blada, a on ją o coś prosi... i nie dostaje, a ludzie się wzruszają.

Wysłałam niezauważona. Zrezygnowałam z rozmowy z dyrektorem. Wiem, co on by mi powiedział. Że owszem, śpiewam miło, to się nawet podoba, bo jestem ładna kobieta (znam go, nie omieszkałby wetknąć mi tej szpili), ale „na litość boską, jak się nie ma nazwiska, nie można sobie pozwalać na ekstrawagancje, jakieś nieznane nikomu dziwne piosenki, jakby nie było tych znanych, lubianych, wylansowanych”.

Jak się nie ma nazwiska i uroku Piotrusia Jaszewskiego, który po swoim dziadku, „co ma warsztat”, odziedziczył główkę do interesów.

Koncerty dla świata pracy trwają, ale artyści nie są traktowani demokratycznie... Czy ja mam prawo mówić o sobie artystka? Zaczynam wątpić.

To było dzisiaj. A oto mój półroczny bilans: kilka razy oprowadzałam wycieczki Francuzów po Żelazowej Woli, już o mały włos uznano by mnie za specjalistkę w tej dziedzinie, gdyby pani kierowniczką nie dowiedziała się o tym, że uprawiam też piosenkarstwo.

– No wie pani, panno Morawiec – powiedziała z niesmakiem – brałam panią za przyzwoitą osobę.

Od tego czasu wydaje mi się, że Francuzi zaniechali odwiedzania Żelazowej Woli...

Przetłumaczyłam trzy piekielnie trudne artykuły techniczne i jeden o pszczelarstwie. Ten o pszczelarstwie wydrukowali co prawda bez nazwiska tłumacza, ale zapłacili. Wyszydełkowałam koleżankom „artystkom” pięć sukienek na osobę – za godziwą opłatą!

Odbyłam też około kilkudziesięciu rozmów w różnych instytucjach artystycznych. Do każdej z nich przygotowywałam się starannie – skutki były podobne dzisiejszym.

Schudłam. Sprzedałam pierścionek po babci i większość ubrań, ale nie przerwałam lekcji śpiewu ani pracy nad repertuarem. Aha! Miałam też jedną propozycję: żeby podawać bezzębnemu żonglerowi rekwizyty, ubrana w skąpe szatki.

Krzysztof we mnie zwątpił. Muszę zaznaczyć, że uczynił to odrobinę później niż ja; on zawsze był dżentelmenem. Ale to nieprawda, że ja tak do końca w siebie zwątpiłam, ponieważ nadal wierzę, że i na mojej ulicy zaświeci kiedyś słońce.

A jeśli chodzi o Krzysztofa, co mnie jeszcze przy nim trzyma? To, że w gruncie rzeczy jest dość poczciwy? Że zbyt wygodny, aby pragnął jakiegokolwiek zmiany? Co i komu pragnę przez to udowodnić?

Zaczynam pracować (żeby tylko nie zapeszyć!). Znalazłam przyjaciół, i to w ciężkim okresie, więc tym bardziej sobie ich cenię. Piszą specjalnie dla mnie! Kiedy nie wiodło mi się, ludzie uciekali ode mnie jak od trędowatej. Nie lubi się pechowców. Niektórzy sądzą, że to zaraźliwe. No, ale chyba przeszłam już, chwalić Boga, okres mojej kwarantanny. A Jachimowscy wtedy właśnie przyszli mi z pomocą. Wacek pisze teksty, Zosia komponuje do nich muzykę. Tworzą dla mnie! Zaczyna się moja artystyczna przemiana.

Nie dosypiam, nie dojadam, uczę się, pracuję. Nie starcza mi czasu na pisanie pamiętnika i z trudem znajduję go na życie rodzinne z moim „narzeczonym”, ale on nie wygląda na takiego, który czułby się opuszczony. Widuje mnie w telewizji, słyszy w radiu, może się mną chwalić i czyni to ponoć z zapałem.

*Sierpień 1968*

Mój Boże, przyjechał Modi! Zadzwonił, by zapytać, czy zechcę się z nim zobaczyć. Czy zechcę?!!!

Modi odjechał. Nieprawda, że chciał mnie zabrać z sobą jako żonę... nieprawda, że nie zgodziłam się na to, że stchórzyłam... nieprawdą jest też to, że posądzam go o egoizm. Po prostu był to jeszcze jeden piękny sen i jedynie w to powinnam uwierzyć!

*Rok później*

Czy pisałam już, że nie ma w moim życiu Krzysztofa? Mieszkam teraz u Jurka. Jest reżyserem znakomitych filmów i wspaniałym człowiekiem. Wynajmuję u niego pokój, zwyczajnie, jako sublokatorka, wbrew temu, co plotą ludzie. Jest moim najlepszym i bezinteresownym przyjacielem.

Skąd mi się bierze tylu wrogów? Muszę to wszystko opisać. Wracam więc do pisania po rocznej z górą przerwie.

To, o czym teraz napiszę, działo się w ubiegłym tygodniu, od dwudziestego szóstego do dwudziestego dziewiątego czerwca, podczas dorocznego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu.

A zatem:

Kiedy wreszcie zamknęły się drzwi i w korytarzu umilkły oddalające się kroki moich przyjaciół Jachimowskich, niespodziewanie zatęskniłam za domem rodziców. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech, mając nadzieję, że poczuję znajomy zapach naftaliny z otwartej gdańskiej szafy. Pomyślałam, że jest to jedyne miejsce, gdzie mogłabym się naprawdę uspokoić po ostatnich przeżyciach. Półmrok i orzeźwiający chłód bijący od grubych murów w staromodnie urządzonych pokojach, ciężkie zasłony koloru starego złota, szerokie parapety wąskich okien, umieszczonych we wnękach, mnóstwo dość brzydkich porcelanowych drobiazgów, które matka zносиła do domu na długo przedtem, zanim owładnęła światem moda na antyki – wszystko to stwarzało atmosferę, którą uwielbiam. Czuję się tu oddalona od goniących się zwariowanie i mimo to wciąż piętrzących się codziennych spraw. Nawet kiedy wychyłam się z okna wychodzącego na rynek i patrzę na stłoczone szesnastowieczne kamieniczki, wrażenie to pozostaje.

Mieszkanie rodziców, oprócz dwóch przestronnych pokoi, ma mnóstwo komóreczek, wnęk i nisz, jak

wszystkie mieszkania na poddaszach starego miasta. Z tych komóreczek Ewa, odkąd jest uczennicą szkoły plastycznej, wymuskała kilka rozkosznych kącików, pełnych miękkich poduszek i małych wiszących latarenek w żelaznych okuciach. Można w tych norkach siedzieć z książką i zapomnieć o wszystkim, toteż zapragnęłam znaleźć się tam jak najszybciej i postanowiłam, że pojedę zanurzyć się w nich natychmiast, nie wstępując do Warszawy.

Tymczasem jednak byłam jeszcze tu, w Opolu. W hotelu pełnym festiwalowych gości. Nieznośny zapach wypalonego tytoniu wyrwał mnie z zadumy. Podniosłam się, opróżniłam popielniczki, otworzyłam szeroko okno. Razem ze strumieniem świeżego powietrza do pokoju wpadły przytłumione hałasy. O godzinie czwartej nad ranem w hotelu, który służy ludziom do spania, wrzało jak w ulu. Widać zarówno sukcesy, jak i klęski mają to do siebie, że nie pozwalają zasnąć – pomyślałam.

Pomimo że starałam się maksymalnie wypoczywać, w ciągu ostatnich paru nocy zasypiałam o świcie. Przyczyniły się do tego nocne próby przy pełnej mobilizacji wewnętrznej, po których byłam zbyt rozemocjonowana, jak i – co tu ukrywać – wizja wielkiego sukcesu. Po latach zmagań dostrzegłam, że wreszcie stoję mocno na nogach. Niewątpliwie zarówno Jerzy, jak i Jachimowscy mieli w tym swój ogromny udział.

À propos mojej przemiany: Zaczęło się to kilka miesięcy temu od żartu lekko wstawionego Jurka, bo siedzieliśmy przy winie. Jurek zaczął głośno wymyślać scenariusz swojego nowego filmu, w którym ja miałabym odtwarzać siebie. Po chwili wszyscy połknęli haczyk i uwierzyli święcie, że sprawa jest postanowiona i dawno przemyślana. Nawet ja, najlepiej zorientowana w kawałach Jurka, zaczęłam to „kupować”. Może z powodu rauszu, a może zainteresowania, jaki ten jego żart wzbudził, Jurek rozpaplał się na dobre. Wymyślił filmową Joannę z całą precyzją swojej twórczej wyobraźni, wyposażył ją w cechy, jakie były we mnie zaledwie zarysowane, wymyślił jej repertuar, kostiumy, zaczął opowiadać, o czym śpiewa. Zabawa rozkręciła się na dobre. Jachimowski zaczął się z nim targować o pomysły, zapalił się do napisania scenariusza. Zosia, jego żona, zasiadła do fortepianu i w efekcie tego powstała w oparach wina przepiękna piosenka *Serce na dłoni*. Zaczęłam śpiewać. Jurek krzyczał, poprawiał, Jachimowski przerywał, zamieniał słowa na bardziej trafne. Śpiewałam, a Jurek był coraz bardziej niezadowolony. Nagle zapomniał, że to zabawa. Poczul się na miejscu jako reżyser. W pewnym momencie podszedł do mnie, złapał mnie za ramiona, potrząsnął mną i wysyczał: „Obudź się, słyszysz! Nigdy, mówię ci, nigdy nie zdołasz przemówić do ludzi, dopóki będziesz takim ślimakiem, dopóki będziesz swoje ja chować przed nimi w tej skorupie. Musisz poczuć się wolna, musisz im tę swoją wolność narzucić, inaczej w nią nie uwierzą, nie będą cię słuchać, żebyś nie wiem jak cierpiała, cieszyła się czy umierała. Bo ludzie przepadają tylko za tym, w czym mają swój udział. Musisz im narzucić przekonanie, że twoja radość, twoje tragedie są ich radościami i tragediami. Inaczej niepotrzebnie zdzierasz sobie gardło zajęciem, które w twoim mniemaniu jest śpiewaniem”.

Kiedy wyrzucił z siebie tę tyradę, nagle stracił kontenans. Usiadł spokojnie, nalał sobie kawy z termosu i popijał powoli, topiąc w niej, jak wszyscy sądzili, nieco zażenowany wzrok. W pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie. Nikt nie miał odwagi spojrzeć na mnie. Wszyscy byli oszołomieni stekiem impertynencji skierowanych bądź co bądź do jednej z najpopularniejszych w kraju piosenek. Jachimowscy kręcili się nerwowo, myśląc z niepokojem, czy nie stracili wykonawczynie, obrażonej w ich domu. Stałam z zaciśniętymi ustami, rozcierałam sobie dłońmi obolałe jeszcze po uścisku ramiona. I nagle, niespodziewanie dla wszystkich, powiedziałam:

– Zośka, graj jeszcze raz, bawimy się dalej!

Jachimowska posłusznie uderzyła w klawisze. Wybrzmiały cztery takty przygrywki i zaczęłam śpiewać. Nie był to właściwie śpiew. Agresywnie weszłam w melodię, dzieląc ją w taki sposób, że zupełnie zmieniła charakter. Brałam oddech co dwa słowa, to znów wyrzucałam z siebie po dwie frazy

na jednym oddechu. Nagle wszystko wypełniło się moim nastrojem tak dalece, że nie było granicy między milczeniem a śpiewem, pauzy pełne były mego napięcia. Crescendo w refrenie urosło do niemalże krzyku, chociaż czuło się jeszcze w głosie rezerwę. Potem powtórzyłam pierwszy motyw, ale tak inaczej niż poprzednio, że nawet mnie wydał się zupełnie nowy. Drugi refren zaśpiewałam cicho, na przydechu i dopiero w codzie pozwoliłam, by mój głos zabrzmiał mocniej, i zdawało mi się, że brzmiał długo w wyobraźni słuchaczy, nawet kiedy faktycznie umilkł.

Jerzy przemówił pierwszy:

– Jak Boga kocham, ja jeszcze rzeczywiście nakręcę film z tą wariatką. Ty wiesz, jak to zrobiłaś? Ha, ha, ha! Słowo daję!

– Dziękuję ci – powiedziałam. – Nie masz pojęcia, jak ja cię nienawidziłam, kiedy zaczęłam śpiewać. Nauczyłeś mnie dziś, że bez tego się nie uda. Trzeba zapomnieć, że się śpiewa, trzeba umieć nienawidzić albo kochać.

Zdarzenie to miało miejsce zaledwie pół roku temu. Potem przyszła nie praca, ale orka. Nie było koncertów, nie było pieniędzy. Tylko ja i Jachimowscy. Pisali na kredyt, karmili. Wacek obrażał się śmiertelnie, ale w końcu poprawiał teksty, Zośka wyklócała się o każdy takt, mieli mnie i nawzajem siebie po dziurki w nosie. Rozchodziliśmy się w trzy różne strony, a potem wracaliśmy i pracowaliśmy ze zdwojonym zapalem. Nie rozstawałam się z magnetofonem. Nocami wciąż przewijałam taśmę i powtarzałam po sto i więcej razy każdą frazę. Wreszcie zaprezentowałam próbę swego recitalu w dość obszernym gronie przedstawicieli przedsiębiorstw estradowych, skrzykniętych przez Jurka, dziennikarzy i kilkunastu życzliwych ludzi. Posypały się gratulacje i propozycje. Dostałam zaproszenie na festiwal z pierwszą piosenką z cyklu *Serce na dłoni*, powstałą w ów pamiętny wieczór.

Korzystałam z propozycji koncertów na tyle ostrożnie, żeby nie stracić z trudem osiągniętej dobrej formy. Nareszcie spłaciłam długi Jachimowskiemu, sprawiłam sobie kilka sukien na scenę i zdążyłam nagrać płytę z czterema piosenkami, zapowiadającą mój udział w festiwalu.

Na próby przed festiwalem przyleciałam samolotem dopiero w trzecim dniu ich trwania. Kiedy opuszczałam lotnisko, niespodziewanie zobaczyłam Wacka Jachimowskiego wychylonęgo z okna samochodu. Wysiadł i ruszył w moim kierunku. Bez słowa, z niepewnym uśmiechem odebrał ode mnie walizkę i uścisnął mi rękę.

– Wygarniaj prędko, co się stało – powiedziałam z niepokojem.

– Skąd ci przyszło do głowy, że coś musiało się stać?

– Słuchaj, staruszk, znamy się nie od dziś, skoro przyjeżdżasz po mnie na lotnisko, mimo że nie zawiadaniałam ani ciebie, ani nikogo innego, którym samolotem przylecę, znaczy to, że usiłowałeś się dowiedzieć, kiedy się tu zjawię. A potrzeba zobaczenia mnie, zanim pojawię się w amfiteatrze, wynika prawdopodobnie stąd, że chcesz mnie uprzedzić przed czymś, co może mnie tam spotkać. Domniemywam, że to, z czym tak śpieszysz, nie jest przyjemne, bo jedynie złe wieści szybko do nas docierają.

– Ech, Aśka, przestań się bawić w Sherlocka Holmesa! Sprawa jest poważniejsza, niż ci się wydaje.

– Rany boskie, umarł ktoś czy co? Już wiem, zrezygnowali z mojego udziału w festiwalu?

– No nie, tak źle nie jest, ale obawiam się, że ty sama możesz zrezygnować. Wyobraź sobie, że te osły w niewytłumaczalny sposób zagubiły twoją partyturę.

– Jakie osły? Dlaczego właśnie moją?

– Cholera wie. Wszyscy winią wszystkich. Doszły już pocztą pantoflową ploty, że zanoszą się na to, iż co najmniej powtórzysz sukces sprzed dwóch miesięcy w Warnie, gdzie zdobyłaś grand prix. Zosia



chciała popracować z zespołem wokalnym i okazało się, że nikt nigdzie nie może znaleźć partytury. Dzwoniłem do radia, bibliotekarz zaklina się, że została pokwitowana i musi być tutaj. A tu ani inspicjent, ani dyrygenci nie pamiętają, czy ją widzieli.

– To dlaczego, do diabła, nie daliście mi znać, że partytura zaginęła. Przecież wiesz, że mam w domu drugi egzemplarz.

– Dzwoniłem, ale już cię nie złapałem.

– Słuchaj, Wacek, ja nie chcę, żebyś myślał, że przemawia przeze mnie zarozumiałstwo. Ktoś widocznie chciał, żeby te nuty zaginęły, a jeśli tak, to ja mówię pas.

Wsiadłam do samochodu i oklapłam na siedzeniu. Ogarnęła mnie rezygnacja. Jachimowski bez słowa uruchomił silnik. Jakiś czas jechaliśmy nie odzywając się do siebie. Mijaliśmy już pierwsze domy na przedmieściu, kiedy wyszeptałam:

– Na litość boską, po co ja tu jestem? Przecież to wszystko nie ma sensu.

Jachimowski zahamował gwałtownie.

– Wybacz, Aśka, ale nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Nie rozumiem twojego stanowiska. Co właściwie masz na myśli mówiąc, że to nie ma sensu? Czy wiesz, ile ja z Zośką czekaliśmy na taką szansę? Znasz nas chyba i wiesz, że to nie tylko sprawa pieniędzy, chociaż i to się nam w końcu należy. Czy ty wiesz, ile razy odchodziliśmy spod różnych drzwi odprawieni? Ilu wysłuchiwałem impertynencji od ludzi zupełnie do tego nie upoważnionych? Czy wiesz, ile razy kajałem się sam przed sobą, że jestem hochsztaplerem twórczym, oskarżałem siebie o zawiść i brak samokrytycyzmu, ba, nawet wszelkiego smaku, chociaż zdawało się, że ci, którzy ze mną wygrywają, nie przerastają mnie? I nagle udaje mi się zrobić coś wyjątkowego. Wyłączyliśmy się z Zośką ze wszystkiego poza pracą z tobą, dla ciebie... Przecież wiesz, że od pół roku wszyscy troje jesteśmy jednym organizmem. Nie chodzi już o sukces. To cośmy we trójkę stworzyli, nie może tak nagle przepaść, musimy to pokazać szerszej publiczności.

– Och, Wacek, czy ty nie rozumiesz, że to dlatego, właśnie dlatego, że nam się udało, te nuty zginęły... Boję się, że to jest początek walki, a mnie nie stać na to, żeby znowu walczyć.

– Ja cię zmuszę do tego. Potrafisz.

Mówiąc to znowu uruchomił silnik. Nie kontynuowaliśmy rozmowy. Po kwadransie byliśmy w hotelu. W holu czekała na nas Zośka. W milczeniu ucałowałyśmy się i po chwili wszyscy troje poszliśmy na górę. Zaczęłam rozpakowywać rzeczy, Jachimowscy wymieniali między sobą spojrzenia.

– Mam już plan – odezwała się Zośka. – My z Aśką, jak gdyby nigdy nic, pójdziemy do amfiteatru. Nuty dla zespołu wokalnego postaram się odtworzyć do wieczora. Ty, Wacek, wsiadaj do wozu i jedź do Warszawy po nuty Aśki. Do rana powinieneś wrócić. Może w tym czasie zguba się odnajdzie. Jeśli tak, to doskonale, jeśli nie, od jutra pozostaną nam jeszcze dwie próby. W nocy po próbie zbierzemy tutaj zespół wokalny, zrobimy kawę i trochę z nimi popracuję. Orkiestra już wszystko w Warszawie próbowała, w ostateczności pójdą a vista.

– Zośka, jesteś wspaniała – ucałowałam ją. – Ty jedna masz zawsze głowę na karku.

Jachimowscy podnieśli się i odeszli do swojego pokoju. Zaczęłam się zastanawiać, w czym mam wystąpić na próbie. Przebieranie się po kilka razy dziennie i demonstrowanie najnowszych toalet weszło w zwyczaj festiwalowe. Ulegali temu również niektórzy chłopcy, prześcigając się w doborze kolorowych wdzianek, modnych koszul i pasków z efektownymi kłamrami. Pod tym względem nie ustępuję koleżankom i niestety nie można mi zarzucić braku próżności. Moja walizka była pękata jak rzadko. Wyjęłam modny kostium „safari”, długi jedwabny szal i sandały na szerokich kwadratowych obcasach, które dopiero zaczynały wchodzić w modę. Skarpety do kolan, w kolorze szala, dopełniały

całości. Spojrzałam w lustro, przyglądałam długie, ciężko opadające na ramiona włosy i zdecydowałam się na włożenie kapelusza. Tak było lepiej. W momencie kiedy miałam pukać do pokoju Jachimowskich, drzwi otworzyły mi się przed nosem. Wyszli oboje, on z torbą podróżną, Zosia, jak zwykle, raczej trochę przebrana niż ubrana. Jej drobna figurka ginęła w olbrzymiej ilości loczków, spinek, kokardek, klipsów i innych zbędnych ozdób. Posiadając wyjątkowy talent do niezamierzonej asymetrii, wszystko miała trochę nierówne. Krzywo położone cienie wokół oczu, nierówne końce kołnierzyka, nawet jej torebka była tak wypchana, że nie dopinała się na jedną klamerkę. Zosia bardzo starała się o swój wygląd, ale bez względu na to, ile na te starania poświęcała czasu, efekty były jednakowe. Przywykła do tego, że żartowano na ten temat i sama te żarty często podtrzymywała. Kiedyś, gdy ona i Wacek otrzymali honorarium za jakąś większą pracę, zaprosili paru przyjaciół na kolację w SPATiFie. Podobno Jachimowski oświadczył żonie, że powinna choć raz postarać się wyglądać tak, żeby ludzie znaleźli sobie inny niż jej wygląd temat do żartów. Zosia poszła do fryzjera i kosmetyczki. Na kolacji zjawiała się ostatnia, z wypiekami na twarzy i rozkręconym lokiem opadającym smutno z misternie upiętej fryzury.

– Przepraszam, kochani, nie mogłam złapać taksówki – oświadczyła. Jachimowski szepnął do niej:

– A wyglądasz, jakbyś taksówkarzowi płaciła w naturze.

– Czego ty chcesz – zniecierpliwiła się Zosia – chciałeś, żebym zainwestowała i wyglądała, no to zainwestowałam i wyglądałam! Uczesanie było wspaniałe, ale zaczepiłam o wieszak w taksówce.

Oczywiście posypały się żarty na temat jej wyglądu, w których wiodła prym z uporem masochistki, budząc zniecierpliwienie męża. Tym razem jednak Jachimowski był na tyle zdenerwowany, żeby zająć się korygowaniem czegoś w jej wyglądzie. Szybko zeszli ze schodów i wsiedli do samochodu. W przeciwieństwie do panowania nad swoim wyglądem, we wszystkich innych sytuacjach, a zwłaszcza w trudnych chwilach życiowych Zosia błyskała niezwykłą formą. Myślała wówczas logicznie i szybko. Teraz też komenderowała:

– Aśka, najlepiej od razu daj Wackowi klucze do swojego mieszkania i wytłumacz mu, gdzie ma szukać partytury. A ty, Wacek, proszę cię, jedź spokojnie, masz prawie dobę czasu, prześpij się w Warszawie i jak odpoczniesz, ruszaj z powrotem. Nie masz się co spieszyć i denerwować, bo i tak do jutra zdążysz.

Jachimowski, nie mogąc dojść do słowa, kiwał tylko posłusznie głową. Wyjęłam z torebki klucze i nagle wrócił mi pogodny nastrój.

– No, rozchmurz się staruszkule – powiedziała do Wacka. – Bo wyglądasz, jakbyśmy odprawiały cię na wojnę. Partytura jest na pianinie, przeglądałam ją przed samym wyjściem i nie zdążyłam sprzątnąć. Wydaje mi się, że to tylko my zrobiliśmy z tego aferę. Po prostu zginęły nuty i tyle. Przywieziesz drugie i będziemy ich pilnować jak oka w głowie.

Pożegnałyśmy się z nim niedaleko wejścia do amfiteatru. Natychmiast zostałyśmy otoczone przez łowców autografów. Podpisałam się w kilku podanych kajetach, na kilku fotografiach i powiedziałam, że czas już na mnie. Ale kolekcjonerzy nie ustępowali, przeciwnie, tłumek wokół nas rósł, do dzieci dołączyły osoby dorosłe, kilka kobiet przypatrujących mi się bezceremonialnie i raczej niezyczliwie oraz paru mężczyzn uśmiechających się zdobywczo. Sytuację zaczęła ratować nieoceniona Zośka, która do energicznego „przepraszam” dodała nie mniej energiczną porcję łokci. Dzięki temu za chwilę udało nam się przekroczyć bramę.

Kolorowy tłumek wykonawców, muzyków i organizatorów zajmował już pierwsze rzędy amfiteatru. Orkiestra siedziała na estradzie i stroiła instrumenty. Cienkie popiskiwanie skrzypiec, poszczekiwanie puzonów, trelujące pasażę klarnetu splatały się w swoistą kakofonię. Próbowane mikrofony potęgowały ten hałas. Nad amfiteatrem niebo było czyste, słońce mimo wczesnych godzin grzało z zapalem, na jaki je stać jedynie w początkach lata. Między rzędami krzeseł przepychali się sprzedawcy lodów, a na górze

zupełnie nieźle prosperował kiosk z papierowymi kapeluszami i kaszkietami, w które już została umundurowana co najmniej połowa zebranych w amfiteatrze ludzi. Na nasz widok kilka osób podniosło się z miejsc. Zaczęły się powitania, komplementy, przytyki. Jachimowska oddaliła się w stronę bufetu, usiadła tam pod wielkim parasolem i rozłożyła na stoliku papier nutowy. Pracowała w skupieniu, nie zważając na hałasy płynące z estrady i kręcących się dookoła ludzi. Po dwóch godzinach wstała z triumfalną miną.

– Asia – oświadczyła – chórki mam gotowe, musisz użyć teraz swego uroku, żeby zespół wokalny zechciał zostać na pół godziny po próbie. Jeśli się zgodzą, wieczorem zaprosisz ich do siebie na kawę i jeszcze choć trochę poćwiczymy.

– Wiesz, Zosiu, ja naprawdę nie mam odwagi, przecież te biedaki dosłownie nie schodzą z estrady.

– Wiem, ale musisz, musisz osobiście ich o to poprosić.

Tymczasem próba dochodziła już do półmetka. Miałam wystąpić jako przedostatnia w pierwszej części programu, przed przerwą. Wiedziałam, że nuty jeszcze się nie odnalazły i nie miałam nadziei, że to nastąpi. Siedziałam jednak udając, że czekam swojej kolejności. Właściwie gdyby to ode mnie zależało, trzymałabym się chętnie trochę na uboczu. Nie dlatego, żeby towarzystwo to było mi nie mile, nie. Wiele spośród zebranych tu osób darzyłam sympatią, poza tym inaczej wyglądali pojedynczo, spotykani od przypadku do przypadku, a zupełnie inaczej tu, zebrani nagle razem na stosunkowo niedużym terenie. Lubię ten tak skomasowany odświętnie świątek obserwować. Jedynie nieunikniona w takich sytuacjach paplanina przeszkadza mi w skupieniu. Teraz nie musiałam zabiegać o spokój i koncentrację, skoro moja próba nie mogła dojść do skutku. Zastanawiałam się, kogo ze znanych mi osób z branży tu brakuje, ale szybko zgubiłam się w rachubach.

Eliza Kańska podchodzi co chwilę do kogoś, załatwia jak zwykle tysiące interesów naraz, z dyrektorem radia, kompozytorami. Dla każdego ma czarujący uśmiech, w stosunku do koleżanek nieco protekcyjny, tak samo zresztą jak i dla swojego pięknego, nad miarę wyrosniętego męża, który podąża w przyzwoitej odległości za słynną żoną, dźwigając jej torbę oraz tysiące prawdopodobnie niezbędnych jej paczuszek i rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na co piękniejsze dziewczęta. Zgadza się ofiarnie występować w nieco upokarzającej roli „męża swojej żony” za cenę oglądania festiwalu z bliska.

Zupełnie inaczej urządza się tu mąż innej gwiazdy, Aliny Bulskiej. Ten inicjatywę bierze w swoje ręce. Nikomu nawet nie przychodzi do głowy, że jest tu tylko po to, by towarzyszyć Alinie. Ze wszystkimi jest na ty, wszyscy go akceptują i nawet wielu zabiega o jego względy. Złośliwi twierdzą, że zdążył kupić Alinie połowę przemysłu rozrywkowego w Polsce. Nie mówi się o tym głośno, ale wielu obecnych tu panów z lubością wspomina fundowane przez niego obiadki i wesołe kolacje suto zakrapiane alkoholem. Jakby niczego nieświadoma Alina patrzy na świat szeroko otwartymi oczami pierwszej naiwnej i wydaje się być bez reszty pochłonięta cichym śpiewaniem swoich erotycznych piosenek, za którymi szaleją panowie w pewnym wieku. Chodzą słuchy, że każda pojawiająca się indywidualność jakąś kłodę pod nogami zawdzięcza czarującemu mężowi Aliny. Odwróciłam wzrok od eleganckiego pana, bo przypomniałam sobie zaginioną partyturę, ale zaraz skarciłam się za ten cień podejrzenia, jak zawsze, kiedy boję się, że zaczyna dochodzić do głosu moja pycha. Co by mu mogło z tego przyjść – rozmyślałam. – Alina jest już tak popularna, że chyba niezagrożona, zwłaszcza przeze mnie. Jesteśmy tak różne i w wyglądzie, i w tym, co robimy, że nie możemy zjednać sobie tej samej publiczności. Ona ma za sobą większość, której ja nigdy na swoją stronę nie przeciągnę.

Zamieszanie powstałe na estradzie przerwało te niewesołe rozmyślenia. Reżyser właśnie wywołał moje nazwisko. Dyrygent z zakłopotaniem oświadczył, że nut, niestety, nie ma. Przeprosił mnie. Wszyscy byli zdenerwowani. Reżyser jękając się stwierdził, że wygląda na to, iż trzeba będzie piosenkę

wykreślić. Wtedy spokojnie oświadczyłam, że spodziewam się jutro rano drugiego egzemplarza partytury z Warszawy i wobec tego proszę o zarezerwowanie dla mnie na jutrzejszą próbę trochę więcej czasu. Dyrygent i reżyser byli uszczęśliwieni. Rozejrzałam się dyskretnie. Wiedziałam, że jeśli moje nuty zginęły celowo, ktoś powinien być tą nowiną ucieszony. Ale nie zauważyłam nic, co by o tym świadczyło. Paplanina wokół trwała, mąż Aliny podniósł w moją stronę rękę z uniesionym do góry kciukiem, na znak, że sprawy mają się doskonale. Uśmiechnęłam się do niego i bardzo mi było wstyd poprzednich podejrzeń. Gdy reżyser ogłosił przerwę w próbie, razem z innymi udałam się do bufetu. Zamówiłam sobie kawę i dogadałam się z zespołem wokalnym w sprawie dodatkowej próby. Powiedzieli, że są oczywiście bardzo zmęczeni, ale rozumieją sytuację, a więc nie ma o czym mówić, zostaną po tej próbie. Wieczorem też będą u mnie. Uszczęśliwiona Zośka namówiła mnie na krótki spacer nad rzeką. Wymknęłyśmy się bocznym wyjściem.

Popołudnie przyniosło nowe zmartwienie. Zespół wokalny musiał zostać z dyrygentem nieco dłużej, a kiedy ich wreszcie zwolniono, byli już naprawdę zanadto zmęczeni, żeby się skupić. Jak się okazało, dziewczęta musiały popracować jeszcze nad swoją piosenką, którą pół roku temu miały w repertuarze, ale szybko przestały ją śpiewać. Od tamtego czasu zmienił się skład zespołu i dwie spośród z nich w ogóle nie знаły tego utworu. Krótko mówiąc, przedsięwzięcie było ryzykowne, ale autorem piosenki, niezatwierdzonej zresztą przez komisję festiwalową, był ktoś, komu nie bardzo można było się sprzeciwiać. Nie można też było powiedzieć tego wprost, bo prawdziwy autor ukrywał się pod jakimś niepozornym pseudonimem. Zosia Jachimowska bez większego przekonania rozdała im nuty, obiecały je przejrzeć do wieczora. Byłam już zdecydowana zrezygnować z mającego mi towarzyszyć zespołu wokalnego, ale Zośka stanowczo przeciw temu zaprotestowała.

Jak świat światem nie było jeszcze festiwalu bez deszczu. Musiał zawsze popadać chociaż przez chwilę, choćby w czasie próby. Zdenerwowana Zośka już o siódmej rano przywędrowała z kubkiem kawy do mojego pokoju. Jachimowskiego jeszcze wciąż nie było, a jego podróż przy panującej właśnie ulewie nie mogła wyglądać różowo. Mimo że poszłam spać po północy, byłam już na nogach. Pracowałam z magnetofonem. Nie byłam zadowolona z przyjścia Zośki, bo zarażała mnie niepokojem o Wacka i przeszkadzała w skupieniu, o które, pomimo nerwowych okoliczności, wciąż z sobą walczyłam. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, zniecierpliwione poszłyśmy do odległej restauracyjki na śniadanie. Wróciłyśmy piechotą, nie zważając na deszcz, i zastałyśmy przed hotelem zachlapany błotem, zdronzony samochód Wacka. Przeskakując po dwa schody wbiegłyśmy na górę. Jachimowski drzemał rozciągnięty na łóżku. Na stoliku leżała teczka z partyturą.

Okolo południa zaczęło się przejaśniać. Zerwał się wiatr, który rozpedził szybko chmury i nad amfiteatrem zaświeciło upragnione słońce. Natychmiast puste rzędy krzeseł zaczęły się wypełniać.

Byłam już po próbie. Siedziałam otoczona grupą piosenkarzy, przyjmowałam gratulacje. Aż dotąd bardzo niewiele osób miało okazję zobaczyć mnie w nowym wcieleniu i zmienionym repertuarze. Opinie były jednomyślne: uważali, że jestem dobra. Zdawali sobie sprawę z tego, że w jakiś sposób odsuwa to szanse wielu z nich na nagrodę, ale nie mogli nie wyrazić mi swego uznania. Zawrzało również wśród autorów i kompozytorów. Ci nie kwapili się z deklaracjami zachwytu w stronę Jachimowskich, ale nie było wątpliwości, że stali się oni bohaterami dnia. Gdziekolwiek się ruszyli, odprowadzały ich ciekawe, zaprawione skrzętnie ukrywaną zawiścią spojrzenia i doprawdy na palcach można było policzyć te, w których była prawdziwa życzliwość i szczere uznanie.

Zobaczyłam, że do Zosi podeszła Magda Tyczewska ze swoją męską asystą. Zaniepokojona, czy niewyparzony język Magdy nie przysporzy przyjaciółce przykrości, przysiadłam się do Jachimowskiej. Część towarzyszących Magdzie koleżanek i kolegów ruszyła za nią i razem z ferajną Zosi stanowili niezłe zbiorowisko. Już nie raz sama przełknęłam gorzką pigułę od niej, zanim nauczyłam się, jak należy

postępować, żeby nie narażać się na złośliwe żarciki pod swoim adresem, które wygłaszane na forum publicznym nawet gdy nie miały sensu i były niesmaczne, osiągały zamierzony efekt. Magda prowadziła niestrudzoną walkę z całym niewieścim rodzajem. Z niewiadomych przyczyn wszystkim kobietom będącym w zasięgu jej pola widzenia musiała przypiąć jakąś łatkę. Nieraz była to na pozór najzyczliwsza w świecie uwaga, w rodzaju: „No widzisz, jak dziś wreszcie świetnie wyglądasz, zawsze mówiłam, że gdy kobieta dochodzi do pewnego wieku, musi mieć zadbaną fryzurę, bo to odwraca uwagę od zniszczonej szyi i zmarszczek”. Po takiej wypowiedzi pryska jak bańska mydlana efekt wspaniałego uczesania, bo wszyscy natychmiast ukradkiem patrzą na szyję i zmarszczki obdarowanej znakomitym komplementem i hojnie dodają jej lat. Ulubioną dziedziną żartów Magdy są sprawy miłosne znajomych. „Popatrz, popatrz, kto by przypuszczał, że wy nadal trzymacie się razem, a ja myślałam, że on jest już po ślubie z tą blondynką, którą tak adorował nad morzem”.

Wszyscy doskonale znają sposób bycia Magdy, nikt tak naprawdę się z nią nie liczy, ale takie uwagi zawsze zasiewają ziarenko wątpliwości. W podobnie bezceremonialny sposób rozprawia się z utworami różnych artystów, którzy nie wiadomo dlaczego bywają w jej domu. Nikt chyba nie wiedział, jakim cudem Magda zawsze była wszędzie tam, gdzie działo się coś ciekawego. Była niejako honorową obywatelką wszystkich festiwali i wszystkich wielkich premier teatralnych. Chyba ona jedna nie miewała kłopotów z biletami, wejściówkami, ba, nawet innym, którzy byli zawodowo ściśle związani z tymi sprawami, potrafiła swoimi chodami wiele załatwić. Mówiono, że kiedyś była żoną któregoś z dyrektorów teatrów, ale już nikt tego nie pamięta, to stare dzieje, mimo zupełnie młodego wieku Magdy. Nikt też nie pamięta, dlaczego nazwano ją Walkirią, które to przezwisko przyłgnęło do niej tak mocno, że wiele osób nie znało jej prawdziwego imienia. Jak prawie każdego roku Walkiria czuła się na opolskim festiwalu jak u siebie. Wygłaszała głośno autorytatywnym głosem opinie, klasyfikowała, rozdawała cenzurki, wyręczając zawczasu jurorów. Może nikt w głębi duszy nie traktował jej zbyt poważnie, ale jednak w niezrozumiały sposób kształtowała opinie i każdy, nie przyznając się do tego, rad był, kiedy wygłosiła o nim pozytywne zdanie.

Bohaterów swoich dość publicznie przeżywanych awanturek miłosnych Walkiria potrafiła zachować jako przyjaciół. Przeprowadzali do niej, kiedy już byli przez nią odsunięci, swoje narzeczone, które otaczała czułą opieką i cichutko je dręczyła, uświadamiając życzliwie, jakie to bujne życie prowadził wybranek przed spotkaniem ukochanej. Jednemu nie można zaprzeczyć: sama nie zajmując się niczym pożytecznym wy kierowała na ludzi niejednego walkonia. W stosunku do swoich chłopców była wymagająca. Nienawidziła powszedniości. Dopóty wydobywała możliwości drzemiące w zwyczajnych, pozbawionych wysokich lotów chłoptasiach, aż wyrastały im skrzydła u ramion i nieraz, o dziwo, dawało to całkiem dobre rezultaty. Kiedy jej wysiłki zaczynały owocować, zmieniała się w niestrudzonego impresaria.

Zosia Jachimowska była niezwykle wdzięczną ofiarą Walkirii. Aczkolwiek sama chętnie kpiała z siebie w towarzystwie życzliwych jej ludzi, nie umiała nigdy spokojnie przyjmować jej złośliwych, mających zazwyczaj szeroki poklask żartów. Teraz odprężona po napięciu, jakie towarzyszyło wykonaniu podczas próby jej utworu, zresztą niezwykle udanemu, przysiadła w swoim trochę śmiesznym przebraniu, ale widząc zbliżający się orszak Walkirii, już rozglądała się spłoszona, dokąd by przed nią prysnąć. Na szczęście przybyłam w samą porę z odsieczą i zadziałałam skutecznie bronią Walkirii.

– Jak się masz, Magda – zawołałam. – Słyszałam, że uschłaś ostatnio z miłości, a wyglądasz jakbyś te sprawy na dobre zarzuciła.

Po tej bezlitosnej uwadze pod adresem Magdy, która wciąż bezskutecznie walczyła z nadmiarem wagi, ucałowałam ją i efekt był rzeczywiście znakomity. Rozmowa potoczyła się normalnie, wokół spraw aktualnych, a więc zaczęto na żywo komentować próbowane utwory.

W wieczór konkursu byłam piekielnie zdenerwowana. Specjalnie późno przyszedłam do garderoby, żeby nie dać się owładnąć tremie, którą zarazali się jedni od drugich. Jednakże i tak gdy konferansjerzy zapowiadali moje nazwisko, wydawało mi się, że nogi mam z ołowiu i nie dam rady unieść żadnej z nich, żeby wyjść zza kulis. Kiedy jednak zebrałam siły, w miarę jak schodziłam z wysokich schodów na proscenium, gdzie ustawiony był mikrofon, byłam coraz bardziej skupiona. Tysiące ciekawych, mniej i bardziej życzliwych spojrzeń stopiły się w jedno czujne wyimaginowane spojrzenie gdzieś powyżej szóstego rzędu krzeseł, gdzie miałam zwyczaj adresować swoje piosenki. Był to chwyt, którego nauczyli mnie aktorzy. Wtedy wiele osób na widowni ma wrażenie, że patrzę tylko na nich. W stale rosnący śpiew smyczków wmieszała się dyskretnie perkusja, dzieląc równiutko rozwijającą się coraz szerzej melodię. Już wczułam się w nastrój. Po agresywnej, pełnej ekspresji wokalizie chórkę zaczęłam śpiewać.

W połowie pierwszego canta na widowni było już cicho jak makiem zasiał, ale zaraz stała się rzecz straszna. W głośnikach rozległy się trzaski, a potem zawibrował wysoki, przenikliwy dźwięk i nastąpiła cisza. Mój nie wzmocniony mikrofonem głos z trudem docierał do zaledwie pierwszych rzędów krzeseł wielkiego, otoczonego drzewami amfiteatru. Zniecierpliwiona publiczność zaczęła głośno domagać się włączenia mikrofonów, rozległy się gwizdy. Dałam znak orkiestrze, by przestała grać, skłoniłam się publiczności i wyszłam. Gwizdy nie ustawały. Technicy nerwowo usuwali awarię w nagłośnieniu. Po piętnastu minutach, wypełnionych demonstracjami niezadowolonej publiczności, mikrofony działały bez zarzutu. Konferansjerzy z trudem opanowywali głośną widownię, a ja drżąca, ale niezwykle skupiona czekałam na swoje wejście.

Wbrew przewidywaniom zrozpaczonej Zośki, nieprzyjemne zdarzenie nie załamało mnie na tyle, żebym nie mogła ponownie wyjść na scenę, ale teraz już i reżyser, i dyrygent, i wszyscy życzliwi mi ludzie bali się o efekt mojego występu, o to, że nie uda mi się osiągnąć tego stanu skupienia, jaki miałam przed pierwszym wyjściem. Wszystkich, którzy uczestniczyli w perypetiach ze zgubioną partyturą, ogarnął, jak mi potem mówiono, lekki niesmak. Awaria mikrofonów podczas mojego występu wyglądała podejrzanie. Ale wszystkie te niepewne nastroje rozwiały się po odśpiewaniu przeze mnie piosenki. Publiczność zamarła na chwilę, a potem nie bacząc na rozpaczliwe starania konferansjerów zapowiedzenia kolejnego wykonawcy, wciąż domagała się, żebym wróciła na scenę. Niezmordowanie skandowano moje nazwisko. Ze łzami w oczach kłaniałam się i dopiero kiedy sama poprosiłam, żeby publiczność zaniechała już braw, bo inni wykonawcy zdenerwowani czekają na swoją kolej, zapanował spokój.

Wiadomość o tym, że zdobyłam główną nagrodę, przyniosła mi nieoficjalnie zawsze dobrze poinformowana Walkiria. Radość moja była tym większa, że współuczestnicy tego sukcesu, Zosia i Wacek Jachimowscy, też zdobyli uznanie jury jako autorzy, a Zosia dostała również nagrodę za najlepsze opracowanie utworu na orkiestrę.

Długo nie byłam w stanie ogarnąć całej wagi swego sukcesu. Po szarpiących nerwy zdarzeniach poprzednich dni nie mogłam wprost uwierzyć w tak szczęśliwy finał. Przyjmowałam gratulacje myśląc, że śnię, słuchałam pochwał jakby z boku, jakby dotyczyły one kogoś innego. Kiedy zgromadzona publiczność zobaczyła mnie wchodzącą na widownię, usłyszałam szmer podziwu i natychmiast przez szpaler służby porządkowej przedarły się w moim kierunku grupki młodych widzów zbierających autografy.

Koncert laureatów był dla mnie nerwowym apogeum na tym pamiętnym festiwalu. Atmosfera w czasie ostatnich godzin koncertu przypominała raczej jakiś radosny festyn. Rozbawiona publiczność sprawiała wrażenie lekko zawianej. Machano zrobionymi naprędce transparentami, zmuszano wykonawców do wielokrotnego bisowania. Nastrój graniczący już doprawdy z jakimś zbiorowym

opętaniem wzmagał się w miarę trwania koncertu. Pod koniec wydawało się, że brawa rozbrzmiewają same dla siebie. Protesty tych, którzy chcieli normalnie wysłuchać kolejnych piosenek, ginęły w powodzi gwizdów i krzyków aktywnej części widowni. W garderobach wykonawców, zmęczonych po kilkudniowym nerwowym maratonie i lekko odprężonych po ogłoszeniu werdyktu, zaczynało panoszyć się trudne do pokonania znużenie. Przyglądałam się zza kulis koncertowi i nie mogłam doczekać się swego występu, którym jako zdobywczyni głównej nagrody miałam zakończyć imprezę. Niekończące się bisy kolegów wydawały mi się trwać przez wieki. Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie stanęłam przed publicznością. Niemalże wniosłam ze sobą na scenę depeszę, której nawet nie zdążyłam odczytać, bo przyniesiono ją, kiedy już jedną nogą byłam na scenie. Mijając się w przejściu z konferansjerem, zdołałam się pozbyć krępującego ruchu rąk papierka, ale przez chwilę walczyłam z uczuciem ciekawości, od kogo jest ta depesza i co przynosi. To uczucie ciekawości rozpraszało mnie. Zmobilizowałam jednak wszystkie siły i już zupełnie opanowana zaczęłam śpiewać.

Na początku wszystko przebiegało jak podczas prób. Już po paru taktach czułam, że panuję nad publicznością. Kiedy zespół wokalny zaczął dzielnie rozprawiać się ze swoim skomplikowanym popisem, wydało mi się, że zaczyna się dziać coś niedobrego. Nie umiałam tego określić, ale czułam, że coś jest nie tak. Napięłam uwagę, wyteżyłam słuch do granic wytrzymałości i zaczęłam się bać, że słuch mnie zawodzi, bo chórek brzmiał czysto, ale jakiś potworny dysonans wydawał się psuć harmonię. I nagle zrozumiałam, co się stało: to blachy... Kilka instrumentów dętych grało zupełnie inne nuty! Pewnie skleiły się im strony – pomyślałam z przerażeniem, jednakże nie miałam czasu zastanowić się, co z tego wyniknie, ponieważ nastąpiła chwila, kiedy musiałam wejść ze swoim śpiewem. Wiedziałam, że zaczynam czysto, lecz fałszywy ton blachy urastał w mojej wyobraźni do grzmiących fanfarów. Faktycznie te obce nuty brzmiały dość cicho, ale przecież dostatecznie głośno, żebym mogła je słyszeć. Postanowiłam nie dać się zbić z tonu. Ale poczułam nagle, że coś mi się w krtani zamyka. Nie byłam w stanie nadać siły swojemu głosowi. Rozpaczliwie trzymałam się prawidłowej tonacji, ale śpiewałam jakby w gęstej mgłę, która wytłumiała natychmiast każdy wydany przeze mnie dźwięk. Orkiestra była coraz głośniejsza, dyrygent dyskretnie patrzył na mnie, zobaczyłem kątem oka, że ręce mu drżą. Crescendo w orkiestrze i chórze wykonane zostało bez mojego udziału. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że przebrnęłam już przez połowę utworu i denerwujący nieczysty dźwięk trąbek i puzonów wreszcie ustał. Mój głos zaczął torować sobie drogę przez paralizującą mgłę, ale najpiękniejszy, najbardziej drapieżny fragment utworu miałam już za sobą i ku swojej ogromnej męce nawet nie mogłam przypomnieć sobie jego trwania. Wybrzmiał ostatni akord i publiczność dosłownie wybuchnęła. Okrzyki domagające się bisów zabrzmiały w mych uszach jak szyderstwo. Była to może w tym momencie okoliczność dla mnie korzystna, mogłam za drugim razem zaśpiewać lepiej, udowodnić, że tamto było dziełem przypadku, że zasłużyłam na tę najwyższą nagrodę, ale już nie potrafiłam się do tego zmusić. Jedyne, na co było mnie jeszcze stać, to ukłon. Konferansjer przeprosił publiczność tłumacząc, że poczułam się źle, więc nie mogę bisować. I ku jego ogromnemu zdziwieniu publiczność natychmiast ustąpiła, przekonana zapewne nie tyle jego słowami, ile nieudanym występem laureatki.

Nikt nie podszedł do mnie, kiedy nerwowo przebierałam się w garderobie, nikt nie zauważył mego zniknięcia z amfiteatru. Zanim rozbawione tłumy wysypały się na ulice, zanim podnieceni koledzy i koleżanki poprzebierali się w swoje prywatne szaty i zaczęli radośnie skrzykiwać się na oblewanie sukcesów i topienie w trunku rozczarowań, dawno leżałam na tapczanie w swoim hotelowym pokoju, przy zgaszonym świetle. Nie zdjęłam płaszcza ani pantofli, z otwartych oczu płynęły po policzkach, uszach, tworząc mokre plamy na poduszce, łzy, których nie byłam w stanie powstrzymać.

Kiedy usłyszałam gwar i pośpieszne kroki na korytarzu, wstałam i przekręciłam klucz w drzwiach. Nie

myślałam się, szukano mnie, ale nie chciałam widzieć nikogo. Niech sobie pukają, ile im się chce.

– Aśka, Joasiu – odezwał się zdenerwowany głos Zosi Jachimowskiej. – Asiu, otwórz, przecież wiemy, że tam jesteś!

Milczałam.

– Otwórz Joaśka, do diabła, przecież wiesz, że to wszystko dotyczy w takiej samej mierze mnie, jak i ciebie. No, nie wygłupiaj się, wpuszczaj i już, bo sprowadzę straż pożarną i wykurzą cię stamtąd!

Usłyszałam szmery i wpadające z korytarza przez dziurkę od klucza światelko nagle zgasło. W zamian przyplął tą dziurką głos Zośki.

– Jak Boga kocham, Wacek, tam jest ciemno! Oknem wyskoczyła czy co? Jeszcze tego nam brakowało, żeby ta idiotka coś sobie zrobiła!

Tego już było za wiele. Żal w taki sposób wyrażony przez najlepszą przyjaciółkę rozbroił mnie. Przekręciłam prędko klucz w zamku i podtrzymałam Zośkę, która oparta o drzwi straciła równowagę i omal nie wylądowała u moich stóp. Jachimowski przekręcił kontakt i po pokoju rozlało się białe światło. Szybko schowałam się w łazience, żeby doprowadzić do porządku swoją rozmazaną twarz. Kiedy wróciłam do pokoju, Jachimowscy siedzieli przy stoliku w płaszczach. Żadne z nich nie miało odwagi czy też ochoty przemówić jako pierwsze. Popatrzyłam na nich milczących i zakłopotanych. Znowu ogarnęło mnie zdenerwowanie i wybuchnęłam:

– No, śmiało, zaczynajcie mnie beszczać. Mielicie taaaką (tu zrobiłam szeroki gest) szansę i ta Morawiec wam ją pogrzebała. Ulżyjcie sobie, należy wam się to, macie prawo, na co czekacie? Harowaliście tyle czasu, nie dawałam wam spać, obzerałam i co, wyszło wielkie gówno!

Zośka spojrzała na mnie, wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Idiotka, zwyczajna idiotka.

– O tym wiem i bez ciebie, dziękuję – piekliłam się dalej. – Tylko że ty wiedziałaś o tym już pół roku temu, sami chcieliście ten swój czas, te swoje pieniądze i wszystko we mnie ulokować.

– Ano, chcieliśmy, fakt – odrzekła spokojnie Zośka.

– I co?

– I nic. I trafiliśmy w dziesiątkę. To znaczy tak mi się wydawało, zanim zrobiłaś nam tu przed chwilą to całe przedstawienie.

Odjęło mi mowę.

– Zamurowało cię? – kontynuowała Zośka. – To dobrze, teraz ja sobie pokrzyczę. Po pierwsze nie miałaś prawa nie bisować. Jeżeli to było jakieś draństwo z tymi trąbami, nie mieliby odwagi zrobić tego ponownie. Po drugie...

– Zosiu! Więc ty też? A więc ty też słyszałaś te fałsze. To znaczy, że nie ogłuchłam, nie zgłupiałam, to nie była halucynacja!...

– Czy słyszałam? Dobrze sobie! Licho wie, co im się stało, myślałam, że wpadnę na scenę i rozbiję ich w pył. Gdyby mnie Wacek nie trzymał!...

Po niedawnym wybuchu znowu opuściły mnie siły. Nie mogłam zebrać myśli, miałam uczucie dławiącego żalu, którego w żaden sposób nie potrafiłam się pozbyć, tym bardziej że nie wiedziałam, do kogo i czego to uczucie mam odnieść. Zarówno dla mnie, jak i dla Jachimowskich było już nadto tych fatalnych zbiegów okoliczności, abyśmy mogli w nie uwierzyć. Prawdopodobieństwo, że wszystko to zostało starannie zaplanowane, było bardzo duże i na samą myśl o tym poczułam dreszcze. Komu mogło zależeć na tym, żeby mi przeszkodzić, kto i dlaczego, na litość boską, tak usilnie pragnął umniejszyć mój chyba zasłużony sukces? Tu, ponieważ byłam przesadna, natychmiast poskromiłam się za pychę. Byłam święcie przekonana, że to ta pewność siebie przyniosła mi pecha. Nigdy nie mogłam nawet sama przed sobą okazać zadowolenia z tego, co robię. Ostatnio czułam się wyjątkowo pewnie.



Żeby nie wiem jak była powściągliwa w stosunku do siebie, muszę przyznać, że tym razem mniej miałam sobie do zarzucenia niż zawsze dotąd. Nareszcie schodziłam ze sceny bez apatii, która niegdyś dręczyła mnie niemal po każdym występie. Przestałam również zadawać sobie pytanie, czy słusznie zrobiłam odrzucając możliwość korzystania z dyplomu filologa, bo dopiero teraz, po siedmiu latach uprawiania zawodu artysty estradowego uwierzyłam w jego celowość. Tak, tak – wyrzucałam teraz sobie – wpadałam w samouspokojenie i to mnie zgubiło...

– Zachowujesz się, jakby przekreślono wszystko, co osiągnęłaś – wybił mnie z rozmyślań głos Jachimowskiego. Spojrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie mówi do mnie już od pewnego czasu. I zrobiłabyś największe głupstwo, gdybyś tam nie poszła – dokończył i zamilkł.

– Dokąd znowu miałabym iść? – zapytałam zdziwiona.

– Jak widzisz, Waciu – roześmiała się Zośka – twoja cała uroczysta przemowa została wysłuchana w skupieniu.

Wacek też zaczął się śmiać, trochę z przymusem, ale za to głośno. Żał mi się go zrobiło i żeby mu dodać otuchy, także się roześmiałam. Po chwili wróciliśmy jednak do poprzedniego nastroju.

– Nie ma po czym odprawiać stypy – zawyrokowała nagle Zośka. – Nie ty jedna i nie ty pierwsza miałaś nieudany występ, a ponieważ nie stało się to z twojej winy, nie taki to znów dyshonor.

– Nie próbuj mnie pocieszać w głupi sposób. Wiesz doskonale, że publiczności nie bardzo obchodzi powód, dla którego ktoś jest niedobry. Liczy się efekt.

– Moja droga, w ten sposób dyskutować i załamywać ręce można by co najmniej trzy dni i do niczego byśmy nie doszli. Nie żegnasz się dziś, chwala Bogu, ze sceną i jeszcze nie raz udowodnisz, na co cię naprawdę stać. Jeżeli to było jakieś draństwo, to i tak nie na wiele się zdało, bo popsuło zaledwie jeden twój występ, ale przecież nie zamazuje ani nie niweczy w żaden sposób wszystkiego, co umiesz i do czego doszłaś. Ja też najpierw się wściekałam, ale plunęłam sobie prędko na to wszystko i od razu poczułam się lepiej. Asia, zrozumi, tego, do czego doszliśmy, nikt nam nie odbierze!

– Nikt nam tego nie odbierze! Świetny tytuł! – wypalił nagle od rzeczy Wacek. Tym razem cała trójka roześmiała się serdecznie.

– Rany boskie, depesza! – wykrzyknęłam i zerwałam się na równe nogi.

– Jaka depesza? – zapytali równocześnie.

– Przed samym wyjściem na scenę przyniesiono mi depeszę. Nie zdążyłam nawet zobaczyć od kogo. W ostatniej chwili odebrał ją ode mnie Mietek, bo on mnie zapowiadał.

– Jeżeli Mietek komuś nie przekazał tej twojej depeszy, nieprędko ją odczytasz, bo on prosto z koncertu pojechał do Warszawy, ma coś pilnego w telewizji – powiedział Wacek.

To chęć odnalezienia owej zapomnianej depeszy skłoniła mnie do pójścia na pożegnalną kolację, do udziału w której tak usilnie namawiał mnie Wacek Jachimowski. Kiedy się pojawiliśmy w „Zamkowej”, towarzystwo było już w nastrojach dalekich od oficjalnych. Poprzenoszone w różne kąty krzesła świadczyły o tym, że nikt uprzednio nie zajął miejsca, które by go w pełni zadowalało. Atmosfera wyraźnie się rozluźniła, poszły w ruch języki i zaczęto po swojemu komentować przebieg festiwalu. Nikt już nie obawiał się, że szczerym wyrażeniem swego zdania może sobie zaszkodzić. Zaczynały wychodzić na jaw różne fakty, które tłumaczyły rozmaite niezbyt zrozumiałe dotychczas decyzje i zdarzenia. Prawie każda z obecnych tu osób była lekko upojona, jeśli nie alkoholem, to sukcesem, jeśli nie sukcesem, to żalem do całego świata. Jediną osobą, która z całkowicie spokojną głową brylowała w tym zaprzątniętym tysiącem cudzych i własnych trosk tłumie, była Walkiria. Nie znaczy to, że nie włączała się w dyskusje. Przeciwnie, była wszędzie, choćby przez moment widziano ją w każdym wyizolowanym miejscu i to ona stawiała pieczęć na omawianych bez końca sprawach. Wolna od wszelkich obaw i powiązań, wygłaszała opinie tak śmiało i ostre, że inni słuchając ich natychmiast

miłki speszni, nie dochodząc ich prawdziwości. Nasze przybycie przyjęto znamienym wyciszeniem rozmów. Nikt jakoś nie robił aluzji do blamażu, jakim dla mnie był niewątpliwie koncert laureatów. Sprawę skomentowała natomiast z właściwym sobie brakiem taktu Walkiria:

– No, Joanna, masz rację, że nie dajesz za wygraną, musiałaś się komuś piekielnie narazić! Ale cię zrobili!

Cisza, która zapanowała w całej sali po tych słowach, sprawiła, że zapragnęłam natychmiast znaleźć się sama. Nie było co prawda w tej ciszy dezaprobaty dla mnie, bo spowodowało ją raczej wielkie zaskoczenie tym, że Walkiria odważyła się głośno wypowiedzieć coś, co dotychczas skrupulatnie przemilczano. Kiedy na nowo wybuchł gwar, dotyczył on, nikt już w to nie wątpił, pechowych zdarzeń, które nie opuszczały mnie w czasie tego festiwalu. Nikt nie negował sukcesu, jaki odniosłam, nie tyle zdobywając główną nagrodę, co gruntując sobie szacunek i uznanie środowiska. Jeśli chodzi o spóźnioną trójkę bankietowiczów, to panowała wśród nas milcząca zmowa, żeby w miarę możliwości unikać roztrząsania bolesnego tematu.

Poszukiwanie telegramu wręzonego Mietkowi nie przyniosło rezultatu, widocznie włożywszy go do kieszeni on sam o nim zapomniał. Nie bardzo uspokojona pocieszaniem Zośki, że pewnie depesza nie zawierała nic ważnego, nalegałam na powrót do hotelu. Wreszcie postawiłam na swoim i wsiadłyśmy obie do taksówki, zostawiając w „Zamkowej” Wacka, który korzystając z okazji chciał porozmawiać z kilkoma trudno osiągalnymi w Warszawie osobami i załatwić kilka spraw.

W recepcji portier zawrócił nas ze schodów. Wyjął spod kontuaru zmiętą depeszę i powiedział, że pan Miecio (tak familiarnie nazywał znanego konferansjera) zostawił ją w recepcji zaraz po koncercie, ale jego poprzednik zapomniał ją posłać na górę. Drżącymi palcami przerwałam stempel telegramu. Przebiegłam raz i drugi kilka naklejonych na taśmie słów i bezsilnie oparłam się o ścianę. Zośka wyrwała mi z rąk zmięty papier. Nie pytając o pozwolenie przeczytała: „Przyjeżdżaj natychmiast, matka ciężko chora” i żadnego podpisu. Zośka nie była w stanie mnie pocieszać, bo sama była cała ścierpnięta. Zła passa, jak widać, wcale nie miała ochoty składać broni.

Po chwili odrętwienia ruszyłam jak we śnie na górę. Wszystkie do niedawna tak wielkie zmartwienia jakby zapadły się pod ziemię. Te trzy słowa: „matka ciężko chora” urosły nagle do monstualnych rozmiarów, ich ciężar przygniótł mnie tak, że traciłam dech. Machinalnie otworzyłam drzwi, zapaliłam światło, podeszłam do telefonu i wykręciłam numer centrali międzymiastowej, zupełnie nie pamiętając tych wszystkich czynności. Dlatego energiczny głos matki, który za chwilę popłynął do mnie ze słuchawki, przyprawił mnie o mocny dreszcz. Jeszcze błąkało się w mych myślach błaganie, które musiałam szeptać od dawna: Boże, Boże, spraw, żeby nie było za późno!

– Halo, mamó! Mamó, to ty? – powiedziałam chrapliwym głosem, przetykając ślinę.

– Ja, córeczko. Co się z tobą dzieje, nie jesteś chora?

– Mamó, jak się czujesz, mamó?

– Dobrze, kochanie, gratuluję sukcesu, widziałam cię w telewizji, ale dziś, jak sama wiesz, nie byłaś w najlepszej formie. Czy na pewno nie jesteś chora?

– Ależ skąd, mamó, daj spokój tym sprawom, powiedz, co się u ciebie działo. Dopiero w tej chwili dostałam depeszę.

– O jakiej ty, dziecko, depeszy mówisz, w ogóle cię nie rozumiem! Powiedz, o co chodzi?

– Mamó, o Boże, naprawdę dobrze się czujesz?

– Naturalnie. No, dajże wreszcie spokój! Co ci to przyszło do głowy?!

– I nie chorowałam?

– Czemu miałabym chorować? Świetnie się czuję. Zaraz, zaraz, mówiłaś coś o depeszy, tak?

– Tak. Dostałam wiadomość, że powinnam natychmiast przyjechać, bo... bo jesteś, mamó, bardzo

chora.

– Nie zawracaj sobie, dziecko, tym głowy, to jakaś fatalna pomyłka pocztowa. Uważaj na siebie. Jeszcze raz serdecznie wieszuję ci sukcesu.

– Mamo – powiedziałam, ale już usłyszałam stuk odkładanej słuchawki. Odłożyłam więc również swoją i złapałam Zośkę w objęcia.

– To pomyłka, pomyłka! – śpiewałam. – Tam wszystko jest w porządku!

Ku memu zaskoczeniu Zośka nie podzielała entuzjazmu. Sprawa fałszywej depeszy mocno nią wstrząsnęła. Nie ukrywała, że podejrzewa, iż nie była to pomyłka pocztowa, lecz jeszcze jedno wielkie draństwo. Ale tak byłam uszczęśliwiona tym, co usłyszałam od mamy, że nie chciałam już zawracać sobie głowy jakimiś intrygami. Tak naprawdę nie chciałam o nich myśleć także z tego powodu, że mnie przerażały, tym bardziej że nie byłam w stanie zrozumieć, skąd się biorą. Dlatego odsuwałam je od siebie i rozmyślnie koncentrowałam się na rozmowie z matką.

Przesiedziałyśmy z Zosią jeszcze pół godziny. Nazajutrz o świcie Jachimowscy mieli wyjechać na urlop, więc wykorzystywałam skwapliwie do ostatniej chwili obecność przyjaciółki, która porządkując nuty, udzielała mi rad. Niedługo zjawił się Wacek i pożegnaliśmy się. Po ich odejściu chciałam zasnąć, ale nie mogłam. Leżąc z otwartymi oczami i przeżywając wciąż na nowo pełne niezwykłych zdarzeń dni, utwierdziłam się w postanowieniu, że zaraz rano najbliższym pociągiem udam się do Warszawy, wezmę potrzebne rzeczy i pojedę samochodem do rodziców.

Jestem tu od tygodnia i korzystając z tego, że mam dużo czasu, opisałam te wszystkie zdarzenia. Ewa, moja młodsza siostra, zdała właśnie maturę. Jest bystra, wiedziałam, że przez to przebrnie. Obiecałam, że przy okazji moich występów w Niemczech i Szwajcarii urządzimy sobie wycieczkę po Europie. Nie wie, że paszporty i wizy już czekają, aż upora się z egzaminami na studia. Cieszę się, że mogę komuś z moich bliskich zrobić taką frajdę.

\*       \*  
\*       \*

Porwana wspomnieniami. Odłożyłam na chwilę pamiętnik. Myśli moje poszybowały do tamtego pamiętnego roku...

Nie mogłam uwierzyć w to, że Aśka rzeczywiście dotrzyma słowa. Na drugi dzień po zdaniu matury zabrała mnie do Warszawy, gdzie wydano mi mój najprawdziwszy paszport, a w nim aż pięć wiz! Nieprawdopodobne, że zdołała to pozalać sama, chyba zadziałała tu jej sława. Po naszym powrocie mama załamana ręce.

– Na litość boską, Aśka, coś ty wymyśliła?! Osiem tysięcy kilometrów tym gruchotem? Ja was nie puszcze!

Aśka kupiła sobie za pieniądze zarobione na amerykańskim tournée używanego garbusa. Miała z nim same kłopoty. Wydawała masę na benzynę, bo ze strachu nie jeździła na żadnym innym biegu, tylko na dwójce. Palił więc dwa razy więcej, niż powinien i pracowała głównie na niego. Najpierw zapożyczyła się, żeby zapłacić cło. Kiedy uregulowała wreszcie ten dług, zaczęły się naprawy. Mama przepowiadała, że to wszystko nie może się dobrze skończyć, tym bardziej że za namową mojej siostry i ja przed samą maturą zrobiłam prawo jazdy.

Przed wyjazdem Aśka siedziała po nocach i na wielkiej mapie Europy wytyczała trasę. Potem poleciła mi sporządzić specjalną mapkę według jej instrukcji oraz spis miejscowości, przez które będziemy przejeżdżać. Byłam tak podniecona przygotowaniami do podróży, że o mały włos nie oblałam egzaminów na Akademię. Prawdopodobnie uratował mnie rysunek. Mama wytworzyła taką atmosferę, że zaczęłam się naprawdę bać, zwłaszcza przejazdu przez Alpy. Na szczęście tata kibicował naszym poczynaniom i dodawał nam otuchy. W ostatniej chwili Aśka zaczęła żałować całego przedsięwzięcia, bo miał się pojawić w Polsce jej legendarny Modi, na którego każde skinienie była zawsze gotowa, chociaż zjawiał się raz na parę lat. Nie miała jednak wyjścia, bo popodpisywała kontrakty. Właściwie Aśka wciąż podróżowała z obcymi ludźmi. Kiedy wracała skądś, gdzie musiała pobycić dłużej, zaraz przyjeżdżała do nas i witała nas takimi wybuchami radości, jakbyśmy ocaleli z jakiejś kosmicznej katastrofy albo zmartwychwstali. Wierzyła w sny, karty, czarne koty i na pewno w jej wybujałej wyobraźni byliśmy nie raz pogrzebani. Na cały okres naszego pobytu za granicą chciała rodziców wywieźć do ciotki, żeby nie czuli się samotni i mieli w razie czego jakąś opiekę. Mama jednak kategorycznie zaprotestowała. Powiedziała, że nie ruszy się z domu i już. Wobec tego Aśka przeprowadziła odpowiednią agitację wśród sąsiadek, żeby czuwały nad rodzicami i w połowie lipca ruszyliśmy na podbój Europy. Miałyśmy w bagażniku około czterdziestu puszek konserw, przygotowane przez mamę sznycle zatopione w smalcu, jakieś zupy w proszku, dmuchane materace, kołdrę, koce i namiot. Cała moja klasa pękała z zazdrości.

Na początku podróż przebiegała idealnie i zgodnie z planem. Przenocowałyśmy w Zgorzelcu, a rano przejechałyśmy granicę. Spokojnie dojechałyśmy do Drezna i obejrzałyśmy tam galerię. Była to dla mnie niesłychana frajda, ale Aśka popędzała, bo nie dość, że widziała to wszystko parę razy, to musiała zdążyć na następny dzień do Frankfurtu, gdzie miała pierwszy występ w telewizji. Jechała z gotowym nagraniem, ale bała się, że zechcą jednak sami wszystko realizować. Wieczorem dobrnęłyśmy do Eisenach i uparłam się, żeby zwiedzić Zamek Wartburga. Miasto o godzinie dziewiętnastej wyglądało na uśpione. Z planem w rękę wędrowałyśmy pod górę. Kiedy dotarłyśmy na szczyt, było zupełnie ciemno. Wrota prowadzące na dziedziniec były zamknięte na siedem spustów, żadnego światła, a pośród bezksiężycowej nocy masywna budowla sprawiała wrażenie ponure. Aśkę rozboleła głowa, przewidywała, że skończy się to migreną. Odpoczęłyśmy chwilę na kamiennej ławce pod murami zamku i zaczęłyśmy wracać. Nie przewidziałyśmy, że zawieszona na słupach lampa, które zauważyłyśmy

przy wspinaczce, mogą nie służyć do tego, żeby wieczorem oświetlać drogę, którą otaczały olbrzymie drzewa. Aśka raz po raz potykała się o kamienie w swoich gumowych klapkach na jeden pasek, aż zaczęła kłać jak szewc, a ja podejrzliwie penetrowałam wzrokiem nieodgadnione kształty krzaków, bo każdy z nich wydawał mi się niedźwiedziem, mamutem czy czymś w tym rodzaju. Byłam głodna, przerażona, ścisnęłam Aśkę kurczowo za rękę, co ją złościło, i w ogóle zaczynałam mieć tego wszystkiego po dziurki w nosie. Wreszcie zobaczyłyśmy za gałęziami jakieś zamazane światło i jak ćmy poderwałyśmy się w tamtą stronę. Aśka zaczęła obsuwać się gdzieś w dół, a ja ponieważ byłam do niej uczepiona, z nią razem. Miałam jeszcze na tyle przytomności, że objęłam pierwszy lepszy namacalny pień drzewa i zaczęłam ciągnąć Aśkę do góry. Wygrzebałyśmy się po jakimś czasie, ale pomyliłyśmy drogi i nadłożyłyśmy ze trzy kilometry, wychodząc aż za miastem. Kiedy dotarliśmy do pierwszych domów, straszna przed chwilą przygoda nareszcie wydała nam się śmieszna. Aśka, odprężona wyjściem z impasu, pozbyła się bólu głowy.

Byłyśmy tak głodne, że postanowiłyśmy zjeść cokolwiek gdziekolwiek, zanim dotrzemy do hotelu. Ale jedyny napotkany w niedoświetlonym NRD-owskim raju barek był zaludniony wyłącznie mężczyznami żłociącymi piwo. Kiedy doczłapałyśmy do hotelu, nie miałyśmy już apetytu. Aśka niosła swoje klapki w rękę i szła po schodach na piętach, z uniesionymi palcami, bo miała je dokładnie poobtłukiwane. Weszłyśmy razem do łazienki. Przepychając się przed umywalką, umoczyłyśmy symbolicznie po jednej łapie jak koty. Aśka umyła jeszcze obolałe stopy i runęłyśmy na łóżka. W rurach łazienki trwał głośny koncert na trąby i puzony, ale spało nam się przy tym doskonale.

O szóstej, gdy zadzwonił telefon, stanęłyśmy obie na baczność, ale ja dałam nura z powrotem pod kołdrę i udawałam, że śpię twardo, podczas gdy Aśka hałasowała w i tak dostatecznie głośnej łazience. Kiedy się uporała ze swoją toaletą, zerwała ze mnie kołdrę i ściągnęła mnie za nogi na podłogę. – Sadystka! – krzyknęłam, bo stłukłam sobie łokieć, ale musiałam wstać.

Zanim się ubrałam, Aśka wyniosła rzeczy do samochodu. Zjadłyśmy szybko śniadanie i o ósmej byłyśmy na granicy. Prawie do Frankfurtu jechało nam się wspaniale, autostradę zagęszczali sami dżentelmeni przy kierownicach. Zaprzyjaźniałyśmy się co jakiś czas na parę minut z różnymi jadącymi obok samochodami. Dopiero przy zjeździe z autostrady się zaczęło: Aśka miała wciąż kłopoty z ustawieniem się na odpowiednim pasie, nie umiała wykorzystać ułamków sekund, kiedy można było się wpasować w jakąś lukę. Dojeżdżałyśmy kilka razy do jakiegoś runda i dopiero kiedy policjant zobaczył nas tam po raz czwarty, ze zrozpaczonymi minami, zatrzymał sznur samochodów i pomógł nam wydostać się z matni. Do studia dotarliśmy na dziesięć minut przed wyznaczoną godziną i moja siostra, rozdygotana i spocona jak mysz, dowiedziała się, że musi śpiewać z orkiestrą na żywo.

Podczas gdy Aśka omawiała sprawy swego występu, oddelegowano jakiegoś przystojnego chłopca, żeby mi towarzyszył. Czas leciał nam szybko, bo zanim doszłam z nim do porozumienia, czy mam wypić kawę ze śmietanką czy bez (nie rozumiałam ani w ząb po niemiecku), moja siostra była gotowa do wyjścia. Wypiłam ostatecznie kawę z mlekiem, a Aśka... załatwiła kierowcę! Nie miała odwagi sama wyruszyć na poszukiwanie hotelu. Poczciwy „garbus” w rękach naszego przewodnika chodził jak zegarek, silnik pracował cichutko, równiutko i w tłoku pędzących agresywnie samochodów zachowywał się podobnie jak one.

Trzy dni pobytu we Frankfurcie dla mnie były kompletnym odpoczynkiem. Snułam się samotnie po mieście, ponieważ z Joanną spotykałam się tylko na posiłkach. Oglądałam oszałamiające wystawy, ale nie mogłam sobie kupić nic poza sokiem czy paroma bananami, bo ta kutwa Aśka wszystkie pieniądze, jakie jej wypłacili, chomikowała na benzynę. Okazało się, że musimy zostać we Frankfurcie dłużej, niż planowałyśmy, ponieważ zaproponowano Aśce nagranie jej dwóch piosenek dla radia. Dzięki temu środki obrotowe na naszą wycieczkę wzrosły i mogłam sobie kupić wspaniałe dzinsy, o jakich marzyłam

ładnych parę lat. Podniosło mnie to wyraźnie na duchu i zmusiłam się do załatwienia korespondencji, o bardzo zresztą entuzjastycznej treści. Zanim nagrania doszły do skutku, zawieziono nas na wycieczkę w dolinę Renu. Jechaliśmy z bardzo sympatyczną parą małżeńską ich samochodem. Oboje byli pracownikami telewizji, ona montażystką, a on reżyserem widowiska, w którym uczestniczyła Aśka. W dodatku byli poliglotami i nareszcie rozumiałam, co się do mnie mówi, bo dla mojej siostry, mimo że z wykształcenia była tylko romanistką, bariery językowe chyba w ogóle nie istniały.

Pod skałą Lorelei, gdzie rusalki zwabiały flisaków, Aśka zrobiła istne przedstawienie. Odwróciła się twarzą do rzeki i mamrotała jakieś zaklęcia. Myślałam, że z przepracowania dostała bzika, a okazało się, że modli się do swego Modesta, żeby go do siebie zwabić. Niestety słaba z niej była czarownica.

Nasze plany zwiedzania musiałyśmy w drodze do Szwajcarii trochę ograniczyć, bo Joannę z powodu dodatkowo nagranej płyty znowu poganiały terminy. Zatrzymałyśmy się na dwie godziny w Baden-Baden, ale posiłki jadłyśmy w czasie jazdy; ja otwierałam konserwy i rozkładałam serwetki. Czasem zatrzymywałyśmy się na parkingach przy autostradzie, gdzie przy stolikach ustawionych pod drzewami popijałyśmy kawę z termosu. O północy przejechaliśmy granicę szwajcarską, ale o kilometr dalej zjechaliśmy z drogi, bo Joasia oświadczyła, że nie da rady prowadzić już ani kilometra. Chciałam zasiać przy kierownicy i dowlec się do Szaftchausen, ale się nie zgodziła. Wjechaliśmy w kukurydzę i zwinięte na siedzeniach, ona z przodu, a ja z tyłu, bez pościeli, przykryte kocami spałyśmy jak susły. Rano, kiedy doprowadzałyśmy się do stanu, w jakim mogłybyśmy przedsięwziąć dalszą podróż, przyjechał na rowerze właściciel kukurydzy i zapytał, jak długo mamy zamiar biwakować na jego terenie. Joasia długo mu coś tłumaczyła, wyczerpując całą gamę swoich uśmiechów i minek. Dał się udobruchać, ale poczekał nieopodal, aż odjedziemy, i dopiero wtedy wsiadł na swój rower i oddalił się.

W Szaftchausen zjadłyśmy śniadanie w piwnicznym barze jakiegoś domu towarowego, umyłyśmy się w fontannie na cichym skwerku i zapłaciłyśmy mandat za zaparkowanie samochodu w niedozwolonym miejscu; a więc nie dostałam obiecanego zegarka z wielką kolorową tarczą.

– Jak będziesz mnie bez przerwy na coś naciągać, wyślę cię pierwszym pociągiem do domu – wrzeszczała Aśka, wściekła, że jej umizgi do policjanta na nic się nie zdały, bo i tak musiała zapłacić słony mandat. – Zachowujesz się jak małe dziecko!

– Ty się tak zachowujesz! – oburzyłam się. – Nie patrzysz na żadne znaki i potem masz pretensję do mnie. A zegarek sama obiecałaś, nie powiedziałam na ten temat ani słowa.

Jechaliśmy z takim pośpiechem przez cudowne szwajcarskie krainy, że wyglądało na to, iż rzeczywiście uda nam się na wieczór dotrzeć do ZÜRICHU. Byłoby to pewnie możliwe, gdybym nie zasnęła. Aśka bez pilota pomyliła drogi, bo gapiała się na żaglówki na Jeziorze Bodeńskim i niespodziewanie stanęłyśmy przy szlabanie granicznym pod Konstancą. Obudziła mnie natychmiast i besztowała tak, że nie mogłam się skupić, żeby zwracać uwagę na to, czy prawidłowo jedziemy. W Arbon zrobiliśmy sobie przerwę i poszliśmy do portu.

Jachty, które zobaczyłyśmy, poprawiły nam humor na resztę dnia. Tuż przed Rapperswill Joanna zahamowała tak, że omal nie wpadłyśmy do rowu.

– Popatrz! – rozkazała i wybiegła przyglądać się jakiejś olbrzymiej tablicy z niezrozumiałymi dla mnie napisami i parą błękitnych, wesołych ryb, jakby żywcem wyciętych z amerykańskich komiksów.

– Na co mam patrzeć? Na ten kicz? – spytałam niechętnie, bo bałam się, że nie zdążymy do ZÜRICHU i znowu będziemy nocować w jakiejś kukurydzy czy kapuście.

Joanna popukała się w czoło i powiedziała:

– Rzeczywiście, Matołku, zapomniałam, że mam do czynienia z analfabetką! Czy nawet słowa „delfinas show” nic ci nie mówią?

Natychmiast odzyskałam humor.

– Występy delfinów! – zatańczyłam z zachwytu. Miłość do zwierząt była chyba naszą jedyną wspólną cechą.

– Skręcamy? – rzuciła Aśka retoryczne pytanie.

– A coś ty myślała?

W dole tablicy była maleńka mapka, która pokazywała drogę do „Kinder zoo”, gdzie miały popisywać się delfiny. Przerysowałyśmy mapkę i za kwadrans byłyśmy na miejscu. Wiadomość z tablicy była prawdziwa. Wykupiłyśmy bilety i weszłyśmy do „Kinder zoo”.

Było to coś w rodzaju lunaparku, bo oprócz basenu z delfinami, który otoczony był amfiteatrem, w rzeczonym zoo były jeszcze trzy mały, a poza tym zjeżdżalnie, huśtawki, karuzele, maleńkie wagoniki i lokomotywy oraz kawiarenka. Do występu naszych faworytów zostało dwadzieścia pięć minut, poszłyśmy więc na kawę, a potem ku zdumieniu rodziców, którzy podprowadzali swoje pociechy do kolejnych atrakcji „Kinder zoo”, wypróbowałyśmy wszystkie urządzenia. Na zjeżdżalni była zadra i rozdarłam swoje wspaniałe nowe dzinsy, na szczęście w niezbyt widocznym miejscu.

Delfiny spisały się na medal. Sprostały wszystkiemu, czego od nich oczekiwałam po przeczytaniu wspaniałej książki *Zwierzę obdarzone rozumem*. Nie chciały tylko mówić, chyba dlatego, że nie знаły niemieckiego, bo były tam tylko na gościnnych występach, a przyjechały aż z Florydy.

Obejrzenie delfinów odprężyło nas znakomicie. Aśka czuła się wypoczęta, a więc dotarliśmy przed wieczorem do Zürichu. Hotel odnalazłyśmy bezbłędnie, ale czekała na nas w holu przyjaciółka Aśki z okresu studiów, która była tu solistką opery, i nie chciała słyszeć o tym, że w nim zostaniemy. Zabrała nas do siebie. W ten sposób Aśka miała do dyspozycji pianino i mogła trochę popracować przed występami. Przyjaciółki zamknęły się w sypialni i gadały bez końca, a mnie zapędziły do robienia kolacji. Uporałam się z tym szybko, bo produkty sprzedaje się tam tak przygotowane, że tylko wrzuciłam wszystko na patelnię, podgrzałam i przybrałam. Siłą wyciągnęłam gaduły z sypialni. Maria miała tego wieczoru premierę, ale obiecała wrócić możliwie wcześniej i pokazać nam nocne życie Zürichu. Brzmiało to zachęcająco. Wróciła jednak godzinę po północy i nie miała sumienia zrywać nas z łóżek, bo podobno spałyśmy chrapiąc na dwa głosy.

Koncert radiowy Joanny spotkał się z przychylną oceną. Transmitowano go na żywo, przy publiczności. Była mowa o tym, że wpłynie prośba do Pagartu o ponowny jej przyjazd.

Czekały nas jeszcze tylko jej występy na Międzynarodowych Targach w Lozannie i miał być to koniec obowiązków, a potem podróż do upragnionej Hiszpanii. Trzy dni dzielące nas od występów w Lozannie postanowiłyśmy poświęcić na rozejrzenie się po Alpach. Pomna przestroż mamy, próbowałam odwieść od tego pomysłu Joannę, ale nie ustąpiła. Opuściłyśmy Zürich wczesnym rankiem, szczerze obdarowane ślicznymi głupstewkami przez jej przyjaciółkę, i ruszyłyśmy do Interlaken przez Lucernę.

Droga była piękna, widoki nieprawdopodobne, a moje napięcie nerwowe na biegnących nad przepaściami serpentynach dochodziło do zenitu. Wprawdzie Aśka była niezwykle skupiona, jechała znacznie pewniej niż na początku podróży, ale ilekroć spojrzalam gdzieś w dół, dostawałam gęsiej skórki. W Interlaken było zimno i musiałyśmy wyciągnąć ciepłe kurtki. Zostawiłyśmy samochód przy parkometrze, co zepsuło humor mojej siostrze, i postanowiłyśmy kolejną wspiąć się aż do Grindelwaldu. Bilety nadszarpnęły nasz budżet benzynowy, ale zafundowałyśmy sobie jeszcze wjazd kolejką linową na zbocze Schreckhornu, skąd mogłyśmy dojść do lodowca.

W drodze powrotnej znalazłyśmy się niespodziewanie w chmurze, a było to na wysokości około trzech tysięcy metrów, i zmokłyśmy do suchej nitki. Nie miałyśmy odpowiednich butów i ślizgałyśmy się schodząc w dół po kamienistej ścieżce. Przy stacji kolejki zamknęłyśmy się w toalecie i pod suszarką do rąk potrzymałyśmy mokre kurtki. Bez żalu zjechałyśmy w dół do Interlaken, bo niebotyczne szczyty

nawet na chwilę nie chciały się wyłonić spoza chmur na nasze spotkanie.

Lało aż do Gstaadu, gdzie daremnie szukałyśmy hotelu w przystępnych cenach. Joaśka wszystkie zarobione waluty przeliczała na benzynę, co wydawało mi się dość dziwaczne. Dopiero pod koniec podróży musiałam przyznać jej rację.

Jechałyśmy ku lodowcowi Diablerets daremnie szukając kempingu.

– Mam to wszystko w nosie – oświadczyła Aśka zajeżdżając na jakiś placyk.

W dali po przeciwnej jego stronie majaczyły ściany ciemnego budynku. Otaczały nas wysokie, porośnięte krzewami skały.

– Rozbijamy namiot? – zapytałam rzeczowo.

– Rób, co chcesz, ja się kładę na siedzeniu.

Owinęła się w koc i za chwilę spała.

Nie miałam innego wyjścia, jak pójść w jej ślady, tylko że ja wyciągnęłam sobie z bagażnika kołdrę, aby się nią owinąć. O świcie poczułam, że ktoś szarpie mnie za ramię. Niechętnie otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą bladą, sinoustą, szczękającą zębami siostrę.

– Wstawaj, Ewka, jedziemy stąd, do diabła!

– Co się stało, masz febrę? Aśka była już ubrana i wyglądała tak, jakby mocno przytyła. Po chwili uświadomiłam sobie, że wciągnęła na siebie cztery swetry i kurtkę. Kiedy wychyliłam się ze swojego kołdrowego kokonu, poczułam, że zaczynam dygotać.

– Co to jest, u licha, przespałyśmy tu jesień i mamy już Boże Narodzenie? – próbowałam żartować.

– Zrobiłam rekonesans – poinformowała mnie Aśka. – Wiesz, Matofku, gdzie jesteśmy? U czoła lodowca Diablerets! Przy wyciągu na szczyt!

Spojrzałam na nasz mały termometr umieszczony pod lusterkiem. Wskazywał dwa stopnie poniżej zera! Zaczęłyśmy pośpiesznie układać rzeczy w samochodzie. Aśka polala swoje zgrabiałe ręce ciepłą herbatą z termosu, bo nie mogła przekręcić kluczyka w stacyjce. Okutana w koce, z podciągniętymi pod brodę nogami siedziałam obok niej i modliłam się, żeby jak najszybciej zjechać w dół, ku obiecująco nasłonecznionym dolinom. Połyskujące kryształowo zbocze Diablerets które zostawiłyśmy za sobą, nie wabiło mnie nic a nic, wbrew mojej, jak sądziłam, dozgonnej miłości do wysokich gór pokrytych wiecznym śniegiem. Kiedy zjechałyśmy wreszcie w dolinę Jeziora Genewskiego, słońce było dość wysoko i nareszcie zaczęło się robić nam ciepło. Tuż przed Montreux znalazłyśmy zaciszną boczną dróżkę, prowadzącą, jak się okazało, do jakiegoś klasztoru, gdzie mogłyśmy się swobodnie przebrać. Joanna umalowała się starannie, a nawet pozwoliła, żebym i ja położyła sobie błękitne cienie na powiekach. Śmieszyło mnie to ciągle traktowanie mnie jak dziecko, chociaż już od roku paliłam papierosy, od dwóch lat nałogowo całowałam się z chłopakami i malowałam sobie rzęsy. W dodatku byłam przecież po maturze i nawet przyjęto mnie na studia. Ale niech jej tam, dziwactwa dorosłych trzeba czasem traktować z pobłażliwością.

Położone na zboczu góry, zabudowane secesyjnymi pałacyko-hotelami o śnieżnobiałych murach Montreux było prześliczne. Przeofilowałyśmy nadbrzeżną promenadą i zjadłyśmy śniadanie w drugstorze przy plaży.

Podobne plany miałyśmy na Vevey, ale zostały udaremnione i cała nasza dalsza podróż stanęła pod znakiem zapytania. Odeszłyśmy zaledwie parę metrów od samochodu. Joanna szła tyłem, zachłystując się widokami wyłoczonego słońcem jeziora otoczonego górami i zazdrośnie śledząc balansującego za motorówką narciarza.

– Popatrz Aśka, jaki piękny! – krzyknęłam pokazując jej wspaniałego brązowego pudła, bo byłyśmy miłośniczkami psów.

W odpowiedzi usłyszałam potężny huk. Moja siostra stała oparta czołem o potężny pień platanu



i zaczynała się obsuwać w dół.

– Co się stało? – zapytałam, podbiegając, żeby ją podtrzymać.

– Nie wiem – odparła cicho. – Chyba się uderzyłam, ale strasznie!

W mig pojęłam, jak to się stało. Ponieważ maszerowała tyłem, na mój okrzyk musiała odwrócić się gwałtownie i wpadła na platan. Czym prędzej podprowadziłam ją do najbliższej ławki. Z przerażeniem zobaczyłam, że na jej czole, tuż nad oczami, wyrasta szybko coś ogromnego.

– O, Boże! – jęknęłam. – Co teraz zrobimy?

– Nie wiem. Muszę posiedzieć.

Namoczyłam w jeziorze chusteczkę i położyłam ją na czole Aśki. Zobaczyłam, że zrobiła się zielona i ręce trzęsą się jej niemożliwie.

– Muszę znaleźć lekarza.

– Nie, odpocznę godzinę i zawieziesz mnie do Lozanny, tam nam pomogą.

Pomysł wydał mi się rozsądny. Przypomniałam sobie o słoiku grzybków w occie, który wbrew protestom Aśki wpakowałam do bagażnika. Wyjęłam go, odcedziłam grzybki przez mokrą chustkę i położyłam ją na czole denatki. Uroki Vevey uszły zupełnie mojej uwadze. Siedziałam z nosem na kwintę i wpatrywałam się z napięciem w Joannę. Ku mojej radości opatrzony kleistym octem od grzybków guz zaczął wyraźnie się zmniejszać.

Po godzinie z przerażeniem w oczach prowadziłam samochód w kierunku Lozanny. Na teren targów dojechałam jak po sznurku, bo na każdym skrzyżowaniu umieszczone były kolorowe strzałki z napisem „Foire”.

Stan Joanny poprawił się na tyle, że z przewiazaną szyfonowym szalikiem głową, co wyglądało nawet dość efektownie, siląc się na uśmiech weszła do pawilonu polskiego. Powitano nas z entuzjazmem. Opowiadana przeze mnie z przejęciem przygoda Aśki wywołała u słuchaczy wybuchy radości. Uznano, że wygląda doskonale, w opasce maskującej guza jest jej do twarzy, a kieliszek dobrej polskiej wódki ostatecznie postawi ją na nogi. Moje protesty na nic się zdały. Aśka posłusznie wychyliła kieliszek i albo nadrabiała miną, albo rzeczywiście jej to pomogło.

Prawie przez godzinę wszystko było dobrze, ale kiedy zbliżał się czas próby, wybiegła nagle i za chwilę wróciła zielona. Zrozumiałam, co się święci, bo przypomniałam sobie, że wymioty mogą być objawami wstrząśnienia mózgu. Zaczęłam domagać się sprowadzenia lekarza. Ona tymczasem zobojętniała na wszystko, przycichła, siedziała jak kukła z przyklepionym do ust półprzytomnym uśmiechem.

Jakiś targowy konował, który więcej zaglądał nam obu w oczy i lustrował nogi niż interesował się czołem Joanny, orzekł, że bez badania rentgenowskiego nie potrafi postawić diagnozy, ale na jego oko nie jest to nic poważnego. Wystarczy, jak Mademoiselle prześpi się i odpocznie.

Mademoiselle odpoczęła, potem pozwoliła się zawlec na próbę, zaśpiewała swoje kancony i z godną podziwu dzielnością wystąpiła na wieczornym koncercie. Wyglądała dość dziwnie. Jej zazwyczaj wielkie, skośnie osadzone oczy przypominały teraz oczy Chinki. Czoło miała obwiązane czarną chustką, żeby pasowała do jej prostej sukni. Weszła na scenę jak egzotyczna zjawia i występ ten nie należał do jej najlepszych, chociaż i tak się spodobał. Dowiozłam ją do hotelu i położyłam do łóżka. Koncerty miały się odbywać w ciągu całego tygodnia, ale cały ten tydzień Joanna przeleżała. Na szczęście organizatorzy imprezy zachowali się ładnie i wypłacili jej całą kwotę, na którą opiewał kontrakt, co pozwoliło nam postawić ją trochę na nogi. Zdjęcie rentgenowskie nie wykazało urazu czaszki, ale doszło jednak, czego się obawiałam, do lekkiego wstrząśnienia mózgu. Łykała jakieś kolorowe tabletki, chudła, a po tygodniu, trochę ryzykując, postanowiliśmy wyruszyć w dalszą drogę.

Ponieważ miałam prowadzić wóz, dopóki Aśka nie skończy brać leków, zdecydowałam, że będziemy

wylegiwać się w dzień, a jechać nocą, ze względu na mniejszy ruch na drogach. Miałam koci wzrok, więc jazdy nocne nie były dla mnie uciążliwe. Miało to również tę zaletę, że Joanna po swej platanowej przygodzie miała słońcowstręt i fatalnie czuła się w nagrzanym samochodzie. Francję postanowiłyśmy przejechać szybko, bez zbędnych postojów, bo i tak miałyśmy tędy wracać, a teraz chodziło o to, żeby jak najprędzej znaleźć się w Hiszpanii. Pierwszej nocy przejechałam tylko dwieście pięćdziesiąt kilometrów, a następnej z wielkim trudem dotarłam w pobliże Andory. Tuż za granicą hiszpańską znalazłyśmy sobie tani hotelik, bo ze względu na stan Aśki nie chcieliśmy ryzykować dzikiego kempingu.

O drugiej po południu, wyspane i przebrane w najłżejsze sukienki, spacerowałyśmy już po uroczym Palafrugell de la Franch nad Morzem Śródziemnym na Costa Brava. Na ulicznym straganie kupiłyśmy dla Joanny olbrzymie sombrero, które miało chronić przed cudownym, wymarzonym słońcem jej biedną głowę. Potem zeszłyśmy na plażę otoczoną wysokimi skałami, zanurzyłyśmy się w przepysznie ciepłej, przezroczystej wodzie Méditerranée o niepowtarzalnym kolorze. Wzdłuż plaży, o stopień wyżej od niej, gnieździły się restauracyjki i kawiarnie z białymi stolikami pod parasolami. Wydawało się, że na plaży są sami Niemcy. Również przy stolikach słychać było wyłącznie ich mowę, może dlatego, że mają zwyczaj mówić wszyscy naraz.

Leżąc do góry brzuchami na nagrzanym skałach spekulowałyśmy:

- Skoro tu jest tak pięknie – mówiła Aśka – wyobraź sobie, jak będzie dalej na południe.
- Mnie już to w pełni zadawała.
- Nie! – zdecydowała. – Jedziemy dalej, wstawaj Matołku! Zmienię cię przy kierownicy.
- Jesteś pewna, że już możesz?
- Naturalnie.

Tego wieczoru spacerowałyśmy po Barcelonie, a nazajutrz rano zaczęły się kłopoty Joanny ze mną. Pod starymi murami Tarragony spotkałam mężczyznę swego życia, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Szłyśmy po wykruszonych schodkach, rozmawiając o tym, jak na oko schludni Hiszpanie zaśmiecają nielitościwie swój kraj, kiedy we wnęce muru, na kupie śmieci zauważyłam lśniące czubki męskich pantofli wyglądające spod pięknie zaprasowanych kantów spodni. Zainteresowało mnie, do kogo mogą należeć. Podniosłam oczy i stanęłam jak wryta. Przedemną stał bez wątpienia jeden z mitycznych bogów. Spod ciemnej czupryny, lśniacej jak fortepian, patrzyły na mnie wielkie, błyszczące, czarne oczy, umieszczone po obu stronach szlachetnego orlego nosa. Głowę osadzoną miał na długiej, mocnej szyi i dumnie uniesioną. Uśmiechał się więcej niż bezczelnie, ukazując moc zębów, przy jego smagłej cerze bielejących jak śnieg. Aśka też dostrzegła bóstwo, ale szarpnęła mnie władczo za rękę i warknęła:

- Chodź, idiotko, bo nas okradnie! Jeśli masz zamiar tak reagować na każdego hiszpańskiego złodziejaszka, to marny nasz los. Wiadomo, że ci nicponie potrafią być przystojni.
- Odczep się! – syknęłam – Skąd, u licha, możesz wiedzieć, że jest złodziejaszkiem?
- A czemu tu stoi? Wyraźnie poluje na naiwne turystki.

Zamilkłam. Była w końcu o te parę lat starsza i mogła wiedzieć więcej o zwyczajach panujących w Hiszpanii, ale ta jej wiedza nie trafiała mi do przekonania. Ociagałam się i nie miałam na tyle sił, żeby się nie obejrzeć.

Zrobiłam to i czym prędzej odwróciłam głowę. Chłopak szedł za nami, patrząc na mnie swoimi pięknymi oczyma. Naprawdę nie na Aśkę, tylko na mnie! Chodził tak za nami w przyzwoitym oddaleniu po całym mieście. Widziałam go przemykającego między filarami katedry i w ogóle łapałam się na tym, że nic poza nim w tej prastarej Tarragonie tak naprawdę mnie nie interesuje. Aśka żądała ode mnie, jako bardziej oblatanej w historii sztuki, ciągłych objaśnień. Dawałam na odczepnego ogólnikowe

i chyba niezbyt logiczne odpowiedzi, bo nagle zdecydowała, że słońce mi zaszkodziło i należy niezwłocznie również dla mnie kupić sombrero. Zarządziła koniec wycieczki po Tarragonie i poradziła, żebym się przespała w samochodzie, bo to mi dobrze zrobi. Ku mojej dzikiej radości zauważyłam, że chłopak wsiada (samotnie!) do małego fiata, zaparkowanego nieopodal naszego wozu, i wyraźnie ociąga się z odjazdem, czekając, aż ruszymy pierwsze. Rozparłam się na siedzeniu i przymknęłam oczy, tak żebym mogła obserwować w lusterku manewry fiata. Jak się tego spodziewałam, ruszył za nami. Przyszło mi do głowy, że może rzeczywiście jest złodziejaszkiem, ale za bardzo mi się podobał, żebym zbyt przywiązywała się do tej myśli.

W Sitges postanowiłyśmy się wykapać. Joanna kluczyła po wąskich uliczkach, żeby zostawić wóz możliwie najbliżej morza. Ogarnęła mnie rozpacz, bo byłam przekonana, że chłopak nas zgubił. Kiedy po wyjściu z wody układaliśmy się na ręcznikach, zobaczyłam go. Szedł smukły i wysoki, w kwiecistych majtkach kąpielowych i udawał, że nas nie dostrzega. Usiadł w pobliżu, wystawiając na pokaz swój nieskazitelny profil. Patrzył na morze, ale zauważyłam, że gdy Aśka się odwraca, zerka na mnie. Przekreśliłam się na brzuch, podparłam brodę pięściami i przyglądałam mu się spod półprzymkniętych powiek.

– O, popatrz! – powiedziała nagle Aśka, wskazując na niego. – Masz tu żigolaka kubek w kubek podobnego do twego ideału z Tarragony. Tutaj takich jest na pęczki.

Podniosłam głowę i powiedziałam obojętnie:

– Rzeczywiście – a w myśli dodałam: – Idiotka, taki jest jeden jedyny!

Hiszpania zaczęła mi się podobać nad wyraz. Chłopak jechał za nami wytrwale. Wyglądało na to, że nie zaprzęta go nic poza podążaniem za mną. Wiedziałam, że cokolwiek Aśka nie wymyśli, spotkam go jeszcze. Dlatego przystawałam na wszystkie jej propozycje nawet ich nie słuchając. Ponieważ przestawałam się wyklócać o to, co mamy robić dalej, Aśka zatrzymała się przy jakimś straganie i kupiła mi sombrero. Wyciągnęła też z apteczki termometr i wetknęła mi go pod pachę. Nie protestowałam. Pomimo burzy szalejącej w mojej rozpalonej głowie termometr pokazał równiutko trzydzieści sześć koma sześć stopni. Joaśka popatrzyła na mnie z uwagą, machnęła ręką i ruszyłyśmy w dalszą drogę.

Nie mogłyśmy znaleźć odpowiedniego kempingu. Chciałyśmy, żeby był nad samym morzem, na piaszczystej plaży otoczonej skałami i żeby był też na jego terenie basen. Tymczasem brzeg robił się bardziej płaski, mijane kempingi usytuowane były przeważnie po przeciwnej stronie drogi, a więc od strony lądu, a zamiast piasku na plażach królowały kamienie i także było dno morza. Przy dużej fali niewygodnie wchodziło się po takich kamieniach do wody. Uroki Costa Brava zostały za nami, a do osławionego Costa del Sol nie miałyśmy nadziei dotrzeć.

Wreszcie niedaleko Walencji złożyłyśmy broń. Kemping był przy kamienistej plaży, bez basenu, ale za to nad samym morzem i całkiem przyzwoity. Nazywał się „Moncofar”.

Rozbiliśmy namiot, który przy innych wyglądał jak przysłowiowa psia buda i Joaśka poszła do recepcji, żeby zadzwonić do przyjaciół mieszkających w Madrycie, których poznała na festiwalu w Sopocie. Krzątałam się przy ustawianiu kuchenki pod płotem, kiedy zobaczyłam, że mały żółty fiacik wjechał na teren kempingu, ustawił się przy przeciwległym płocie, a chłopak wysiadł i wyraźnie zabierał się do zagospodarowywania swojego miejsca. Udawałam, że go nie dostrzegłam, ale w mojej głowie rozśpiewały się *Granady*, *Valencje* i inne znane mi tryumfalne melodie hiszpańskie. Pracowałam jak szatan i Aśka po powrocie aż gwizdnęła z podziwu.

Kiedy przed wieczorem poszłyśmy się wykapać i „mój” chłopak podpłynął do nas szczerząc zęby i krzycząc: *Buonas dios, senioritas!* zrozumiała wszystko. Powiedziała: „Dosyć tej kąpeli, bo się zaziębisz, chodź, zjemy kolację i pójdziemy spać”. Ani mi się śniło jej posłuchać. Udałam, że zagłuszyły ją fale i popłynęłam dalej. Obejrzała się i wyszła z wody, sądząc, że pobiegnę za nią. Ale się przeliczyła.

Zniknęła za płotem kempingu, a chłopak tylko na to czekał. Zaczął nurkować i niby przypadkowo wynurzył się tuż obok mnie. Błogosławiłam moje paromiesięczne zainteresowanie językiem hiszpańskim. Przynajmniej co dziesiąte wypowiedziane przez niego słowo trafiało do mojej świadomości. Oczywiście wyszłam z wody, a on za mną. Wycierałam się leniwie, a on gadał i gadał. Wiedziałam już, że pochodzi z okolic Saragossy, jest studentem i ma na imię Federico Jose. Zawsze przyjeżdża tu na wakacje i koczuje po całym wybrzeżu. Bardzo się ucieszył, że mam na imię Ewa. W ogóle był spontaniczny i przepiękny.

Niechętnie wróciłam do namiotu, a tymczasem Aśka zawarła znajomość z sąsiadującymi z nami Anglikami z mikrobusu. Byli młodzi, chudzi i mieli mnóstwo drobnych dzieci, które czyniły spustoszenie na całym kempingu. Buszowały bezkarnie po namiotach, miały nieograniczone apetyty, wyjadały resztki pozostawionego jedzenia, wypijały wszystkim soki i coca-cole.

Aśka po dwóch dniach machnęła ręką na moją słabość do „złodziejaszka”, ale kiedy trzeciego dnia urwałam się z nim i wróciłam wieczorem, bo zabrał mnie do Walencji i Sagunto, wpadła w popłoch. Zrobiła mi awanturę i przysięgła, że jeżeli zrobię jakieś głupstwo – a ona to na pewno po mnie pozna – sprawi mi publicznie lanie. Powiedziałam, żeby była spokojna, ale skłonna byłam zrobić dla Federica tysiące najgorszych głupstw. Towarzyszył mi przez całe dni. Oboje unikaliśmy innego towarzystwa, więc Aśka czuła się samotna i była tym bardziej rozdrażniona.

Po tygodniu Federico Jose wytłumaczył mi na migi, bo inaczej nie mogłam zrozumieć, że nie potrafi żyć dłużej beze mnie, więc ja po cichu zdecydowałam, że zostanę z nim, a Aśka sama wróci do Polski. Nad konsekwencjami takiej ewentualności nie zastanawiałam ani przez chwilę. W poniedziałek nadeszła depesza z Madrytu, że oczekują nas tam najpóźniej w środku tygodnia, bo pan Sanchez wyjednał w Pagarcie zgodę na występ Aśki w niedzielnym popularnym programie „Tarde para todos”. To, co uskrzydliło moją siostrę, spadło na mnie wieczorem jak grom z jasnego nieba. Federico Jose akurat pojechał po coś do Walencji, a zanim wrócił, opuściliśmy „Moncofar”. Zdołałam mu tylko wrzucić przez okienko do namiotu kartkę z moim adresem w Polsce, bo gdzie miałyśmy się zatrzymać w Madrycie, Joaska nie chciała – jak twierdziła, „dla mojego dobra” – powiedzieć. Szansa, że spotkamy go na drodze do Walencji, była znikoma. Postanowiłam, że ucieknę przy pierwszym postoju. Ale Aśka chyba coś przeczuwała, bo moje wzmianki o bólu żołądka i dolegliwościach pęcherza nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Gdzieś w połowie drogi do Madrytu przespałyśmy kilka godzin w samochodzie. Byłam otepiała. Ani niezwykła La Mancha-Motta – legendarna kraina Don Kichota z wiatrakami – ani nic innego nie robiło na mnie wrażenia. W Toledo mogłabym uciec, ale było już za daleko do Federica. Aśce coś zaszkodziło i po zwiedzeniu katedry zajęła stanowisko przy toalecie publicznej na skwerku. Do muzeum El Greco i innych przybytków dawnej stolicy państwa Wizygotów biegałam sama. Wspaniałość zabytków Toledo przytępiła na chwilę moją rozpacz. Wróciłam na skwerek do Joanny, niedaleko muzeum El Greco. Wyglądała nieco lepiej. Odkryłam ze zdumieniem, że zaprzątnięta moją miłością do Federica Josego zupełnie nie zwracałam uwagi na jej wygląd. Opuchlizna dawno zeszła z czoła, ale wokół oczu widniały jeszcze wielokolorowe siniaki, spowodowane naciskiem oprawki okularów, które miała na nosie w momencie pamiętnego zderzenia z platanem. Mówiąc szczerze, wyglądała dość podejrzanie. Pomyślałam, że gdyby nie te siniaki na pewno Federico zakochałby się w niej, a nie we mnie, jednak nie mogłam sobie przypomnieć, czy były już widoczne w Tarragonie. Fakt, że miała je teraz, zmartwił mnie z powodu jej zbliżającego się występu. Pierwszy raz od czasu Terragony poczułam przyływ uczuć siostrzanych. Objęłam ją i poszłyśmy do samochodu. Wszystkie niezapomniane widoki, nawet spotkanie z Federikiem, od którego odciągnęła mnie siła, były przecież jej zasługą. Moja skrucha musiała mieć jakąś siłę telepatyczną, bo w siostrze obudziło się nagle głębokie współczucie dla mojej

nieszczęsnej miłości. Żeby mi wynagrodzić stratę ukochanego, zafundowała mi tandetny pozłacany pierścień z wymyślnym oczkiem i zapłaciła za niego zawrotną kwotę.

W Madrycie, gdy tylko poznałam adres znajomych Aśki, wysłałam depezę do „Moncofaru”, ale albo Federico opuścił kemping przed jej nadejściem, albo... W każdym bądź razie nie odezwał się. Przyjęto nas w stolicy po królewsku. Dostałyśmy do dyspozycji połowę wielkiego mieszkania, włączono nas po wszystkich możliwych muzeach i barach, gdzie bezustannie żułyśmy krewetki, ośmiornice i inne paskudztwa, popijając to winem. Przez następne dwa tygodnie odbijało mi się oliwą.

Ale El Prado, Escorial to były prawdziwe uczyty, nawet dla takiej nieszczęsnej desperatki, jaką byłam po ucieczce z „Moncofaru”. W niedzielnym programie „Tarde para todos” moja siostra zablęsnęła nawet wśród takich gwiazd, jak Dolores Vargas i Conchita Velasco. Gdyby chciała, mogłaby przedłużyć korzystny kontrakt, ale zaczynała już uciekać myślą do kraju, gdzie podobno był jej Modi.

Do końca pobytu w Hiszpanii nie zdarzył się cud. Federico Jose nie znalazł się więcej. Zgubił mój ślad. Byłam przekonana, że jeśli nie napisze do mnie do Polski, nie potrafię zakochać się nigdy w życiu. To, że przed podróżą ze łzami w oczach żegnałam się z chłopakiem z klasy, nawet nie mignęło w mojej pamięci. Po urozmaiconym życiu w Madrycie reszta pobytu w Hiszpanii wyglądała dość blado. Nadatlantyckie plaże były zimniejsze, ale znalazłyśmy piasek w otoczeniu skał. Santander, Laredo, Lequeto, San Sebastian – wszystkie te cudowne miejsca jakże inaczej by wyglądały, gdyby był tam Federico! Zaczęłam powoli rozumieć, że był to tylko epizod, już nigdy go nie spotkam, ale z uporem maniaczki zaglądałam w twarz wszystkim napotkanym smukłym brunetom, a było ich wielu. Żaden jednak nie dorównywał urodą Federicowi. Joanna widząc moje przygnębienie obsypywała mnie prezentami. Przyjmowałam je z obojętną miną. Na co mi były te wszystkie fatalaszki, kiedy nie miałam dla kogo się stroić.

W Biarritz zaczęłyśmy się zastanawiać, czy jechać na Lazurowe Wybrzeże, zgodnie ze sporządzoną mapą, czy wracać do kraju. Aśka dokonała obliczeń. Jej gąże mogły z powodzeniem wystarczyć na całą zamierzoną trasę. Żyliśmy oszczędnie, samochód jakoś jechał. Byłyśmy jednak zmęczone. Po długiej dyskusji doszłyśmy jednak do wniosku, że nie warto przepuszczać takiej okazji i ruszyłyśmy w stronę Morza Śródziemnego, wzdłuż Pirenejów.

Nadzieja w oczach ułomnych, oczekiwanie na cud malujące się na zgorzkniałych twarzach matek trzymających u cudownego źródła w Lourdes kalekie dzieci ścisnęły nas za gardło i ukrywając to jedna przed drugą połykałyśmy łzy.

O zmierzchu błądziłyśmy po starych zaułkach wspaniałej twierdzy średniowiecznej Carcassonne i wreszcie późną nocą, obejrzawszy po drodze z okien samochodu zamek Béziers, rozbiłyśmy namiot na Capt d'Agde przy pięknej plaży. Po nadatlantyckich wiatrach Adriatyk powitał nas pięknym słońcem i gorącym piaskiem.

Jednakże obliczenia Joanny trochę zawiodły. Zapasy żywności nam się wyczerpały, a benzyna we Francji była droga. Postanowiłyśmy szybko dostać się do Włoch, gdzie Joanna miała odebrać pieniądze za sprzedane płyty. W Saint-Tropez zobaczyła sukienkę swego życia, wprost idealną na scenę, i to jeszcze przyspieszyło naszą podróż. W Monte Carlo zagrałam w ruletkę. Najpierw wygrałam około pięćdziesiąt franków na automatach, a potem przegrałam wszystko za jednym zamachem w kasynie.

We Włoszech chciałyśmy dotrzeć wybrzeżem aż do Portofino, ale zniechęciły nas napisy przy drogach: „caduta massi” i „caduta sassi”<sup>[1]</sup>. Wobec tego autostradami pomknęłyśmy przez Padwę i Florencję do Wenecji.

Potem była ta straszna historia w Alpach Austriackich przy zjeździe z Grossglockner, na którą to drogę wpakowałyśmy się przypadkiem. W pewnym momencie hamulce przestały działać, zagotował się w nich płyn. Udało się nam zatrzymać wóz nad przepaścią. Jeden metr i byłoby po nas. Kiedy

ochłoneśmy po tej przygodzie, nie pragnęliśmy już niczego więcej, tylko powrotu do domu i realizowałyśmy to z konsekwentną rozwagą.

Po czterech dniach spałyśmy we własnych łóżkach pod czułą opieką rodziców, którzy nie posiadali się z radości, że widzą nas wreszcie w domu.

Joanna poza herkulesowym wysiłkiem, jaki wykonała siedząc za kierownicą, odbyła swoje gigantyczne tournée, prześladowana ciągłymi pechami, kupiła sobie suknię w Saint-Tropez i miała tę radość, że choć raz w historii swych podróży mogła dzielić się wrażeniami z kimś bliskim.

A ja? Dużo czasu upłynęło, zanim doceniłam ten jej wysiłek, ale stało się to dopiero wtedy, kiedy czas zamazał trochę w mej pamięci rysy pięknego Federica.

# JOANNA 1969

Nie zdążyłam wrócić, zanim Modi wyjechał, ale jakież to ma znaczenie – jedno spotkanie więcej przed nowym rozstaniem.

Obawiam się, że Ewie nie zrobiłam całą naszą daleką wyprawą takiej przyjemności, jaką chciałam jej sprawić. Wszystko przez tego nieszczęsnego piękniśca Federica. Zdaje się, że w samą porę los ustrzegł ją przed nieszczęściem. A może przed szczęściem. Czy to kiedy naprzód można wiedzieć?... Ewa ma dziewiętnaście lat i pełno cudownych złudzeń, których jej szczerze zazdroścę. Poza tym jest zupełnie podobna do mnie, nie tylko – jak lubi podkreślać – „zewnętrznie” toteż nie byłaby chyba szczęśliwa z tym swoim Federikiem z dala od kraju.

Kiedy patrzę z dystansu na naszą podróż, uważam ją za wspaniałą przygodę, mimo zmartwień i różnych przypadłości, których nam nie brakowało. Pewnie powinnam utrwalić to w moim dzienniku, ale niestety nie jestem panią swego czasu. Muszę wracać do pracy.

\* \*  
\*

W tym miejscu na prawie rok Joanna przerwała swój dialog z kartkami papieru. Rzeczywiście nie miała na to czasu. Wyjeżdżała, nagrywała, piekielnym zmęczeniem płaciła za to, co ludzie zwykli nazywać karierą. Prawie żaden jej krok nie uchodził powszechnej uwadze. Wszyscy dookoła myśleli, że znają ją doskonale, a nie znał jej prawie nikt. Nawet ja, jej siostra, wiedziałam o niej tak mało i odeszłyby ze swoimi tajemnicami z naszego życia, gdyby nie jej dziecinne upodobanie do pisania pamiętników. W lipcu 1970 roku udało się jej wybrać na od dawna wymarzony urlop. Tak się złożyło, że akurat w tym czasie przyjechał do kraju Modest i wyjechali razem. Kiedy spojrzałam na datę, serce we mnie zamarło: notatki dotyczyły ostatnich dni życia mojej siostry...

\* \*  
\*

*18 lipca 1970*

Modi na razie nic nie wspomina o wyjeździe. Mówi, że ma dla mnie sensację, ale muszę sobie na to zasłużyć. Czyżby zamierzał skończyć ze swoją włóczęgą? Boję się nawet snuć takie przypuszczenia, żeby nie zapeszyć. Jedziemy razem do Kurhanowa i zostaniemy tam do końca sierpnia! Życie jest takie piękne! Najpierw jednak odwiedzimy w Mikołajkach Jachimowskich – Zosia spodziewa się dziecka! Podobno ona pływa z Wackiem tą ich zagłówką – ach, ta Zośka, w takim stanie!

*18 lipca wieczorem – Mikołajki*

Zdaje mi się, że Zosia i Modi spodobali się sobie wzajemnie. Zosia wygląda wspaniale. Jest opalona

i pełna optymizmu. Do swego stanu podchodzi z humorem. Powiedziała, że muszą się wyszaleć i popływać, zanim pojawi się „Potomek”. Tak ci wariaci nazywają swoje nienarodzone dziecko. Ubawili mnie tym serdecznie. Wacek zapuścił sobie brodę oraz wąsy i wygląda jak brodacze monachijski. Powiedziałam mu to i szybko przenieśliśmy określenie na bliższy teren – został „brodaczem bełdańskim”. Po cichu im zazdroszczę. Ten Potomek już się liczy, ciągle się o nim mówi, uważa się na niego. On już wśród nich żyje. Nie miałabym sama nic przeciwko takiemu własnemu Potomkowi, mojemu i Modiego. Ale on jest wiecznym Nomadą... Teraz jest zaintrygowany tym, co ja tak stale piszę. Muszę przerwać.

– Chodź do mnie Joasiu, potem odrobisz lekcje – zażartował.

– Głuptas, to nie żadne lekcje.

– A co?

– Chciałbyś wiedzieć, ale ci nie powiem.

– Akurat. Zresztą wiem.

– Taak? – zapytałam z przestradchem.

– A tak, są to listy do tego drugiego.

– Ha, ha, ha! A kto jest ten pierwszy?

– Teraz ja, ma się rozumieć.

– Pyszałek! Bądź spokojny, to nie są żadne listy, mam pewne obowiązki.

Modi gwizdnał przeciągle.

– Opiszysz teren? Pracujesz w obcym wywiadzie?

– Tak – odpowiedziałam – i nie radzę ci wpychać do tego nosa. Powinieneś wiedzieć, jaka to niebezpieczna gra. Pocałuj mnie i odczep się, dobrze?

– Na zawsze?

– Chciałbyś! Tylko na pół godziny.

Uciszywszy go w ten sposób, mogłam zanotować powyższe.

Jutro popłyniemy wysłużoną łódką Wacka na Jezioro Nidzkie. Kiedyś była to bardzo fajna łajba, ale po oplastkowaniu i zamianie miecza na jakieś wymyślne płetwy przestała być sterowna na żaglach. Ma więc mały silnik, który nie wiem czemu nazywa się „Jasiek”. Spełnia wielką rolę w poszukiwaniu mało zaludnionych plaż.

*19 lipca 1970*

Mieliśmy wstać o szóstej, śniadanie zjeść na łodzi, ale wypłynęliśmy o ósmej trzydzieści pięć, już najedzeni. Pogoda nie zapowiadała się zbyt dobrze i trochę baliśmy się ewentualnych jej niespodzianek ze względu na Zośkę i jej Potomka. Tylko ona się tym nie przejmowała i ani myślała rezygnować z wycieczki. Po kryjomu wyniosła z domu gospodarzy wielki piernat i urządziła sobie w łodzi całkiem przyzwoite legowisko. „Jasiek” szedł jak po maśle. Nie „kichał” i chłopcy nie umęczyli się specjalnie przy rozruchu. Zapalił za trzecim razem. Terkotał potem po Bełdanach około półtorej godziny, strasząc tarpany w przybrzeżnych lasach, aż znaleźliśmy się przy śluzie. Modi i Wacek siedzieli z tyłu pokładu, przy sterze. Na dziobie siostrzeniec Jachimowskich, dwunastoletni Piotrek, ze swoją suczką, sympatyczną skyeterrierką Kingą. My z Zośką i Potomkiem w środku w pozycjach horyzontalnych. Śluzowanie trwało i trwało. Najpierw czekaliśmy, aż zbierze się odpowiednia liczba łodzi, żeby warto było otworzyć śluzę. Kiedy to nastąpiło i wpuszczono nas do niej, podwoje znowu się otwały i kazano



nam wycofać się, bo z przeciwnej strony nadpłynął statek i zajął całą powierzchnię wąskiej gardzieli śluzy.

Chłopcy czekali na zielone światło, a ja z Zośką i psem powędrowaliśmy do pobliskiego sklepiku. Udało się nam kupić parę paczek pierników w czekoladzie, bochenek czerstwego chleba i pasztet w puszcze. Kiedy wróciliśmy, chłopcy byli już wewnątrz śluzy. Oparliśmy się o balustradę na moście i śledziłyśmy ich zmagania z przybierającą wodą. Zdjęli silniczek i umieścili go w środku łodzi. Wacek odpychał ją wiosłem i czym tylko mógł od innych stłoczonych łodzi, żeby nam nie uszkodziły „jednostki”, a ten nicpoń Modi cumował szczerząc zęby obok kajaka, w którym siedziała śliczna dziewczyna. Nie było wprawdzie miejsca przy łańcuchach obok krawędzi śluzy, ale czemu musiał przycumować się blisko tej dziewczyny? Wskutek przybierającej wody to irytujące widowisko podnosiło się coraz wyżej i wyżej, a ja wołałam o pomstę do nieba. Wkrótce zostałam wysłuchana, bo nagle coś zaczęło się dziać z dziewczyną. Zobaczyłam, że bezczelny uśmiech Modiego przygasa i zaczyna zmieniać się w całkiem głupią minę, a ona siedzi po pas w wodzie. Kajak natomiast zniknął. Akcja ratownicza była błyskawiczna. Dziewczyna znalazła się na naszej łodzi, a kajak wypłynął za chwilę sam na powierzchnię, tyle że do góry dnem. Utonął tylko Bogu ducha winien koc.

Po przeciwnej stronie śluzy nasi „ratownicy” pomogli dziewczynie wyłączyć wodę z kajaka – i na szczęście odebrał ją jakiś chłopak – po czym popłynęli w naszym kierunku, wiosłując pracowicie.

– Wiesz – oświadczyłam Modiemu – jeżeli jeszcze kiedyś będziesz szczerzył zęby do jakiegokolwiek dziewczyny, spotka ją to samo. To ja ściągnęłam na nią te czary.

W odpowiedzi roześmiał się najbezczelniej jak umiał.

Zanim ruszyliśmy, musieliśmy jeszcze uiszczyć opłatę za zniszczenie klombów kwiatowych wokół śluzy, bo znudzona Kinga zdążyła w czasie opisanych zajęć przekopać je dokładnie, pracując sumiennie czterema łapami, co było zaiste efektywne.

Nad Jeziorem Nidzkim znaleźliśmy wreszcie bezchmurne niebo. Podpłynęliśmy do jakiegoś zanurzonego pnia przy piaszczystej zatoczce, bo mieliśmy zamiar trochę pobiwakować. Zośka z Potomkiem była niezwykle ociążała, nie mogła podnieść się o własnych siłach. Rzeczywiście jej drobna figurka tak się zaokrągliła, że Wacek żartował sobie z niej ile wlezie. Mówił na przykład, że dobrze zrobił nie zabierając z sobą pianina, bo gdyby chciała grać siedząc przy nim na krześle, pewnie Potomek nie pozwoliłby jej dosięgnąć klawiatury. Na ten swój wyjątkowy urlop Zosia naszyła sobie sporo zmyślnych pajacyków, mających na plaży maskować ciążę, ale te pajacyki odznaczały się tym, że wywierały skutek odwrotny do zamierzonego. Teraz też prezentowała się imponująco. Na grubym sweter Wacka (bo w swoje się nie mieściła) założoną miała uszytą z kolorowego ręcznika kamizelkę, na nogach lśniące białe kalosze, a na głowie szydełkowy kapelusik z falbaniastym rondkiem, taki, jakie noszą murzyńskie piastunki dzieci farmerów w amerykańskich filmach. Wacek natomiast chodził stale w papuciach, żeby nie niszczyć pokładu łodzi. Tylko że nie zdejmował ich również na lądzie. Ja ubrana byłam w szczątkowy kostiumik, a Modi? – Modi normalnie, jest wspaniały.

Zaszła w nim jednak jakaś zmiana. Wygląda na bardziej ustabilizowanego wewnątrz, bywa zamyślony. Kiedy przygląda mi się ukradkiem, jego oczy są pełne niepokoju. Gdy go na tym łapie, natychmiast odwraca twarz i ten jego nastrój znika. Nie chcę snuć żadnych złych domysłów. Jestem szczęśliwa i pełna nadziei.

Uważam tylko, że na świecie jest stanowczo za dużo ładnych samotnych dziewcząt, które wyłaniają się z różnych zakamarków, żeby zmuszać do rycerskich czynów mężczyzn należących już do innych kobiet. To, co się wkrótce zdarzyło, znowu trochę wytrąciło mnie z równowagi.

Przed gospodą, gdzie jedliśmy obiad, stało blond zjawisko. Ale żeby tylko stało, minęlibyśmy je i tyle. Dziewczyna była załamana, bo jej lambretta – przystosowana do ruchu za pomocą fragmentów anten,

przewodów radiowych i spirali od żelazka – nie chciała jechać. Nasi rycerze o miękkich sercach poskręcali ofiarnie rzeczony urządzenie i pojazd odpalił. Wacek w papuciach i pasiastych majtkach wykonał eksperymentalną jazdę, po czym lambretta odjechała, zabierając do diabła tryskające wdzięcznością bóstwo.

Zaczyna się ściemniać. Wacek z Modim rozprawiają o czymś z zapamiętaniem. Piotrek śpi. Zośka wybiera kleszcze Kindze, a ja muszę przestać pisać, bo niedowidzę. Wszystkich już przyzwyczaiłam do tego mojego zajęcia. Powiedziałam im, że piszę dziennik okrętowy i kiedyś im przeczytam. Przed nami wylania się malownicza panorama Mikołajek. Powinniśmy być na miejscu przed nastaniem ciemności. I przed deszczem, na który się zanosi.

Dopłynęliśmy po ciemku, ale deszcz nie padał. Nazajutrz pospałam do dziesiątej. A od śniadania prawie nie widziałam Modiego, bo mężczyźni zabrali się do usprawniania silnika, a potem pucowali samochody. O godzinie dwunastej zaspana Zośka pojawiła się w purpurowym szlafroku na niedzielnej „promenadzie”, budząc zrozumiałą sensację wśród mężczyzn zebranych pod budką z piwem. Wacek czym prędzej wziął ją pod ramię i schował w domu, wysłuchując tam relacji ze wszystkich jej pomysłów, z którymi tak wystrojona do niego śpieszyła. Ciepły wiatr taszczył leniwie chmury deszczowe, nie kwapiliśmy się więc na pokład. W końcu zaniechaliśmy rejsu, wybierając samochodową wycieczkę do Rynu. Zwiedziliśmy tam młyn i zamek, a potem w restauracji zagapiona w uśmiech Modiego kelnerka wylała mu talerz czerwonego barszczu na jego piękną żółtą koszulę. Dobrze mu tak! Niech się uczy powściągliwości odruchów mimicznych.

O losie! Jestem chyba pierwszy raz autentycznie szczęśliwa! Oby to tylko chciało trwać! Gdy wróciliśmy o zmierzchu, siąpił deszczyk, ale nie przeszkadzało to naszym panom w rozpoczęciu zajęć pokładowych. Wyciągnęli z szopy maszt i przytwierdzili go do idealnie statecznej dotychczas łodzi. Po co? Bóg jeden wie.

– Już ja ich widzę, „zygzakowiczów” zatraconych – krakała Zośka – w cieniu zagła na rozbujanych Śniardwach. Chciałabym ich zobaczyć potem, chyba że pokolyszą się przy stylu.

Piotrek był dyżurnym przy kolacji. Zalał herbatę zimną wodą i martwił się, że nie naciąga.

*21 lipca 1970*

Gadaliśmy prawie do rana. Chłopcy bez odpoczynku wypłynęli na zagłach w stronę Śniardw, biorąc z sobą na wszelki wypadek silniczek.

Nie wiem, jak im poszło. Wrócili na silniku, zanim się wyspałam po przegadanej nocy. Podczas obiadu zachłystywali się z zachwytem nad swoją sprawnością żeglarską. Zaintrygowana tym Zośka zarządzała, nie zważając na Potomka, przedwieczorny rejs na zagłach ze swoim udziałem.

Wiatr był w sam raz dla żeglarzy tej miary, a więc 0,68 stopni w skali Beauforta. Tłumacząc się troską o Potomka, nie manewrowali. Dopłynęli najpierw do końca jednego halsu, odbili się od przybrzeżnych krzaków i wykonali obrót. Następnym halsem osiągnęliśmy stodołę po przeciwnej stronie jeziora, a trzeci i ostatni zaprowadził nas do Wierzby, a ściślej mówiąc, w sitowie, gdzie zarządzili przerwę. Zmierzchało. Kierunku wiatru nie sposób było ustalić.

– Nie powiem, żebyśmy stali w miejscu – znęcała się nad nimi Zośka, gdy znowu zaczęli „zygzakować”. – O nie! Poruszamy się dość efektownie, ruchem obrotowym między trzcina a niewielką wysepką. Oho! Osiągamy chyba zawrotną prędkość dwudziestu metrów na godzinę!

– Jeśli nam tak dalej pójdzie – dodałam od siebie – za miesiąc powinniśmy być już w Mikołajkach.

Rzeczywiście, po trzech godzinach takiego żeglowania byliśmy przy końcu cypla u wejścia na Śniardwy, odległego od Wierzby prawie o sześćset metrów! „Brodacz bełdański” był wściekły. Nie mógł pogodzić się z tym, że po jego rewelacyjnych przeróbkach łódź nie będzie już nigdy sterowna na żaglach. Z ponurą miną wyciągnął ze schowka w dziobie silniczek i zasiadł w swych papuciach przy sterze. Milczał jak grób aż do przystani.

Zośka podlewarowana przez panów wydobyła się z łodzi i pogwizdując wesoło zabrała się do przygotowania kolacji. Pomagałam jej, więc wkrótce miałyśmy wszystko gotowe, ale chłopcy nie przychodzili.

Rozgoryczony Wacek poślizgnął się na papuciu wychodząc z łodzi i omsknął się razem z nią tuż obok pomostu. Do późnej nocy wylewaliśmy wodę z łodzi wiadrami, ale utonęły papucie naszego kapitana. Swoją drogą to dziwne, że taka mała łajba może pomieścić aż tyle wiader wody!

Przy kolacji zanalizowaliśmy sytuację, zarówno omsknięcia się kapitana jak i wszelkie ewentualności żeglowania, na przykład z Zośką i Potomkiem na pokładzie. Wacek cierpiał moralnie, może nie tyle pod prężeniem opinii publicznej, co samooskarżenia. I nawet biedak kieliszka wódki na noc nie dostał, bo Zośka (dla dobra Potomka!) wyznaczyła mu dziewięciomiesięczną abstynencję. A maszt chyba zdejmą.

*22 lipca 1970*

Święto. Radio ogłasza początek defilady. Rozbrzmiewają tryumfalne pieśni.

A ja jestem na urlopie! Szczerze mówiąc, pierwszym od lat. I jakiś jego piękny fragment zaraz się skończy. Jachimowscy odjadą do Warszawy, my do Kurhanowa. O, jakże ja się wybiegam po tych lasach! Z Modim! Pokażę mu wszystkie miejsca, gdzie rosną poziomki, gdzie są błota, gdzie czasem można się natknąć na dziki i łosie.

A w radiu spiker krzyczy rozentuzjasmowany, że „właśnie nadchodzą ciężarowcy”. Widzę ich, jak zwracają głowy w stronę trybuny. Jest im bardzo gorąco. Bo w Warszawie świeci słońce, u nas niestety nie...

Ale tu ze mną jest Modi i nadal – rzecz zdumiewająca – nie mówi nic a nic o swoim wyjeździe... Czy jest możliwe, żeby to tak trwało i trwało?... Rozbijemy namiot na skraju łąki pod samym lasem, między dwiema sosnami.

Nie mam żadnych zmartwień, nie myślę wcale o pracy. Nie obchodzi mnie nic, tylko woda i zieleń... i pogoda... i Modi... Zupełnie jak w piosence: *Na całych jeziorach ty*. I oby tak trwało.

\*   \*  
\*

Litery tych ostatnich zdań były krzywe, jakby karbowane, widocznie Aśka pisała to w czasie jazdy samochodem... Wieczorem już nie żyła...

Nie mam słów na wyrażenie tego, co czuję. Dlaczego śmierć przychodzi w tak niestosownych chwilach?

Modest... jak mogłam go tak podle potraktować?! Zbiegłam ze schodów. Było prawie ciemno, ale dostrzegłam jego jasno ubraną sylwetkę, skuloną na skraju łąki między dwiema sosnami.

– Wybacz Modest – powiedziałam, a on drgnął, jakby nagle rozbudzony ze snu. – Wybacz, jesteś... jesteś mi bardzo bliski, pomimo tego że się żenisz...

– Wiem, Ewo, tak jak ty dla mnie, dlatego nie mam ci nic do wybaczenia – rzekł z prostotą.

– Wyjedź stąd! Ja też stąd uciekam.

– Wyjadę. Wyjadę gdzieś daleko. Jeszcze chyba nie dojrzałem do małżeństwa.

– Ewo! Ewa! – usłyszałam głos Jerzego – Co tam robisz po ciemku?

– Chodź do nas! – zawołałam. Przedstawiłam ich sobie i pomyślałam, że powinni się polubić – ten, którego kochała Joanna, i ten...

– Jerzy, zabierzesz mnie z sobą na te swoje plenery! – zarządziłam.

– Widzisz, nie chciałbym, żebyś myślała, że wywieram presję...

Uświadomiłam sobie, że ostatnio przestał mi mówić o filmie, w którym miałabym zagrać.

– Och – powiedziałam na luzie – to nic nie znaczy, chcę tylko przyjrzeć się temu z bliska.

– A dlaczego tak nagle nabrałaś na to ochoty? – zapytał podejrzliwie.

– Po prostu zakończyłam moją wielką sprawę! – odpowiedziałam poważnie. – Nie mam tu już nic do roboty.

Jerzy milczał, niezdecydowany, czy powinien ciągnąć ten temat przy nieznanym.

– To dzięki niemu – wskazałam na Modesta.

– Taak? – zdziwił się. – I co?

– Uspokołam się... Zabierz mnie, to ci wszystko opowiem.

– Ależ naturalnie, Ewuniu, jeżeli sobie tego życzysz, będę bardzo rad.

Ruszyliśmy wszyscy powoli w stronę jeziora.

– Pan robi teraz jakiś film? – zainteresował się Modest.

– Tak, kończę, taką sobie komedyjkę. Ostatnie plenery w Mikołajkach, a potem jeszcze trochę atelier...

– Czy gdybym znalazł się w pobliżu, pozwoliłby mi pan trochę się poprzyglądać?

– Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty... – roześmiał się Jerzy.

Stało na tym, że pojedziemy wszyscy, raniusieńko. Nie pozostawało mi teraz nic innego, jak zaprosić obu panów na kolację. Zostawiłam ich samych i przygotowałam jedzenie. Gdy zawołałam, że gotowe, weszli nie przerywając rozmowy, jak starzy znajomi. Czemu mnie to ucieszyło?

\* \*  
\*

Jerzy siedzi na wysokim krześle podobnym do drabiny i komenderuje. Ależ z niego piła! Aktorka grająca rolę dziewczyny chyba dziesiąty raz wyskakuje z żaglówki na zbudowany w tym celu pomost, z okrzykiem: „Płyn dalej sam! Ty bałwanie!” – tego, do kogo adresuje te słowa tu nie ma. Jest zmęczona do granic wytrzymałości. Według mnie robi to przyzwoicie, ale Jerzy jest niezadowolony.

Modest wiedziony współczuciem, w czasie krótkiej przerwy przynosi dziewczynie lody. Patrzy na niego z wdzięcznością załamionymi oczyma.

– Słuchaj, ja tego dzisiaj nie dam rady zrobić, nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Może ja się do tej roli nie nadaję – mówi nagle załamana.

Jerzy łagodnieje.

– Nie pleć głupstw, Mirka. Po prostu przestań być sobą i tyle. Ciągłe grasz siebie. Ta Jolka i ty to zupełnie inne typy, a ty się upierasz przy sobie.

– Jurek, ja naprawdę już nie mogę!

– Zbierz siły. Jak się postarasz i zrobisz to dobrze, na dzisiaj będzie koniec. Halina! – wrzasnął nagle. – Kto, u licha, tak ją wymalował na to słońce! Przecież to wszystko się rozpląnęło! Ona ma wyglądać jak

młoda dziewczyna, a nie jak ostatnia zdzira z podbitymi oczami!

– Ale przecież nie mogę obnosić się z łysym okiem! – zaprotestowała Mirka. – To dobre na co dzień, ale...

– Guzik widać to twoje oko na słońcu. Jak będziesz tak grała, pies z kulawą nogą na nie nie spojrzysz, choćbyś nie wiem ile się napacykowała.

– Jeśli uważasz, że jestem niedobra...

– Milczeć! – ryczał Jerzy. – Halina, popraw ją i jazda na plan!

Halina poprawiła makijaż i dziewczyna posłusznie stawiała się na planie. I za drugim razem Jerzy powiedział, że jest dobrze. Mirka od razu odzyskała humor i siły.

Ze zdumieniem przyglądam się, jak poczciwy, delikatny Jerzy energicznie i... brutalnie radzi sobie z całym tym swoim kramem. Kiedy jest na planie, nie dostrzega nikogo. Mogłabym usiąść mu na kolanach i też by nie zauważył. Modest jest nim oczarowany. Dwoi się i troi, żeby mu świadczyć jakieś usługi, zachowuje się jak inspicjent. Biega po napoje, przesuwa osłony i nawet popędza personel. A przecież zwierzył mi się, że kiedyś życzył Jurkowi wszystkiego najgorszego, bo nie wierzył w jego bezinteresowną przyjaźń do Aśki. Wieczorami Jerzy rozmawia z nami, chodzimy na spacer, ale jest jakby nieobecny. Prawdopodobnie obmyśla wszystko na następny dzień. Ta jego nieobecność myślowa między nami z niewiadomych powodów mnie irytuje.

Po zakończeniu zdjęć wstąpiliśmy po moje rzeczy do Kurhanowa i Jerzy obiecał zabrać mnie do Warszawy. Kiedy praca ustała, wystąpił z niego diabeł. Zrobił się cichy i łagodny, jak zawsze.

Zanim się spakowałam, było tak późno, że już nie warto było jechać. Pożegnaliśmy się i poszłam do łóżka.

Nie mogłam zasnąć. Zresztą na pomoście ktoś rozmawiał. Wyszłam na schodki. Była cudowna noc księżycowa, jezioro połyskiwało jak lustro. Rozpoznałam sylwetki rozmawiających. Postanowiłam popływać. Założyłam kostium, obeszłam ich szerokim łukiem i za krzakami weszłam do wody, starając się nie robić hałasu. Płynęłam wolniutko w stronę pomostu. Nagle usłyszałam głos Modesta z wyraźnie wyczuwalną nutką hysterii:

– Tam! O, tam, ktoś płynie!

Jerzy spojrzał na miejsce, w którym się znajdowałam.

– Ewa! – krzyknął. – Ewa, wracaj natychmiast!

Pożalowałam swego żartu, szybkim kraulem popłynęłam w ich stronę. Schylili się i chwyciwszy za ręce wciągnęli mnie na pomost.

– Jesteście przewrażliwieni – powiedziałam pogardliwie, chcąc zbagatelizować wydarzenie.

Jerzy stał przodem do księżycowego światła, naprzeciw mnie. Z jego oczu wycierało paniczne przerażenie i jeszcze coś, co mnie przyprawiło o bicie serca. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Pocałowałam go w usta, mówiąc:

– Nigdy nie zagram w twoim filmie. I nie zdradzę architektury. Przyjmij to do wiadomości, ty pogromco załężnionych aktorek przebrany w owczą skórę!

Objął mnie i przytulił z całej siły. Modest stał odwrócony do nas plecami.

– Tylko nie zwlekajcie za długo – powiedział patrząc w wodę.

Potem... potem zaczęło się nasze wspólne życie pełne podniosłych i szczęśliwych chwil, a także zwątpień i tragedii, które na szczęście przeplatały się z sobą, bo inaczej jakby to się dało wytrzymać?

# EWA 2013

To nie do wiary, że już pół roku upłynęło od pogrzebu Zosi! Ależ ten czas leci!

Wczoraj odezwał się do nas Modest, żeby się wreszcie umówić na spotkanie. Przymierzaliśmy się do tego już kilka razy, ale jakiś pech sprawiał, że ktoś z nas – ja, Jerzy albo Modest – w ostatniej chwili był zmuszony je odwołać. Znosi się na to, że pojutrze jednak się z nim zobaczymy.

Im bliżej do tego spotkania, tym bardziej jego zasadność wydaje mi się problematyczna. Bo przecież nie ma mowy o tym, żebyśmy nie wrócili do wspomnień o Joasi. I wtedy będę musiała powiedzieć mu, jak to się stało, że utonęła. To był nieszczęśliwy wypadek, ale nie bez czyjś udziału. Cóż, wiedza o tym pojawiła się za późno, żeby ukarać winnego, bo on też już nie żyje...

O tym, jak to było, dowiedziałam się trzy dni po pogrzebie Zosi. Musiałam pojechać do Kurhanowa po rzeczy, które śpiesząc się do Warszawy na smutne obrzędy zapomnieliśmy stamtąd pozabierać. Nie byłam też pewna, czy wszystko dobrze zabezpieczyłam na zimę, bo działając w traumie mogłam coś przeoczyć. Pojechałam tam sama, gdyż Jerzy miał wykłady, a dzieci i wnuki pracę i szkołę.

Na miejsce dotarłam przed południem. Ponieważ świeciło słońce, wjechawszy na teren posesji nawet nie zajrzałam do domu, zamknęłam bramę i dla odprężenia powędrowałam nad jezioro.

Leśniczówka, jak i zabudowania sołtysa wydawały się być opuszczone, widać ich mieszkańcy mieli coś do załatwienia poza swoim terenem. Na małej plażce też nie było nikogo, chociaż tuż za trzciniami, jak kilka dni temu, kiedy tu byłam, kołysała się duża łódź rybacka z budką na pokładzie, czyli ten sam co wtedy kuter. Podeszłam do brzegu, pochyliłam się nad wodą i zanurzyłam w niej dłonie. Nawet nie była taka zimna, jak można się było spodziewać, ale żeby w niej pływać? Nie, na to bym się nie zdecydowała.

– Chyba nie ma pani zamiaru się kąpać? – usłyszałam nagle wołanie z góry i towarzyszący mu tupot nóg biegnącego.

– A bo co? – zapytałam oglądając się za siebie.

– A bo tam są rozpięte sieci. Mogłaby się pani zaplątać i...

– Sieci? Tutaj, przy plaży?

– Właśnie! – oburzył się przybyły i wtedy go poznałam. Był to ten sam mężczyzna, który – jak mi się wydawało – skradał się za mną nieraz w lesie.

– Czy my się od jakiegoś czasu nie za często spotykamy? – zaatakowałam. – Zastanawiam się właśnie, czy to przypadek. Zwłaszcza że pan tu chyba nie mieszka?

– Myli się pani. Odkąd kupiłem „Starą Smolarnię” i przystosowałem ją do zamieszkania, jestem tu na stałe. Co prawda moja chata jest oddalona od wsi, ale jednak do niej należy. Tak przynajmniej adresuje się listy do mnie.

Nieznajomy podszedł, wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Jakub Cieślik.

– Ewa Morawiec-Olszak – odpowiedziałam.

– Wiem. Wiem o pani bardzo dużo...

– Tak? – zdziwiłam się najpierw, ale zaraz dodałam: – No cóż, tu wszyscy wszystko o sobie wiedzą. A jednak o panu nic nie słyszałam, choć dał mi się pan zauważyć i nawet mnie zaniepokoił.

– Bo nie wysiaduję pod sklepem, nie bywam na festynach... Ale... nie chciałem pani ani niepokoić, ani straszyć, chociaż nie taję, że od lat noszę się z zamiarem wyznania czegoś, co może mieć dla pani i jej rodziny znaczenie.

– Od lat?

– Od wielu lat. To ma związek z wypadkiem... to znaczy z utonięciem pani siostry.

– Mój Boże! Pan znał moją siostrę??

– Nie znałem jej. Ale to ja wypłatałem ją z sieci.

– Z jakich sieci? Joanna utonęła podczas kąpieli. Zachłysnęła się...

– Zachłysnęła się, bo nie mogła wypłatać się z sieci.

– O czym pan mówi?

– Proszę mnie posłuchać. Pamiętam, że ta łódź rybacka, która przycumowała tu kilka czy kilkanaście dni temu, zaniepokoiła wtedy panią. Wiem, bo spotkaliśmy się tu nad wodą.

– Nie wiem, czy mnie zaniepokoiła. Po prostu zdziwiło mnie, że ktoś cumował ją obok plaży.

– No, właśnie!

– Co właśnie? Jaki to ma związek z moją siostrą?

– Coś podobnego miało miejsce tam, gdzie popłynęła wtedy pani siostra.

– To znaczy? Pan sugeruje, że...

– Nic nie sugeruję. Ja to wiem.

– Co pan wie, na litość boską?!

– Ja wiem, że dla pani i dla pani rodziny to sprawa bolesna. Ale odetchnę, kiedy wreszcie wyrzucę to z siebie. Od dawna zamierzałem wszystko opowiedzieć.

– Proszę sobie darować te wstępy. Chce pan powiedzieć, że był świadkiem tego, jak moja siostra tonęła i nie pomógł jej??

– Próbowałem... to znaczy próbowaliśmy, ale na próżno. Żeby jednak dokładnie to zrelacjonować, muszę zacząć od początku.

– Niechże pan mówi!

– Tamtego dnia, zawsze będę to pamiętał, przyjechaliśmy rankiem z kolegą ze studiów do mojego stryjka mieszkającego w Mikołajkach. Miał on tam niewielki domek nad samą wodą. Na co dzień pracował w piekarni, ale odkąd wyremontował sobie stary kuter, zaczął też trudnić się rybołówstwem. Szczerze mówiąc, nie tyle łowił, co kłusował. Wypływał daleko od miasteczka i wieczorami zarzucał sieci w zatokach i miejscach, gdzie nikt nie łowił. Rano wciągał złowione ryby na kuter i wracając sprzedawał je żeglarzom i turystom. Jego domek stał na skraju lasu, miał niewielką plażę z pomostem, toteż spędzałem tam z ojcem, a potem z kolegami wszystkie wakacje. Wtedy jechałem z kumplem nocą, autostopem i kiedy dotarliśmy na miejsce, myśleliśmy tylko o tym, żeby się wyspać. Ale tego dnia stryjek miał wolne w piekarni i sposobił swój kuter do wypłynięcia.

– Kuba – powiedział do mnie – chcecie popłynąć na Nidzkie?

– Jak się wyśpimy, czemu nie.

– No to włączcie na kuter, na pokładzie możecie podrzemać.

– Teraz?

– A kiedy? Ja płynę teraz.

Słońce grzało jak najęte, wzięliśmy kapoki pod głowę z zamiarem ukrycia się w objęciach Morfeusza, ale od razu stało się to problematyczne za przyczyną potężnego silnika, który stryj zainstalował na kutrze. Zaryczał, szarpnął i pociągnął z taką mocą, że bardziej czuliśmy się jak na ślizgaczu niż na łodzi rybackiej. W parę minut opuściliśmy Jezioro Mikołajskie i znaleźliśmy się na Beldanach. Panorama urozmaiconych brzegów tego jeziora zmieniała się jak w kalejdoskopie. Obaj z kolegą staliśmy przy burcie, nie chcąc uronić nic z mijanych widoków. Dopiero na przedłużającym się ślizgowaniu w Guziance z nudów trochę podrzemaliśmy.

W Rucianem stryj miał coś do załatwienia i zostawił nas na kutrze. Wrócił późnym popołudniem, gdy

spaliśmy. Przyniósł chleb i wędzone sielawy. Zagotowaliśmy wodę na prymusie i zaparzyliśmy herbatę.

– No, chłopaki – oświadczył – jedzcie, bo następny posiłek będzie jutro, po powrocie do domu.

– A nie popłyniemy tam na noc?

– Noc spędzimy na łodzi. Jak wolicie spać na łądzie, to możecie rozbić sobie namiot na bindudze nad Nidzkim. Ale najpierw pomożecie mi zarzucić sieci.

Wyłynęliśmy po posiłku z portu w Rucianem. Ominęliśmy wysepki i przed zakrętem jeziora zarzuciliśmy sieci do połowy szerokości jeziora, które w tym miejscu wyraźnie zwężało się. Kuter był zacumowany niedaleko bindugi w zatoce i ledwie go było widać spoza trzcin.

Wyszliśmy z kolegą na wysoki brzeg i gadając patrzyliśmy na spokojne wody jeziora połyskujące w blasku słońca chylącego się ku zachodowi.

– Popatrz, popatrz, ktoś tam płynie od Kurhanowa – powiedział kolega podając mi lornetkę.

– Aha, dziewczyna... Ale wymiata! Pewnie jakaś sportsmenka. Powinna tu być za parę minut. Chyba że zawróci... Nie, płynie w tę stronę! Popatrz, co ona wyrabia! Zachowuje się jak głupia, nurkuje?... jak dziecko... Jakby cieszyła się tą kąpielą.

– Ej... nie, ona nie płynie tutaj... patrz, skręca za cypel!

– Chcę to zobaczyć! – wyrwałem mu lornetkę. – Chyba nie będzie tam nurkować. Że też ją licha poniosło aż tam. Chodź, pobiegniemy, trzeba ją ostrzec!

– Przed czym?

– Jak to przed czym? Przecież tam są sieci!

– No co ty. Nie dopłynię do nich.

– Już tam prawie jest.

Pobiegliśmy na wysoką skarpe. Zwinąłem ręce w trąbkę i zacząłem krzyczeć:

– Uwaga! Niech pani zawróci! Halo! Proszę zawrócić! Tam są sieci!

– Kuba! Zamknij się, psia twoja mać! Zwariowałaś? Jakie sieci? – ryczał do nas z kutra stryj.

Widać moje krzyki postawiły go na nogi. Dawał nam znaki, żebyśmy zamilkli, pukał się w czoło. – Wracajcie tu, ale to już – rozkazał.

A dziewczyna zachowywała się tak, jakby nas nie widziała i nie słyszała. Płynęła przed siebie radośnie, obracała się w wodzie jak wesoła rybka, to znikwała pod wodą, to wypływała na powierzchnię, nie patrząc w naszą stronę. W pewnym momencie zatrzymała się raptownie, jakby ktoś ją pociągnął pod wodą za nogę, i zanurzyła się.

Stryj nie mogąc ściągnąć nas na kuter zeskoczył z niego, przeszedł przez wodę, złapał kij i ruszył w naszym kierunku. Piotrek ciągnął mnie za rękę, żebym posłuchał stryja, ale ja nie spuszczałem z oka kąpiącej się kobiety. Szarpała się z czymś lub z kimś, domyśliłem się, że z siecią. Po chwili zupełnie skryła się pod wodą. Widać ją było z góry. Kręciła się tam, coś za długo nie wypływała na powierzchnię. Byłem pewny, że zobaczyła sieci. Podbiegłem na koniec cypla. Wskoczyłem do wody i popłynąłem co sił w jej kierunku, ale wciąż nie było jej na powierzchni.

– Piotrek – krzyknąłem – weź z moich spodni kozik i pływ z nim za mną!

– Po co ci kozik?

– Rób, co mówię!

Piotrek był zdezorientowany, wahał się przez chwilę, kogo ma słuchać, czy dać się stryjowi zapędzić na kuter, czy ruszyć w sukurs przyjacielowi i pływaczce. A ponieważ widział z góry to, czego mój stryj nie mógł widzieć stojąc w wodzie, podążył za mną.

Obaj płynęliśmy szybko kraulem tam, gdzie zanurzyła się dziewczyna. Była widoczna w przezroczystej wodzie, gdy patrzyliśmy na jej wyczyny z wysokiej bindugi, inaczej było, kiedy znaleźliśmy się w jeziorze. Pewnie byśmy jej nie znaleźli, gdyby nie korkowe pływaki sieci.



– Jest tutaj! – krzyknął Piotrek opuszczając się pod wodę. Ruszyłem w tamtą stronę.

Musiała niezłe się szarpać, bo zaplątana była siecią dokładnie. Teraz już nie walczyła. Poruszała się lekko w rozkołysanej wodzie w tym samym co jej fale rytmie.

Piotrek domyślił się, po co mi kozik, poprzecinał oplątującą ją sieć, wydostaliśmy ją i poholowaliśmy do brzegu. Nie opierała się. Wyglądała na zemdloną i zdawało mi się, że czuję puls na jej przegubie.

Wyciągnęliśmy ją na piasek. Słońce już zaszło i zaczęło się ściemniać. Nie ruszała się, chociaż miała otwarte oczy.

– Może trzeba jej zrobić sztuczne oddychanie? Proszę pani, czy pani mnie słyszy? – zapytałem. Nie odpowiedziała.

Zaczeliliśmy ją szarpać, przewróciliśmy twarzą w dół. Ulało się z jej ust trochę wody, ale była bezwładna. Ani mnie, ani Piotrkowi nie udało się skutecznie zrobić jej sztucznego oddychania. Stryj też już był przy nas. Upuścił kij i drapał się po głowie.

– Skądęście ją tu przywlekli? – zapytał.

– Wypłataliśmy ją z sieci. Z twoich sieci.

– O psia mać! Psia mać! Tego mi brakowało... Do roboty! Zwijamy sieci!

– A ona? Zabieramy ją?

– Nie widzicie, że to trup?

– Nie! Stryju, ona dopiero co żyła. Może jeszcze żyje.

Przycisnąłem ucho do jej piersi. Nie oddychała.

– Zabieramy ją do lekarza! – krzyknąłem i zacząłem płakać.

– Do jakiego lekarza? Gdzie tu masz lekarza? – złościł się stryj. – Wrzucicie ją do wody. Zwijamy sieci i zmywamy się stąd, zanim milicja się do nas dobierze.

– Ale przecież trzeba ją ratować! – walczyłem jeszcze.

Stryj podszedł do mnie, uderzył mnie w twarz, kopniakiem popchnął przed sobą i krzyknął:

– Jazda na kuter! Ratownik się znalazł, cholera. A kto ciebie albo mnie uratuje, jak nas złapią? Chcesz gnść w więzieniu za morderstwo? Kuter i sieci moje, ale zarzucaliście je razem ze mną.

Nie wierzyłem, że to słyszę. Stryj nas sterroryzował, zastraszył, robiliśmy, co nam kazał, jak zahipnotyzowani. Mimo to udało mi się zejść z łodzi i wyciągnąć ją z wody na piasek. Kiedy wróciłem na kuter, stryj zapędził nas do budki i zamknął w niej. Sam wrócił na brzeg i wyciągnął bezwładną dziewczynę aż za trzciny do wody. Potem wrócił na kuter i uruchomił silnik. Odpłynął szybko trzymając się prawego brzegu. Gdy dopływaliśmy do Rucianego, obok nas przemknęły motorówki milicyjne i krzyżowały się na wodzie reflektory. Ktoś jej widać szukał. Miałem nadzieję, że ją szybko znajdą i być może uratują.

Po dopłynięciu do Mikołajek zdecydowałem, że wracam do Warszawy. Stryj nie oponował. Nie widziałem go więcej. W niecałe dwa miesiące po tej tragedii zginął w wypadku motocyklowym pod Mrągowem. Jak na ironię losu, ten motocykl kupił za pieniądze, które uskładał ze sprzedaży ryb...

W Warszawie dowiedziałem się z gazet o tragicznej śmierci znanej piosenkarki Joanny Morawiec. Nie raz widziałem ją w telewizji, ale kiedy ratowałem ją z sieci, nie przyszło mi do głowy, że to ona. Jej twarz wydawała mi się jakby znajoma, ale nie było wtedy czasu na skojarzenia.

Doznałem szoku, kiedy zobaczyłem panią na jej pogrzebie. Byłyście tak podobne do siebie, wydało mi się, że zmartwychwstała... Ten pogrzeb, tłumy deptające sąsiednie groby... To było straszne. Bardzo wam współczułem, że musicie przez to przechodzić. Ja... przepraszam, że nie zdążyłem jej uratować. Bardzo chciałem...

I w tym momencie ten upiorny, stary już teraz narrator, który oto zachwiał moim jestestwem, najzwyczajniej w świecie złapał moją rękę i złożył na niej pocałunek. Wyszarpnęłam mu ją, a on wtedy

cofnął się pokornie.

– Zostawiliście ją bez pomocy! – płakałam. – I po to mnie pan latami śledził, żeby mi to powiedzieć?

– Zapłaciłem za to wysoką cenę. Chociaż pani siostra już nie żyła, gdy odpływaliśmy, nie znalazłem od tamtego czasu chwili spokoju. Przerwałem studia. Pani stała się moją obsesją. Nie wiedziałem, czy pani to pani, czy ona... Zdawało mi się, że wariuję.

– I oczekuje pan ode mnie współczucia?

– Nie... ale czuję ulgę, że mogłem to pani opowiedzieć.

– A co ja mam zrobić z tą wiedzą? Zastanawiał się pan?

– Wiem, jakie to dla was, jej rodziny, musi być trudne.

– I nie zawahał się pan...

– Myślałem, że chce pani wiedzieć, jak się to potoczyło...

– Pewnie, że chciałam, ale teraz co można zrobić? Jednak nie spocznę, zanim winni nie będą ukarani...

– To pani prawo. Ale stryj i jego żona dawno nie żyją. Ja miałem wtedy dziewiętnaście lat i z kolegą byliśmy tylko statystami. Gdyby pani chciała dochodzić...

– Dochodzić? Przywrócenia życia mojej siostrze i cofnięcia konsekwencji jej śmierci, jakie miały miejsce w naszej rodzinie? Czego pan się spodziewał mówiąc mi to po tylu latach? Że panu dziękuję?

– Niczego nie oczekuję. Wydawało mi się, że jestem to pani winien, chociaż mój udział w zarzucaniu sieci był przypadkowy i wymuszony. Gdybym się wtedy nie zjawił... gdyby nie pani siostra, to ktoś inny mógłby wpaść w tę pułapkę. Dlatego zdenerwowała mnie ta łódź w trzinach tutaj...

– Oni też zarzucają sieci? – spytałam.

– Z pewnością. Byłem z protestem u sołtysa. Powiedział, że ta plaża i pas wody należą do lasu.

– No to przecież jest leśniczy, był pan u niego?

– Zagadnałem go, gdy się spotkaliśmy w lesie niedaleko mojej „smolarni”. Zbagatelizował to. Twierdzi, że nikt się teraz nie kąpie.

– Ja też z nim porozmawiam, do widzenia panu... Proszę mnie teraz zostawić.

– Ale... do widzenia – odrzekł z rezygnacją.

Odwróciłam się i poszłam prędko w stronę domu. Zapragnęłam nagle zostać sama i uporać się z nawałą wspomnień, które mnie osaczyły wskutek tego, czego się dowiedziałam. Mój Boże! Połowa z nas, dla których okoliczności śmierci Joanny miały znaczenie, już nie żyje. Dla mnie, jej siostry, jej odejście jest wciąż sprawą dotkliwą. Dla Jerzego pewnie też. No a Modest? Po tylu latach mógł mieć mocniejsze wrażenia i uczucia niż te, które łączyły ich wtedy. Wróciłam do domu i zamiast zająć się tym, po co tu przyjechałam, usiadłam na kanapie przy oknie i zaczęłam płakać. Przesiedziałam tak łkając do rana. Raz musiałam wstać z kanapy i pójść do ubikacji. Kiedy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze nad umywalką, zdziwiłam się. Oczy miałam jak szparki, twarz obrzmiała. To po prostu nie byłam ja... Ale czy to miało znaczenie? Czułam ogromną potrzebę porozmawiania z Jerzym, ale kiedy sięgnęłam po słuchawkę, odłożyłam ją zaraz. Bo teraz, kiedy tonie w rozpacz po swojej siostrze, mam mu jeszcze dokładać żalu po Joannie, która też była mu bliska? Nie zrobię mu tego.

Podreptałam do kanapy i pograżyłam się we wspomnieniach. Drzewa za oknem, prawe ogołoczone już z listowia, jakby dla podkreślenia mego poruszenia zaczęły się kołysać. Wiatr się wzmagął, a niebo zasnuwało się coraz gęstszą warstwą chmur.

Och, Aśka, siostrzo moja, coś ty narobiła? Tak nade mną czuwałaś, a nie zawahałaś się zmienić swoim odejściem całego mojego życia. W tej jednej chwili z „oczka w głowie i pieszczoszki” całej rodziny stałam się osobą dorosłą, odpowiedzialną za wszystko i wszystkich. Ojciec i matka pogrążeni w rozpacz przestali się o mnie troszczyć. To ja musiałam czuwać nad nimi. Zachowywali się tak, jak by mnie ta

strata nie dotyczyła.

Gdyby wtedy przypadek nie sprawił, że Joanna wypłynęła w to przeklęte miejsce, gdzie kłusownik zarzucił sieci, nie byłoby tragedii, która pociągnęła za sobą inne. Bo to był początek nieszczęść, które dotknęły naszą rodzinę. I paradoksalnie tylko ona, nad którą wszyscy się uzalamy i jej współczujemy, nie doświadczyła, nie zdążyła doświadczyć całego bólu i ciężaru zdarzeń, które potem miały miejsce. Jej wrażliwość nie pozwoliłaby jej wyjść z tego bez szwanku. Wiem to na pewno.

A tak przynajmniej umarła szczęśliwa. Żyła krótko, ale intensywnie, robiła to, co lubiła, zdobyła sławę, uznanie i miłość. Czy cierpiała odchodząc? Jeśli tak, to z pewnością niedługo. Od chwili kiedy zorientowała się, że jest w matni, do jej śmiertelnego zachłyśnięcia się wodą upłynęło kilka minut. Co wtedy czuła mając świadomość, że osiągnąwszy tak wiele może wszystko stracić? Nie chcę o tym myśleć!

A my przez tyle lat wciąż od nowa musimy to rozważać, spekulować, co by było, gdyby los zadysponował inaczej. Gdyby Joasia żyła, matka z pewnością nie poddałaby się tak łatwo chorobie. Ona po prostu straciła wolę walki. Kiedy słabła coraz bardziej, powtarzała nie raz, że Bóg pomylił kolejność, bo to ją powinien zabrać najpierw, przed córką. Bagatelizowała badania, regularność brania leków i rak zrobił z nią, co chciał. Może nie udałoby się jej ocalić, lecz żyć znacznie dłużej z pewnością by mogła. Robiłam wszystko, żeby ją ratować, ale potem i tak wydawało mi się, że za mało.

Ojciec, który przedtem wydawał się cieniem jej cienia, po utracie Joasi jakby zobojętniał. W każdym razie mnie się tak zdawało. Dziwiłam się, że bardziej przejmuje się swoimi nieustannymi kłopotami z pracą niż stanem matki. A kłopoty miewał zawsze, odkąd wrócił z Anglii. Długo nie mogłam zrozumieć, za co musi pokutować i szczerze mówiąc, trudno było mi się nad nim uzalać. To matka wciąż biadoliła, że musi a to pracować na farmie lisów, a to pilnować jako kurator nieletnich przestępców, a to być stróżem stróżów w jakimś zakładzie. „Pomyślcie tylko – narzekała – człowiek z takim wykształceniem!”

Aśka miała dla niej więcej zrozumienia, często z nią rozmawiała. Dla mnie był to stan zastany, taka normalność. Trochę więcej rozumiałam po latach z pamiętników pozostawionych przez moją siostrę, a także z listów ojca do matki, które znalazłam po jego śmierci. Wszystkie co do jednego zatytułowane były „Najdroższa” i wedle mego zdania powstawały bardziej z potrzeby wymiany myśli niż romantycznych porywów. Zwierzał się jej bardziej jak przyjaciel niż jako kochanek, a może się myliłam? Pisał o wszystkim. O tym, jak po klęsce jego oddziału pod Kockiem przedzierał się z okupowanej Polski najpierw do Rumunii, a potem na Węgry. W 1941 roku uciekł z obozu internowanych w Szwajcarii do Francji. Kilka listów stamtąd szeroko komentowało jego ofiarną pracę dla „Mouvement de résistance”.

Po przeprawie przez kanał La Manche dzielił się z matką swoimi zaskakującymi opiniami o premierze Anglii, Churchillu, i naszym Rządzie Emigracyjnym. Po przeczytaniu tego właśnie listu Jerzy odłożył go i powiedział, że wołałby go nie czytać.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Twój tata, którego uważałem zawsze za człowieka bardzo delikatnego i obiektywnego, zdradza w tym liście, że potrafił też być zbyt kategoryczny i nazbyt surowy w sądach. Tak jak ci, co uważają, że wszyscy są omylni, a oni zawsze mają rację.

– No, może nie aż tak. Moi rodzice mieli swoje zasady. Wiele razy słyszałam w domu: „W sprawach zasadniczych nie ma i nie może być kompromisów. Są one dobre w drobiazgach, takich jak na przykład gdzie postawić stół, co podać na obiad. W sprawach ważnych nigdy!” W naszym domu rzeczywiście rządziły kategoryczne poglądy i słyszało się odpowiednie do nich maksymy: „Co czytasz?” – pytał nieraz ojciec mnie lub Aśkę. „*Dzieje grzechu* – odpowiedziałam kiedyś. – To dobra książka. Żeromskiego

zresztą”. Na co on: „Bo sensacyjna? Co z tego, że dobra? Tyle jest bardzo dobrych książek, że na te «dobre», wierzaj mi, szkoda czasu”. Tata był absolwentem Szkoły Kadetów stworzonej przez Piłsudskiego. Miał zasady jako zawodowy oficer – broniłam go przed Jerzym. – Nie masz pojęcia, jak ich pilnowano. Musieli być nienaganni we wszystkim. Nawet w wyborze żony. Mówiło się w domu o tym, jak to przed ślubem moich rodziców ktoś z dowództwa ojca zwizytował dom rodzinny mamy, żeby sprawdzić, czy poziom kandydatki na żonę jest odpowiedni do bycia partnerką polskiego oficera. No i mama, jak widać, zdobyła uznanie. Dla mnie mój ojciec był ideałem!

– Ależ ja tego nie neguję. Twój tata był człowiekiem z wysokiej półki. Tylko ja nie lubię zbyt kategorycznego oceniania ludzi. No i wiesz, te słowa o Rządzie Emigracyjnym... Dzięki generałowi Andersowi moi krewni zdołali wyrwać się z tajgi.

Tak mówił wtedy mój Jerzy, który ufa ludziom jak nikt inny i o niektórych wyraża się nieraz łaskawiej, niż na to zasługują. On też ma swoje zasady. Nie cierpi kalania świętości i zrzucania bohaterów z piedestału. Teraz mnożą się zwolennicy odwrotnych praktyk.

Kiedy w roku 1978 mój tato zaginął, Jerzy zrobił najwięcej, żeby go odnaleźć.

Zaczął się od tego, że jeden z przyjaciół ojca, były lotnik, który brał udział w bitwie o Anglię, dowiedział się, iż ZBoWiD daje weteranom wojny jakieś przywileje. Ten przyjaciel, człowiek bardzo krewki, poszedł tam i dano mu do zrozumienia, że przywileje nie dotyczą walczących na frontach zachodnich. Oczywiście nie obyło się bez awantury. W ostrych słowach petent wyraził, co o tym myśli, napiętnował zdrajców i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Po dwóch dniach zaginął. Zaniepokojony jego przedłużającą się nieobecnością syn poprosił mego ojca, żeby poszedł z nim po pomoc i wyjaśnienia do ZBoWiD-u. Po dwóch dniach i ten młody człowiek też przepadł bez wieści, a niebawem znaleziono go w rowie, najwyraźniej wyrzuconego z samochodu. Był nieprzytomny i zmarł, zanim trafił do szpitala.

Trudno mi było pogodzić się z tym, że kilka lat po śmierci mamy tata ponownie się ożenił. Ale skoro czuł taką potrzebę, trzeba było to zaakceptować. Tym bardziej że po naszych tragediach zdawał się nareszcie wracać do życia.

Już jako świeżo upieczony mąż złożył pamiętną wizytę w ZBoWiD z synem zaginionego przyjaciela. Wkrótce po odnalezieniu wyrzuconego do rowu młodzieńca tato wyszedł ze swego nowego domu rankiem po bułeczki i ślad po nim zaginął. Kiedy wyłowiono jego ciało z Wisły, policja poinformowała nas, że ktoś z sąsiadów ojca zeznał, iż w jego domu były karczemne awantury i pewnie z desperacji poszedł się utopić.

Wiedzieliśmy, że to nie była prawda. Wybranka ojca była osobą kulturalną, taktowną i podobnie jak on delikatną. Wywodziła się z przedwojennej arystokracji. Nigdy nie było między nimi nieporozumień. Może nie była to szalona miłość, ale na pewno przyjaźń i wzajemny szacunek. Ten sąsiad, ubecki donosiciel, najprawdopodobniej był podstawiony. Zrozpaczeni musieliśmy wysłuchać tego szytego grubymi nićmi wyjaśnienia władz, chociaż nigdy nie przyjęliśmy go do wiadomości. Bo to było ukoronowanie animozji rządów lewicowych do zachodniej kultury i ludzi, którzy się o nią otarli. Tajemnicza śmierć ojca była kontynuacją i konsekwencją losu, jaki mu zgotowano po powrocie z emigracji. Dla mnie zaś kolejnym ciosem i stratą, której bym nie zniosła bez wsparcia Jerzego.

Mojej siostrze zostało to oszczędzone. Odchodząc wcześniej, nie musiała tego przeżywać. Ani tej okrutnej serii pożegnań: z jedyną siostrą, matką, ojcem. Ale też i to, co w życiu najpiękniejsze, ją ominęło. Przede wszystkim małżeństwo i macierzyństwo.

To pierwsze też ona mi podarowała. Jerzy nigdy nie zainteresowałby się mną, gdybym po jej odejściu nie spotkała go podążając jej śladem. A także gdybym nie była zewnątrznie tak bardzo do niej podobna. Jakby temu nie przeczył, i tak nie uwierzę, że od razu pokochał mnie, a nie namiastkę Aśki. Bo on się w niej nieprzytomnie durzył, a mnie przyjrzał się jedynie dlatego, żeby znaleźć coś, co mu ją przypomni,

aż wreszcie zobaczył mnie. Jestem więc po trosze złodziejką szczęścia, które Jerzy gotów był złożyć u jej stóp, choć ona nie chciała tego zauważyć.

Moja starsza siostrzyczka, chociaż żyła niedługo, zdążyła się w tej roli spełnić, jak mało kto by potrafił. Obdarowywała mnie troską, niedostępnymi dla ogółu w czasach przed zmianą naszej rzeczywistości prezentami przywożonymi z wielkiego świata, a nawet pokazała mi ten świat zabierając mnie w podróż marzeń. Zostawiła mi też, jakby w spuściźnie, kandydata na męża, który sprawdził się tak, że byłaby z niego dumna. Przesadzam. Jerzy ma swoje wady. Jednak odkąd wyplątałam się z robienia scenografii do jego filmów, jego wady wcale mi nie przeszkadzają.

Szkoda tylko, że nie zdążyła poznać naszych dzieci i wnuków, a najbardziej żał mi tego, że oni jej nie poznali.

A jej koleżanki? Też je odziedziczyłam. Patrząc na ich starzenie się, wyobrażam sobie, jaka ona byłaby teraz. Różnica dziesięciu lat już mi nie wadzi. Wzrusza mnie narastająca nieporadność Madzi – jej rówieśnicy, też artystki. Niegdyś roztańczona i wygimnastykowana, ma teraz kłopoty z zawiązaniem sznurówek. Uparcie jednak chodzi na wysokich obcasach, wprowadzie skróconych nieco grubą platformą, żeby dodać sobie kilka centymetrów wzrostu. Podchodzi do tego z humorem. Ciekawa jestem, czy Aśka też by teraz taka była? Przed laty żadna z nich na co dzień się nie malowała. Teraz Madzia nie wyjdzie na ulicę bez modnych cieni na powiekach czy szminki. I ciągle jej brakuje czasu. Temu akurat się nie dziwię, bo mnie już też zaczyna to dotyczyć. Nie nadążam za wszystkim, a co to będzie za dziesięć lat?

\*       \*  
\*       \*

Takie właśnie bilanse życiowe robiłam pół roku temu w Kurhanowie, kiedy to Jakub Cieślik, przedwcześnie postarzały świadek utonięcia mojej siostry, opowiedział mi, jak to się stało.

Chciałam walczyć o ukaranie winnych, ale znajomi prokuratorzy i sędziowie, do których się zwróciłam, przekonali mnie, że w świetle prawa czyn ten uległ przedawnieniu.

A dziś, w przeddzień wizyty u nas Modesta, mam dylemat, czy mu zdradzić, że wiem, jak to było. Czy ta wiedza nie rozbudzi w nim na nowo uspiionych żalów i wyrzutów sumienia, o których mi kiedyś mówił, że nie poszedł z nią wtedy do wody, żeby razem popływać. Może w ogóle kąpałoby się w innym miejscu? Kto to może wiedzieć?

Ten przeklęty „rybak” z bożej łaski i jego sieci...

Najsmutniejsze jest to, że tyle złych rzeczy dzieje się przez brak empatii, przez nie zwracanie uwagi na to, czy dążąc do czegoś nie szkodzimy innym.

A w dodatku świat i o takich zaniechaniach i nieuważnych czynach mówi, że to „przypadek sprawił”...

# Przypisy

[1] Spadające skały, spadające kamienie.